

POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

ROMANS



DIANA
PALMER

SPRAGNIENI MIŁOŚCI

ZAŁOŻYCIEL RODU

CHOCIAŻ JOHN JACOBS NIE NALEŻY DO GRONA BOGATYCH LUDZI, MA BARDZO AMBITNE PLANY I WIE, CO ZROBIĆ, BY SIĘ WZBOGACIĆ.

POSTANAWIA OŻENIĆ SIĘ DLA PIENIĘDZY, A JEGO WYBÓR PADA NA CÓRKĘ WŁAŚCICIELA LINII KOLEJOWEJ. PODOBNO ELLEN NIE JEST ZBYT URODZIWA, ALE PRZECIEŻ NIE MOŻNA MIEĆ WSZYSTKIEGO? JOHN NIE ZAMIERZA TRACIĆ CZASU NA ZAŁOTY. OTWARCIE PROONUJE ELLEN MAŁŻEŃSTWO, A RACZEJ UKŁAD OPARTY NA PRZYJAŹNI, KORZYSTNY DLA OBU STRON. MIMO SPRZECIWU OJCA ELLEN BŁYSKAWICZNIE ODBYWA SIĘ SKROMNY ŚLUB. DOPIERO TERAZ JOHN I ELLEN MOGĄ SIĘ NAPRAWDĘ POZNAĆ. CZY SPODOBA IM SIĘ TO, CZEGO DOWIEDZĄ SIĘ O SOBIE?

POMOCNA DŁOŃ

DOM JACOBSÓW, KTÓRYCH PRZODKOWIE BYLI ZAŁOŻYCIELAMI JACOBSVILLE W TEKSASIE, ZOSTAJE WYSTAWIONY NA LICYTACJĘ. SHELBY, CÓRKA ZMARŁEGO WŁAŚCICIELA DOMU, TRACI DACH NAD GŁOWĄ I JEST ZMUSZONA PODJĄĆ PRACĘ SEKRETARKI W MIEJSCOWEJ KANCELARII. NIEOCZEKIWANIE POMOCNĄ DŁOŃ WYCIĄGA DO NIEJ JUSTIN, KTÓRY POWINIEN JEJ NIENAWIDZIĆ. SZEŚĆ LAT TEMU SHELBY NIEZWYKLE BOLEŚNIE GO ZRANIŁA. TERAZ ZASTANAWIA SIĘ, CZY JUSTINEM KIERUJE WSPÓLCZUCIE, CZY RACZEJ CHĘĆ ZEMSTY...

DIANA PALMER
ZAŁOŻYCIEL RODU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niełatwo było wytrącić z równowagi Dużego Johna Jacobsa. Był wysoki, miał ostre rysy, oczy koloru ciemnozielonego butelkowego szkła i gęste ciemne włosy. Na jego pociągłej twarzy widniały blizny - pozostałość po wojnie secesyjnej. Blizny nosił nie tylko na twarzy, ale i na duszy. Pochodził z Georgii; do Teksasu przybył tuż po wojnie. Zamieszkał w najdzikszej części Teksasu, na ranczo odziedziczonym po zmarłym wuju. Bardzo powoli stawiał ranczo na nogi: woził bydło do Kansas, po drodze dokupując kolejne sztuki. Piętnaście lat ciężkiej pracy nie przyniosło mu wielkich zysków, ale ciągle nie tracił nadziei. W końcu przecież był silny i miał głowę do interesów. Posiadał teraz trzy razy więcej ziemi, niż odziedziczył po wuju. Na Wschodzie kupił byki nowej rasy, które zamierzał skrzyżować ze swymi wyleniałymi longhornami. Często myślał, że matka byłaby z niego dumna. Potarł głęboką bliznę na lewej dłoni, pamiątkę po walce na noże z bandą Komanczów, którzy napadli na jego ranczo, żeby porwać konie. John i jego pracownicy pobili napastników i zmusili do ucieczki. Ranczo było odosobnione, a bydło dobrej jakości. John nieustannie zmagał się z hordami Komanczów, z renegatami zza granicy Meksyku oraz z włóczęgami z Północy szukającymi szczęścia na Południu. Gdyby nie obecność wojska tuż po zakończeniu wojny - uprzejmość ze strony armii unionistów - bezprawie jeszcze bardziej by się rozplenilo.

John miał poważny powód, by nienawidzić żołnierzy Unii. Na szczęście w tej stronie Teksasu, w której leżało jego ranczo - na południowy wschód od San Antonio - na straży spokoju stał komendant, który był porządnym człowiekiem i prawdziwym dżentelmenem. John zawsze podziwiał tego oficera, jego podziw jeszcze wzrósł, kiedy ten złapał i ukarał złodzieja, który ukraść mu z rancza dwa konie. Dobre konie z doskonałym rodowodem. John kupił je w Kentucky na farmie specjalizującej się w hodowli koni. Komendant sam dosiadał konia z tej stadniny, toteż dobrze rozumiał przywiązanie ranczera do swych zwierząt. John rzadko bywał aż tak wdzięczny drugiemu człowiekowi. Komendant, tak samo jak John, nie wiedział, co to strach.

Tak, nie wiedział, co to strach. John roześmiał się na myśl o tym, co właśnie zamierzał zrobić. Nie zawahałby się poświęcić życia dla uratowania swego rancza, jednak teraz nie stawał do walki na noże czy na kolty, lecz czekał go znacznie bardziej wyrafinowany rodzaj walki. Aby ją wygrać, musiał wejść w świat, którego nie znał, a nawet nigdy z bliska go nie oglądał. Nie czuł się dobrze wśród ludzi z wyższych sfer. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że nie przyniesie sobie wstydu.

Zdjął z głowy kapelusz, przesunął dłonią po mokrych od potu włosach. Juana trochę je skróciła, zanim wyjechał ze swojego rancza o wdzięcznej nazwie: 3J Ranch. John uznał, że wygląda wystarczająco konserwatywnie, żeby zrobić dobre wrażenie na Terrence'em Colbym. Ten wielki potentat kolejowy, spędzał wakacje nieopodal 3J Ranch, w Sutherland Springs. Popularna miejscowość wypoczynkowa szczyciła się setką źródeł tryskających na niewielkiej przestrzeni. John jechał tam, żeby rozmówić się z Colbym, choć tak naprawdę nawet nie miał pojęcia, od czego zacząć. Przypuszczał, że jeśli pojedzie do Sutherland Springs, to reszta sama jakoś się ułoży.

Z okazji tej wyprawy John musiał zastawić w lombardzie zegarek dziadka. Bez tego nie byłoby go stać na kupno używanego garnituru ani wyjściowego kapelusza, które miał w tej chwili na sobie. Ryzykował, i to dużo. Bydło nikomu nie przynosiło pożytku, jeśli nie dało się go dostarczyć na targ. Dowożenie bydła do Kansas, do najbliższej stacji kolejowej, wiązało się z jeszcze większym ryzykiem. W niektórych regionach tak bardzo obawiano się teksańskiej boreliozy, że miejscowi farmerzy urządzali blokady, byleby tylko nie wpuścić bydła z Teksasu na swoje tereny. Jeśli John miał sprzedawać krowy, to musiał znaleźć jakąś inną, najlepiej bezpośrednią trasę. Wymyślił sobie, że najlepiej będzie, jeśli odnoga linii kolejowej będzie przechodziła przez jego ranczo. Chciał mieć blisko do kolei, a Colby był właścicielem linii kolejowej. Niedawno ogłosił, że zamierza ją przedłużyć i połączyć z linią do San Antonio. Dla niego to żaden problem przeprowadzić linię przez Wilson County do samego rancza Johna Jacobsa. W okolicy mieszkali jeszcze inni ranczerzy, którzy także chętnie skorzystaliby z takiej linii.

Colby miał córkę. Pannę, którą podobno trudno było wydać za męża. Na imię jej było Camellia Ellen. Plotka głosiła, że Colby nie ma żadnego pożytku z tej swojej brzydkiej, starzejącej się córki i że chętnie pozbyłby się jej z domu. Przeszkadzała jego kochankom. Dlatego Duży John Jacobs postanowił udać się w zaloty. Dlaczego? - Oczywiście po to, żeby zdobyć linię kolejową.

Kiedy wjeżdżał do miasta, rozpadał się deszcz. Przeklinał swojego pecha, bezsilnie patrząc, jak błoto spod końskich kopyt rozpryskuje mu się na buty i na nogawki jedynek porządnych spodni, jakie posiadał. Mimo tylu starań oraz wielkich kosztów i tak będzie wyglądał nieporządnie. Nie mógł sobie na to pozwolić. Terrance Colby to nowojorski arystokrata, o którym mówiono, że zawsze jest ubrany jak spod igły. Zamieszkał w najlepszym hotelu, jakim mogła się poszczycić niewielką miejscowość wypoczynkowa, co wcale nie znaczyło, że hotel był luksusowy. Podobno Colby przyjechał tu przede wszystkim na polowanie, a przy okazji korzystał z leczniczych właściwości miejscowych źródeł.

John zsiadł z konia nieopodal hotelu, w którym mieszkał Colby. Musiał jeszcze jakoś oczyścić się z błota, doprowadzić ubranie do porządku przed planowanym spotkaniem.

Ledwie stanął na chodniku, podjechał powóz. Wysiadła z niego niepozorna kobieta, uniosła rąbek sukni ponad cholewkę sznurowanego bucika, nagle potknęła się i upadła prosto w błotnistą kałużę. Ogromny kapelusz spadł jej z głowy i potoczył się po ziemi.

John nie mógł powstrzymać śmiechu, choć wiedział, że zachowuje się podle. Towarzyszący kobiecie mężczyzna popatrzył na niego wrogo, lecz spojrzenie, które posłał kobiecie, było jeszcze bardziej wymowne.

- Na litość boską, kobieto, czy ty naprawdę nie potrafisz zrobić kroku, żeby nie potknąć się o własną suknię - powiedział mężczyzna piskliwym głosem z brytyjskim akcentem. - Wstawajże. Przywiozłem cię do miasta, ale teraz muszę jechać dalej. Już jestem spóźniony na spotkanie. Oczywiście przez ciebie. Ruszaj! - krzyknął do woźnicy.

Woźnica popatrzył znacząco na Dużego Johna i na nieszczęsną kobietę, po czym ruszył bez słowa, jak mu kazano. Ale przedtem John zdążył przyjrzeć się dokładnie obcemu mężczyźnie. Miał nadzieję, że jeszcze kiedyś go spotka.

Podszedł do kobiety, wyciągnął do niej rękę.

- Nie, nie - zaprotestowała, wstając niezdarnie, lecz o własnych siłach. - Jest pan zbyt porządnie ubrany, a ja mogłabym pana ubłocić. Proszę iść swoją drogą. Już taka ze mnie niezdara. Obawiam się, że nie ma na to lekarstwa.

Nałożyła ogromny kapelusz na gruby splot ciemnych włosów okalających jej głowę i spojrzała na niego żałośnie niebieskimi oczami osadzonymi w miłej, choć niezbyt urodziwej twarzy. Była drobna i chuda, zupełnie nie w jego typie.

- Pani towarzysz ma fatalne maniery - zauważył.

- Dziękuję panu za troskliwość, ale proszę się mną nie kłopotać.

- To żaden kłopot. - John uchylił kapelusza. - Nie przeszkadzałoby mi nawet, gdybym został ochlapany. Jak pani widzi, już mam na sobie nieco lokalnego błota.

Roześmiała się i jej ożywiona uśmiechem twarz nagle nabrała niezwykłego wyrazu, z czego pewnie ta niezdarna kobieta najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy.

- Życzę pani miłego dnia.

- Wzajemnie.

Odeszła, a John postanowił pójść do zakładu fryzjerskiego, żeby doprowadzić się do ładu.

- John! - zawołał nadchodzący mężczyzna. - Tak właśnie myślałem, że to ty.

Zwalisty mężczyzna z odznaką na piersi, dysząc, dobiegł do Johna. Był to James

Graham, zastępca miejscowego szeryfa. Często zatrzymywał się na rancho Johna, kiedy przejeżdżał tamtędy w poszukiwaniu zbiegów.

- Co porabiasz w Sutherland Springs? - zapytał John, gdy już wymienili uścisk dłoni.

- Szukam dwóch zbiegów - odparł James. - Ukrywali się na Terytorium Indian, ale kuzyn jednego z nich powiedział mi, że ruszyli w tę stronę, żeby uciec od wojska. Uważaj na siebie. Ty też na siebie uważaj - mruknął John. Rozpiął marynarkę, pokazując rewolwer marki Colt 45. Zawsze go nosił przy sobie.

- Słyszałem o nim co nieco - roześmiał się szeryf. - Widziałem, że próbowałaś pomóc tej dziewczynie.

- Biedactwo - westchnął John. - Nie ma na czym zawiesić oka. Raczej niezbyt interesująca z męskiego punktu widzenia. A do tego jeszcze taka niezdara. Ale to żaden problem być dla niej miłym. Jej towarzysz nawet nie próbował jej pomóc, tylko dogadywał.

- To był sir Sydney Blythe, towarzysz polowań Colby'ego, tego magnata kolejowego. Mówią, że ta panna jest zakochana w tym Sydneyu, chociaż on nawet na nią nie spojrzy.

- Trudno mu się dziwić. To chyba nie jest kobieta z tych, które wywołują namiętne uczucia.

- Oj, może byś się zdziwił. Moja żona też nie ma wyglądu, ale za to jak gotuje! Uroda mija, a gotowanie zostaje. Zapamiętaj to sobie. Do zobaczenia.

- Do widzenia. - John wszedł do zakładu fryzjerskiego.

Nie zauważył ubłoconej kobiety, która stała tuż za rogiem i usiłowała pozbyć się plam błota ze spódnicy. Niechcący podsłuchiwała rozmowę szeryfa z Johnem. Spojrzała na zamykające się za Johnem drzwi zakładu fryzjerskiego oczami, w których płonął gniew.

A więc to taki człowiek, pomyślała. Lituje się nad biedną niezdarną gąską. Myślałam, że jest inny, ale jest taki sam jak wszyscy mężczyźni. Żaden z nich nie spojrzy na kobietę, jeśli ta nie ma pięknej buzi lub kształtnej figury. Kipiała ze złości. Miała nadzieję, że któregoś dnia znów będzie jej dane spotkać się z tym dżentelmenem, kiedy będzie elegancko ubrana i w dobrej formie. Była absolutnie pewna, że wówczas ten prostak przeżyłby prawdziwy szok.

Kilka minut później John wszedł do jedyne go hotelu w Sutherland Springs. Wkroczył tam z pewnością siebie, której zupełnie nie odczuwał. Dobrze, że mógł choć chwilę porozmawiać z szeryfem, bo to go trochę uspokoiło. Zastanawiał się, czy córka Colby'ego jest tak samo zakochana w tym okropnym sir Sydneyu, jak ta biedna niezdara, która tu z nim przyjechała. Nie bardzo wiedział, jak można się zalecać do takiej bogatej panny, chociaż przecież cały czas chodziło mu to po głowie.

John miał trzydzieści pięć lat i był znacznie lepiej wykształcony od większości

znanych mu ludzi. Oczywiście tylko dzięki temu, że wychowała go dobrze wykształcona matka. Uczyla go pisać i czytać, a także rachować, no i przy każdej sposobności uczyla go również łaciny. Także podczas prac polowych. Od tamtej pory był edukowany różnymi sposobami, ale najszybciej uczył się przy okazji zarabiania na życie.

Jego zameżna siostra - jedyna prócz niego, która przeżyła tę okropną wojnę domową - namawiała go, by przyjechał i pracował razem z nią i jej mężem na farmie w Północnej Karolinie, lecz John nie chciał osiedlać się na Wschodzie. Miał swoje marzenia. I jeśli to prawda, że człowiek może zrobić fortunę wyłącznie dzięki ciężkiej pracy i odmawianiu sobie wszystkiego, to on zamierzał tego dokonać. Czuł, że to nieuczciwe żenić się dla pieniędzy, ale nie miał zamiaru udawać miłości do bogatej narzeczonej. Jeśli istniała jakaś uczciwa droga prowadząca ku takiemu małżeństwu, postanowił ją znaleźć. Jednego tylko był pewien: jeśli poślubi córkę magnata kolejowego, to będzie miał większe szansę na doprowadzenie linii kolejowej do swojego rancza, niż gdyby tylko poprosił tego bogacza o taką przysługę. Nikt bezinteresownie nie pomoże ranczerowi bez pieniędzy, zwłaszcza taki zamożny człowiek z Północy. Takie czasy.

John wszedł do holu z taką samą pewnością siebie, jaką zaobserwował u ludzi zamożnych, którzy chcieli postawić na swoim.

- Nazywam się John Jacobs - przedstawił się oficjalnie recepcjoniście. - Pan Colby mnie oczekuje.

Było to jawne kłamstwo, ale tak bezczelne, że musiało poskutkować. Gdyby się udało, John zaoszczędziłby sobie wielu czasochłonnych ceregieli.

- Czyżbyś To znaczy, oczywiście, proszę pana. - Młody człowiek wyraźnie się wahał.
- Pan Colby zajmuje apartament prezydencki. Pierwsze piętro w końcu korytarza. Może pan tam pójść od razu. Pan Colby i jego córka akurat przyjmują.

Przyjmują? Isć zaraz John nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Nawet mu się nie śniło, że tak łatwo będzie uzyskać posłuchanie u jednego z najbogatszych ludzi w kraju.

Skłonił się uprzejmie recepcjoniście i ruszył schodami w górę.

Bez trudu trafił do apartamentu Colbych. Mocno zastukał do drzwi, zaciskając przy tym zęby, żeby dodać sobie odwagi przed spotkaniem. Nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć swoją wizytę. Przecież nawet nie wiedział, jak wygląda Ellen Colby. Zastanawiał się, czy znowu nie skłamać. Na przykład mógłby powiedzieć, że ujrzał ją z daleka i od pierwszego wejrzenia się w niej zakochał. Jednak prędko zrezygnował z tego pomysłu. Takie kłamstwo z pewnością pozbawiłoby go wszelkich szans u jej ojca, który nabrałby niezbitego przekonania, że Johnowi chodzi wyłącznie o pieniądze Ellen.

Kiedy tak się zastanawiał, pokojówka otworzyła mu drzwi i stanęła z boku, by wpuścić Johna do apartamentu. Poniewczasie zdarł z głowy kapelusz. Miał nadzieję, że nie spocił się aż tak bardzo, jak mu się zdawało.

- Jak się pan nazywa? - spytała uprzejmie pokojówka.

- John Jacobs - odparł natychmiast. - Jestem miejscowym właścicielem ziemskim - dodał.

- Proszę zaczekać.

Zniknęła w sąsiednim pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Mijały sekundy, a John rozglądał się wokół. Czuł się nieswojo w tym okazałym pomieszczeniu. Naprawdę wiele dzieliło go od klasy wyższej.

Drzwi się otworzyły, stanęła w nich ta sama pokojówka.

- Proszę wejść - powiedziała z szacunkiem i nawet się do niego uśmiechnęła.

Uradowany wszedł do środka i... natknął się na parę najzimniejszych niebieskich oczu, jakie w życiu widział. Osadzone były w bladej twarzy, którą można by porównać tylko do śnieżnobiałej koronkowej sukni, w jaką odziana była ta niebieskooka kobieta. Nie była piękna, ale miała świetną figurę i gęste ciemne włosy splecione w warkocz okalający głowę. Była elegancka i wrogo nastawiona. John natychmiast ją rozpoznał. To była ta sama dama, która na jego oczach wylądowała w kałuży.

Nie mogę się roześmiać, nie mogę...!

A jednak się uśmiechnął, jego zielone oczy prześliznęły się po oburzoną obliczu młodej kobiety.

A więc jednak znalazł się pretekst! Zupełnie niespodziewanie.

- Przyszedłem spytać panią o zdrowie - powiedział powoli, przeciągając głoski. - Na dworze jest chłodno, a kałuża była taka ogromna...

- Ja... - Zarumieniła się. Najwyraźniej powód wizyty mile ją zaskoczył. - Czuję się świetnie. Dziękuję.

- Jaka znowu kałuża? - Dobiegł od drzwi rzeczowy głos. Do pokoju wszedł mężczyzna w eleganckim garniturze. Był niższy od Johna, miał ciemnoniebieskie oczy i lekką łysinę. - Nazywam się Terrance Colby, a pan?

- John Jacobs - przedstawił się John. Nie bardzo wiedział, co jeszcze powiedzieć. Mam ranczo za miastem - zaczął.

Ach, przyszedł pan w sprawie polowania na przepiórki - domyślił się Colby. Ku wielkiemu zdumieniu Johna uśmiechnął się i podał mu rękę. - Niestety, obawiam się, że zostałem zaproszony przez właściciela Four Aces Ranch. Zamierzam zapolować na antylopy i

przepiórki. Nie wiedział pan o tym?

- Ależ wiedziałem, proszę pana - odparł John. Znał to ranczo. Było właśnie takie, jakie sobie wymarzył i jakie zamierzał w przyszłości posiadać: ogromna posiadłość z rasowym bydłem i takimiz końmi, znana nie tylko w całym kraju, lecz także wśród hodowców na całym świecie.

- Jestem pewien - mówił John - że warunki będą panu odpowiadały.

- Mimo to dziękuję panu za propozycję. - Colby przyglądał mu się z ciekawością.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - John skłonił się lekko. - Jednakże ja przyszedłem tu w innym celu. Jeden z przechodniów wspomniał, że ta młoda dama zatrzymała się w tym hotelu. Pani nieszczęśliwie upadła, idąc tutaj. Pomogłem jej i teraz chciałem się tylko upewnić, że jest cała i zdrowa. Jej towarzysz był co najmniej... bezużyteczny - dodał ze szczerą irytacją.

- Sir Sydney odjechał, zostawiając mnie w tym niemiłym położeniu - powiedziała gniewnie kobieta, ciskając z oczu iskry.

Colby popatrzył na nią bez cienia współczucia.

- Jeśli nadal będziesz taką niezdarą, Ellen, i będziesz wpadać w każdą napotkaną kałużę, to musisz się przyzwyczaić do tego, że żaden normalny mężczyzna nie zechce dotrzymać ci towarzystwa.

Ellen! A więc ta nieszczęsna gaska jest córką kolejowego magnata, po którą John przyjechał do miasta. Naprawdę miał więcej szczęścia, niż mógł sobie wymarzyć! Widocznie musiała wybić dla niego szczęśliwa godzina, skoro los rzucił mu pod nogi ten cenny dar.

Spojrzał na Ellen Colby z nieukrywaniem zainteresowaniem.

- Pani wcale nie jest niezdarą - uśmiechnął się do Ellen i dodał: - Wprost przeciwnie. Moim zdaniem jest pani bardzo miłą, czarującą osobą.

Colby spojrzał na niego zdumionym wzrokiem, jak na głupca, który nie wie, o czym mówi.

Ellen natomiast popatrzyła na niego surowo. Wprawdzie wizyta Johna sprawiła jej przyjemność, ale przecież знаła się na kłamstwach. Zbyt wielu mężczyzn próbowało dotrzeć do ojca za pośrednictwem córki. Ten był jednym z nich, chociaż przez chwilę miała nadzieję, że interesuje się nią dla niej samej. Niestety, już dawno przestała wierzyć w cuda. Rozczarowana i zła, wyprostowała się jak struna i rzekła podniesionym głosem:

- Proszę mi wybaczyć, ale przypomniałam sobie, że mam w tej chwili coś ważnego do zrobienia! Dumnie uniosła głowę i dodała wyniosłym tonem:

- Suka mojego ojca właśnie bierze kąpiel. - Odwróciła się na pięcie i wyszła przez

uchylone drzwi, łączące ze sobą dwa pokoje.

John odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się z całego serca. Colby także się śmiał z zachowania córki. Z zasady nigdy nie podnosiła głosu i przyzwyczał się myśleć o niej, jak o posłusznej, nieśmiałej i całkiem bezbarwnej istotce. Tymczasem ten młody człowiek dał jej ostrogę i sprawił, że oczy Ellen zaczęły błyszczeć.

- Ciekawe - powiedział do Johna. - Nigdy dotąd nie była niegrzeczna wobec gości i nie przypominam sobie, by kiedykolwiek podniosła głos.

- Mężczyzna lubi robić wrażenie, proszę pana - odparł John z szacunkiem, uśmiechając się przy tym. - Pańska córka jest znacznie bardziej interesująca z tym charakterkiem niż bez niego. Przynajmniej dla mnie.

- Powiedział pan, że ma pan gdzieś tutaj ranczo? - spytał Colby.

- Nieduże - John skinął głową - ale się rozrasta. Zacząłem właśnie krzyżować rasy i mam całkiem niezłe rezultaty. Hoduję byki zarodowe rasy longhorn i stadko krów herefordzkich. Mam nadzieję wyhodować nową, lepszą rasę, taką, której walory smakowe zaspokoją gusta ludzi ze Wschodu. Chciałbym moje krowy sprzedawać w Chicago.

Starszy pan zmierzył wzrokiem swego gościa. Od znoszonych, ale wciąż jeszcze niezłych butów i garnituru, aż po bardzo starą kaburę i rewolwer dyskretnie ukryty pod połą rozpiętej marynarki.

- Mówi pan z akcentem południowca - stwierdził Colby.

- Pochodzę z Georgii. - John ponownie skinął głową. - Tam się urodziłem.

Colby syknął. John się roześmiał.

- A więc wie pan, co Sherman i jego ludzie zrobili z moim stanem. - Niewolnictwo jest sprzeczne z moimi ideałami - powiedział Colby. Rysy mu stężały. - Sherman miał pełne prawo zrobić to, co zrobił.

John musiał się ugryźć w język, żeby zbyt ostro nie odpowiedzieć. Jeszcze teraz, po wielu długich latach, czuł żar ognia, słyszał krzyk matki i siostry ginących w piekle szalejących płomieni...

- Miał pan niewolników? - dopytywał się Colby surowo.

- Razem z matką i siostrami pracowałem na farmie w pobliżu Atlanty - odparł John. Mówił przez zaciśnięte zęby, żeby broń Boże nie wybuchnąć. - Tylko bogaci plantatorzy mogli sobie pozwolić na niewolników. Moi przodkowie przyjechali tu z Irlandii. Być może pamięta pan napisy umieszczane na bramach posiadłości na Północy, na których można było przeczytać: „Kolorowym i Irlandczykom wstęp wzbroniony”.

Colby chyba poczuł się nieswojo. Oczywiście, często widywał takie napisy.

- Odpowiadając na pańskie pytanie - ciągnął John - to gdybym był bogatym plantatorem, zatrudniłbym sobie robotników, a nie kupował, ponieważ uważam, że żaden człowiek żadnego koloru nie ma prawa posiadać na własność innego człowieka. - Zielone oczy Johna płonęły. W okolicach Atlanty mieszkało wielu drobnych właścicieli ziemskich i dzierżawców, takich jak moja rodzina, którzy zapłacili za chciwość i luksusy właścicieli plantacji. Armia Shermana nie traciła czasu na sprawdzanie, kto jest kim.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział prędko Colby. - Jedna z moich praczek była niewolnicą. Miała ręce sine od nacięć, które zrobiła jej właścicielka, kiedy ta nieszczęsna kobieta przypaliła suknię, którą kazano jej prasować.

- Widywałem podobne rany - odparł John. Nie przyznał się, że jeden ze współwłaścicieli jego farmy także ma takie potworne blizny. Zresztą tak samo jak jego żona i ich najstarsza córka.

- Czy mama i siostry mieszkają razem z panem? - zapytał Colby.

- Nie, proszę pana - odparł John po chwili milczenia. - Została mi tylko jedna siostra. Mieszka w Północnej Karolinie. Prócz niej wszyscy nie żyją.

Oczy Colby'ego się zwięziły. Przyglądał się Johnowi, jakby dopiero teraz naprawdę go zauważył.

- Ale przecież radzi pan sobie w Teksasie całkiem nieźle, mimo że jest pan zupełnie sam, prawda?

- Uśmiechnął się.

John zmusił się do przemilczenia zniewagi i odwzajemnił uśmiech.

- Owszem, a będzie jeszcze lepiej - odparł z niezachwianą pewnością. - Dużo lepiej.

Colby się roześmiał.

- Przypomina mi pan mnie samego z czasów mojej młodości. Odszedłem z domu, by zdobyć fortunę i miałem dość zdrowego rozsądku, żeby wykorzystać do tego celu tory kolejowe.

John obracał w rękach kapelusz. Bardzo chciał zagadnąć Colby'ego o tę bocznice, która umożliwiłaby mu bezpieczny transport bydła bez konieczności przewożenia go do Kansas, jednak obawiał się kusić los. Colby mógłby uznać, że John wyszedł przed szereg, że uważa się za lepszego niż jest w rzeczywistości. Nie mógł sobie na to pozwolić, nie wolno mu było zrazić do siebie Colby'ego.

- Powinienem już iść - powiedział, przestępując z nogi na nogę. - Nie zamierzałem zajmować panu tak wiele czasu, sir. Chciałem tylko zaproponować swoje ranczo jako teren łowiecki oraz zapytać o zdrowie pańskiej córki po tym nieszczęśliwym wypadku.

- Wypadek... - Colby pokręcił głową. - Ellen to największa niezdara na całym bożym świecie - powiedział chłodno. - Żaden mężczyzna nie wytrzymał dłużej niż jeden dzień w roli starającego się o nią.

- Nie wierzę. Jest czarująca - zaoponował z galanterią John. - Ma poczucie humoru, potrafi się śmiać sama z siebie i mimo że jej towarzysz był wobec niej niegrzeczny, ona zachowała się z wielką godnością.

Colby słuchał bardzo uważnie.

- I pan naprawdę uważa ją za atrakcyjną? - zapytał zniechęcony.

- To najatrakcyjniejsza kobieta spośród wszystkich, z jakimi miałem do czynienia - odparł John z pełnym przekonaniem. Tym razem nie musiał się zastanawiać nad doborem słów.

- Pan chyba czegoś ode mnie chce. - Colby się roześmiał. - Ale muszę przyznać, że zrobił pan na mnie wrażenie. Ma pan styl i gest.

- Dziękuję panu, sir. - John się uśmiechnął.

- Być może skorzystam z pańskiego zaproszenia w późniejszym terminie, młody człowieku. Tym razem jednak przyjmę pierwszą propozycję. Ale pan także może mi oddać przysługę.

- Zrobię, co tylko w mojej mocy - zapewnił go John.

- Skoro uważa pan moją córkę za... uroczą, chciałbym pana prosić, żeby miał pan na nią oko podczas mojej nieobecności.

- Niestety, na moim ranczo nie ma nikogo, kto nadawałby się do roli przyzwoitki - powiedział prędko John.

Gdyby ten człowiek lub jego córka zobaczyli, w jakim stanie są jego interesy, jak naprawdę wygląda ranczo, nie uniknąłby kompromitacji. I to byłaby jego katastrofa.

- Człowieku, przecież nie proponuję, żebyś zamieszkał razem z nią i żył z nią w grzechu! - wybuchnął Colby. - Moja córka pozostanie w tym hotelu. Już jej zapowiedziałem, żeby się nie ruszała z miasta. Chodziło mi tylko o to, żeby zajrzał pan do niej tutaj od czasu do czasu... Chciałbym mieć pewność, że nic złego jej się nie stało. Będzie tu całkiem sama, nie licząc miejscowej pokojówki.

- Rozumiem. - Johnowi kamień spadł z serca. - Wobec tego będę zaszczycony. Ale co zrobimy z jej towarzyszem, z sir. Sydneyem?

- Sir Sydney pojedzie ze mną. Będzie moim gościem - Colby westchnął ciężko. - Ten człowiek to utrapienie, ale jest właścicielem skrawka ziemi w pobliżu Chicago, który jest mi bardzo potrzebny - zwierzył się Colby. - Chciałbym tam postawić nową lokomotywownię,

więc muszę wprawić go w dobry nastrój. Mogę pana jednak zapewnić, że moja córka nie będzie rozpaczać z powodu nieobecności tego gburą. Pojechała z nim na spacer wyłącznie dlatego, że ją o to poprosiłem. Ona go nie lubi, twierdzi, że jest odpychający.

John był tego samego zdania, ale wolał nie ryzykować i nie wygłaszać swojej opinii.

- Cieszę się, że pana poznałem, młody człowieku. - Colby wyciągnął dłoń i John ją uściskał.

- Ja także - odrzekł. - Pozwoli pan, że pożegnám się z pańską córką?

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Dziękuję.

John podszedł do uchylonych drzwi, za którymi kilka minut temu zniknęła Ellen Colby. Pchnął je lekko i zatrzymał się w progu.

W pokoju znajdowała się pokojówka, panna Ellen Colby i bardzo mokry pies w nieokreślonym wieku i nieznaney rasy. Pies był kudłaty, czarno - biały i miał bardzo długie uszy. Warczał i popiskiwał żałośnie, rozpaczliwie rozchlapując przy tym mydliny.

- Panno Colby, ta suczka wyraźnie nie lubi kąpieli - mówiła pokojówka, usiłując jednocześnie poprawić czepek na głowie.

- To nie ma znaczenia, Lizzie. Wykąpiemy ją albo zginiemy. - Ellen dmuchnęła, próbując pozbyć się z twarzy pukla włosów. Obiema rękami przytrzymywała nieszczęsnego psa w balii, podczas gdy pokojówka lała na niego wodę z kubka.

- Nie lepiej go zanurzyć, panno Colby? - odezwał się John od progu. Nie spodziewała się go jeszcze zobaczyć. Gwałtownie podniosła głowę, przez co rozluźniła mocny uchwyt, którym trzymała psa. Zwierzę szczeękło radośnie, wyskoczyło z balii, zeskoczyło ze stołu i rozrzucając na boki szmaty, którymi wyłożono podłogę, pognało do salonu.

- Na litość boską! - zawołała Ellen. - Łap ją, Lizzie, bo pobiegnie do sypialni! Gotowa jeszcze wskoczyć na łóżko papy, jak to zwykle robi.

- Tak, proszę pani!

Pokojówka pognała co sił w nogach.

Ellen chwyciła się pod boki i sztyletowała wzrokiem stojącego w progu wysokiego zielonookiego mężczyznę.

- Widzi pan, co pan narobił? - złościła się na Johna.

- Ja? - John zrobił minę niewiniątka. - Zapewniám panią, że chciałem się tylko pożegnać.

- W krytycznym momencie odwrócił pan moją uwagę!

Uśmiechnął się leniwie. Podobały mu się jej niebieskie oczy rzucające błyskawice.

Podobały mu się jej gęste włosy. Miał wrażenie, że są bardzo długie. Zastanawiał się, czy rozpuszcza je na noc.

Jednak ta myśl wcale mu się nie spodobała. Wyprostował się i rzekł z lekką kpina w głosie:

- Jeśli całe pani życie towarzyskie sprowadza się do kąpania psa, to wiele pani traci.
- Myli się pan. Ja prowadzę życie towarzyskie!
- Wpadając w błotniste kałuże?

Chwyciła ociekającą wodą szczotkę, którą przed chwilą szorowała psa. Miała taką minę, jakby zamierzała rzucić nią w Johna.

On zaś odchylił głowę do tyłu i śmiał się głośno i serdecznie.

- Niech się pan uciszy - syknęła przez zęby z ledwie hamowaną złością.
- Ma pani w sobie niezwykle żar - stwierdził z zadowoleniem. - Pani ojciec poprosił mnie, żebym miał na panią oko, kiedy on pojedzie na polowanie. Wspaniała perspektywa.
- Trudno mi sobie wyobrazić coś, co by mi sprawiło mniejszą przyjemność!
- Jestem całkiem miłym towarzyszem - zapewnił ją John. - Wiem, gdzie szukać ptasich gniazd i gdzie rosną kwiaty. A w razie potrzeby mogę nawet zaśpiewać i zagrać na gitarze.

Zawahała się. Jej koronkowa suknia była cała pochlapana, we włosach miała strzępki piany. Patrzyła na niego z nieukrywanym zainteresowaniem.

- Nosi pan rewolwer - stwierdziła. - Czy do ludzi też pan strzela?
- Tylko do tych najgorszych. I zapewniam panią, że jeszcze nigdy nie zastrzeliłem żadnej kobiety.
- Bardzo mnie pan pocieszył.
- Hoduję bydło na ranczo niedaleko stąd - mówił. - W przeszłości czasami musiałem bronić swoje krowy przed bandami Komanczów.

- Indianie! Tutaj?

Jej przerażona mina znów go rozśmieszyła. - Owszem, Indianie. Ale oni już dawno odeszli. Mieszkają teraz na Terytorium Indian. Ale zostali jeszcze zwykli złodzieje, uciekinierzy zza granicy meksykańskiej, dezertery i przeróżne typki z miasta, którym się wydaje, że mogą ukraść moje” bydło i szybko zarobić pieniądze, sprzedając je wojsku.

- Jak się pan przed nimi bronić.
- Jestem czujny - odparł - i mam pomocników. Ci ludzie mają udziały w moim ranczo i bardzo dbają o nie.
- Udziały? - zdziwiła się Ellen. - To oni nie pracują u pana za pieniądze?

Pożałował, że w porę nie ugryzł się w język. Przecież nie chciał, żeby się wydało to, że nie jest jedynym właścicielem rancza. Postanowił szybko naprawić swój błąd.

- Współdziałowiec zawsze lepiej pracuje. Wolę współnika od najemnego pracownika, który w każdej chwili może odejść i zatrudnić się u innego ranczera. A taki, który ma udziały w dochodach z rancza jest zainteresowany w tym, aby te dochody były jak największe. Zresztą, w każdej chwili mogę go spłacić, tylko że na razie to mi się nie opłaca.

Od razu zauważyła, że przestał się pilnować i jest coraz bardziej swobodny w jej towarzystwie. Chyba zaczął się jej podobać. Był trochę tajemniczy, bardzo przebiegły, ale czarujący. Miał urok. Był to pierwszy mężczyzna w jej życiu, o którym chciała się czegoś więcej dowiedzieć.

- Mogę zabrać panią na przejażdżkę moją dwukółką - zaproponował. - Co pani na to?

- Może pojedę - odparła i po chwili dodała: - A może nie.

Znów wybuchnął śmiechem. Jej zadziorność bardzo mu się podobała. Ta kobieta nie była piękna, za to miała cechy, jakich nie spotkał u żadnej innej.

- Ale psa nie wezmę - powiedział, zbierając się do wyjścia.

- Pies papy wszędzie ze mną jeździ - skłamała tylko po to, żeby mu się sprzeciwić.

- O ile dobrze pamiętam, to w tej kałuży wylądowała pani sama.

Popatrzyła na niego i nagle uśmiechnęła się nie - śmiało. Przez chwilę przyglądał jej się z zainteresowaniem, a potem też się uśmiechnął.

- Przedyskutujemy to sobie innym razem. Zajrzę do pani za dzień lub dwa. - Z uszanowaniem uchylił kapelusza. - Życzę miłego dnia, panno Colby.

- Ja także życzę panu miłego dnia, panie... - Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że nie wie nawet, jak on się nazywa.

- John - odpowiedział. - John Jackson Jacobs. Ale ludzie nazywają mnie Dużym Johnem.

- Rzeczywiście, jest pan dość wysoki - przytaknęła i dodała po chwili wahania: - I taki jakiś potężny...

. - Za to pani jest drobniutka. - John znów się do niej uśmiechnął. - Ale podoba mi się pani temperament, panno Colby. Bardzo mi się podoba. Westchnęła. Kiedy spojrzała w zielone oczy Johna, jej oczy odrobinę rozbłyły i stały się bardziej lśniące. Puścił do niej oko, a ona się zarumieniła. Ale nim zdążył się odezwać, pojawiła się pokojówka, ciągnąc ; za sobą mokrego, opierającego się psa.

- Przepraszam pana, ale to stworzenie jest całkiem mokre - powiedziała pokojówka, zdążając do bali.

- Właśnie widzę. Życzę paniom miłego dnia. - Ponownie uchylił kapelusza i zniknął, pogrążając ostrogami.

Ellen Colby spoglądała w ślad za nim z ciekawością i przedziwnym uczuciem, jakby coś utraciła.

Niesłychane, pomyślała, dopiero co poznałam tego mężczyznę, a zdaje mi się, jakbyśmy od dawna się przyjaźnili. Ciekawe, dlaczego przy nim jestem taka radosna jak nigdy dotąd?

Wiodła samotne życie. Jedynym jej zajęciem było służenie ojcu i pomaganie mu w pełnieniu obowiązków pana domu. Oprócz tego opiekowała się babcią, ale babcia podróżowała teraz po świecie, więc w tej chwili Ellen była raczej zawadą, aniżeli podporą swej rodziny. Dla nikogo nie było tajemnicą, że ojciec chciał jak najszybciej wydać ją za mąż i wreszcie pozbyć się kłopotu. Niestety, szanse były nikłe.

Ellen zajęła się psem. Było jej smutno i żałowała, że nie urodziła się ładniejsza.

ROZDZIAŁ DRUGI

John wolno wracał do domu. Minał dopiero co postawione ogrodzenie z drutu kolczastego, chroniące jego medalowe byki długorogie, minął drugą zagrodę, w której pasł się byk rasy hereford wraz z niewielkim stadkiem krów tej samej rasy oraz ich urodzonymi wiosną cielętami. Miał także setki sztuk bydła mięsnego, ale te pasły się na terenie całego rancza, nie chronione żadnymi płotami i tylko po wypalonym znaku 3J można było poznać, że należą do niego. Cielęta znaczone na wiosnę...

Wreszcie dotarł do domku, w którym mieszkał razem ze swoimi zarządcami i ich rodzinami.

Mary Brown z dzieckiem na ręku stała w drzwiach. Widocznie już od dłuższego czasu wyglądała powrotu Johna. Jej przepecone włosy kryła kolorowa chusteczka. Był początek czerwca, w południowym Teksasie o tej porze roku było bardzo gorąco.

- Razem z Juaną wyprałyśmy pańskie stare ubranie - pochwaliła się Mary. Jej brązowe oczy śmiały się do Johna. - Isaak i Luis poszli z chłopcami nad rzekę nałowić ryb na kolację, a dziewczęta pieką chleb.

- Świetnie - powiedział John. - Czy mam coś suchego i wyprasowanego, co mógłbym na siebie włożyć?

- Mniej więcej. Ale jeszcze kilka dziur i żadne szycie nie zaoszczędzi panu wstydu w towarzystwie.

- Pracuję nad tym, Mary. - John się roześmiał.

Pochylił się, żeby wziąć na ręce najmłodszego synka Mary, malutkiego Johna. - Musisz szybko rosnać, maleńki. Pomożesz mi zaganiać bydło. Niemowlę zagulgotało. John się uśmiechnął i oddał dziecko matce.

Właśnie wtedy nadeszli Luis i Isaak z chłopcami. Obaj mężczyźni nieśli linki pełne ryb.

- Wróciłeś? - Powitał Johna uśmiechem Isaak. - Jak ci się poszczęściło?

- Nawet bardzo, chociaż wcale się tego nie spodziewałem - powiedział John do wysokiego czarnoskórego mężczyzny.

Spojrzał na Luisa Rodrigueza, swego naczelnego pastucha, który był niski i krępy. Wziął ryby od Isaaka i od Luisa, i podał obie linki chłopcom.

- Weźcie te ryby, chłopaki, i idźcie je wyczyścić, żeby Mary mogła zrobić kolację - polecił.

- Tak jest - powiedział wysoki czarnoskóry chłopiec. Jego niższy latynoski kolega tylko uśmiechnął się i obaj wyszli z chaty.

Zginęło nam jeszcze jedno ciele, *señor* - odezwał się poirytowanym tonem Luis. - Obaj z Isaakiem wróciliśmy do domu tylko po to, żeby odprowadzić chłopców. - Wyjął z kabury rewolwer, sprawdził, czy jest załadowany. - Pojedziemy poszukać tego cielaka. - Jadę z wami - powiedział John. - Tylko najpierw muszę się przebrać.

Zaniósł uprane stare ubranie do jedynego pomieszczenia, które miało jako takie drzwi. Tam zdjął z siebie swój najlepszy garnitur, powiesił go na krześle, które kiedyś własnoręcznie zrobił dla Mary. Przebrał się w czyste robocze ubranie i ponownie opasał się pasem, na którym nosił kaburę. Uważnie sprawdził, czy rewolwer jest załadowany.

Złodzieje byli zmorą wszystkich ranczerów, ale w tych ciężkich czasach, kiedy utrata kilku cielaków czasami decydowała o tym, czy miało się ranczo, czy też się je traciło, nie można było sobie pozwolić na żaden ubytek.

Z ponurą miną dołączył do pozostałych mężczyzn.

- Ruszamy na poszukiwania - powiedział.

Znaleźli cielaka. Zaszlachtowanego. Ślady znajdujące się w pobliżu świadczyły o tym, że nie zrobili tego zwykli złodzieje bydła, tylko dwaj Indianie. Złamany grot strzały i odciski mokasynów wskazywały na to, że byli to Komancze.

- A niech to! - wściekał się John. - Co Komancze robią tak daleko na południu? A jeśli są głodni, dlaczego nie upolowali sobie królika albo przepiórki?

- Wszyscy oni wolą bizona, *señor*, ale stada odeszły dawno temu i nawet tutaj już się ich nie spotyka. Dlatego musimy łowić ryby na kolację.

- Niech sobie wracają do siebie, na Terytorium Indian! Po co kręcą się tutaj i okradają biednych ludzi? - John zacisnął usta, przypomniawszy sobie, co usłyszał w Sutherland Springs. - Może to byli ci dwaj uciekinierzy z Terytorium Indian - zastanawiał się na głos. - Ci, których poszukuje wojsko?

- Co takiego? - zapytał Isaak.

- Nic. - John klepnął go po ramieniu. - Tak sobie tylko głośno myślałem. Wracajmy do pracy.

Następnego dnia znów ubrał się w swój najlepszy garnitur i pojechał do Springs spotkać się z Ellen Colby. Spodziewał się zastać ją odpoczywającą w swoim apartamencie albo bawiącą się z psem. A to, co zobaczył, zaskoczyło go i zdumiało.

Ellen nie była w hotelu, tylko klęczała na środku ulicy i tuliła do siebie czarnoskórego chłopca, którego jakiś wściekły przechodzień zepchnął z chodnika na jezdnię.

- ... wlaź mi w drogę! - krzyczał. - Zresztą i tak nie powinien łązić po chodniku. Jego miejsce jest na ulicy. A w ogóle to powinien być martwy. Wszyscy oni powinni pozdychać! To przez nich straciliśmy wszystko. A teraz jeszcze chroni ich ta sama armia, która puściła z dymem nasze domy! Niech pani go zostawi. On nigdzie nie pójdzie, póki nie dam mu porządnej nauzki! - Nie mam zamiaru go zostawiać. - Ellen dumnie uniosła głowę. - Jeśli pan go uderzy, to mnie też będzie pan musiał uderzyć.

John stanął na chodniku, tuż obok awanturującego się przechodnia. Nie patrzył na Ellen, tylko na wściekającego się mężczyznę. Nie odezwał się ani słowem, ale odgiął połą marynarki, ukazując w całej pełni kaburę z wielkim rewolwerem.

- O, jeszcze jeden! - wrzasnął wściekły przechodzień. - Kiedy wreszcie te przekłete Jankesy wyniosą się z Teksasu? Wracaj na Północ! Tam, skąd przyszedłeś!

- Jestem z Georgii - odezwał się John, prze ciągając samogłoski. - A teraz moje miejsce jest tutaj.

Awanturnik był zaskoczony. Wyprostował się, zacisnął pięści i wrogo popatrzył na Johna.

- I ty występujesz przeciwko drugiemu południowcowi? Przeciwko takiemu samemu jak ty?

- Owszem, jestem południowcem. I co z tego? Zawsze starałem się być po stronie tej ciemniejszej części ludzkości - odparł John z przeciągłym akcentem południowca. Pochylił się nieco nad dużo starszym od siebie mężczyzną, który na moment aż wstrzymał oddech ze strachu. - Ale proszę, proszę, niech pan spróbuje zrobić to, co pan uważa za słuszne - dodał prowokacyjnie i znów uchylił połą marynarki. Colt był widoczny w całej okazałości.

- No i widzi pan - odezwała się Ellen, podnosząc się z klęczek i pomagając wstać chłopcu. - Oto, co się może stać, kiedy się działa z niecnym pobudek.

- Rzuciła mordercze spojrzenie staremu awanturnikowi. - Dziecko to dziecko, nieważne, jaki ma kolor skóry i skąd pochodzi.

- To nie jest dziecko! - Łotr nie dawał za wygraną. - To wstrętny...

- Pozwalam sobie mieć inne zdanie. - Do sprzeczki włączył się człowiek z gwiazdą szeryfa przypiętą do koszuli. Był to James Graham, zastępca szeryfa, znany z niezwyklej uczciwości. - Czy trzeba pani w czymś pomóc? - Zwrócił się do Ellen, uchyliwszy kapelusza.

- Ten człowiek zepchnął chłopca z chodnika i chciał go uderzyć - oświadczyła Ellen, obrzucając swego przeciwnika morderczym spojrzeniem. - Ja się wtrąciłam, a potem nadszedł pan Jacobs, dzięki czemu uniknęliśmy kolejnych aktów przemocy.

- Nic ci się nie stało, synu? - zapytał szeryf chłopca, który stał z otwartymi ustami,

niepomierzenie zdumiony tym szybko rosnącym gronem swych obrońców.

- Nic, proszę pana - bąknął nieśmiała - Jestem cały i zdrowy.

Ellen Colby wyjęła z torebki monetę, wcisnęła ją chłopcu w dłoń.

- Kup sobie miętówek - powiedziała.

Chłopiec spojrział na pieniążek i uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo pani dziękuję, ale wolę kupić mamie worek mąki. Panom też dziękuję - zwrócił się do szeryfa i do Johna, po czym odwrócił się i poszedł swoją drogą. Chodnikiem. Teraz Graham zajął się mężczyzną, który sprowokował całe zajście.

- Nie lubię awanturników - powiedział tonem nawykłym do wydawania rozkazów. - Jeśli jeszcze raz zdarzy się podobna sytuacja, pójdzie pan pod klucz. Obiecuję.

Mężczyzna obrzucił chłodnym spojrzeniem całą trójkę obrońców czarnoskórego chłopca, po czym odwrócił się bez słowa i odszedł.

- Jestem wam obu bardzo wdzięczna - powiedziała Ellen.

- Żadna fatyga. - John wzruszył ramionami.

Zastępca szeryfa się roześmiał.

- Przybysz z Georgii obrońcą murzyńskiego dziecka! - Pokręcił głową. - Co to się porobiło?

John też się roześmiał, ale zaraz spoważniał.

- Pracuje ze mną rodzina, która kiedyś była w niewoli - wyjaśnił. - Gdyby pan zobaczył ich bliźny, od razu by mnie pan zrozumiał. Nawet dzieci katowali...

- Rozumiem. - Szeryf skinął głową. - Gdyby miała pani jeszcze jakieś problemy - zwrócił się do Ellen - to jestem do usług.

Uchylił kapelusza i wrócił do swego konia.

- Dobry z pana człowiek, panie Jacobs - powiedziała Ellen, patrząc na Johna z podziwem. - Dziękuję panu za pomoc.

Znowu wzruszył ramionami.

- Myślałem o najstarszym synu Isaaka. Umarł w Georgii - powiedział cicho i przysunął się bliżej, bo gapie już sobie poszli. - Isaak to jeden z moich pomocników - dodał - Nadzorca zakatował mu syna tuż przed samym zakończeniem wojny.

- A mnie się zdawało, że wszyscy południowcy nienawidzą kolorowych. - Bardzo uważnie przyglądała się jego szczupłej ogorzalej twarzy.

- Większość z nas, zwyczajnych południowców, pracowała na polach ramię w ramię z niewolnikami - odparł John bez emocji. - Sami niewiele różniliśmy się od niewolników. A bogacze pławili się w luksusie i udawali, że nie widzą, jak okrutnie traktują pracujących u

nich niewolników nadzorcy.

- Nie miałam o tym pojęcia - powiedziała niepewnie i westchnęła.

- Niewielu ludzi z Północy o tym wiedziało. W Georgii było nawet jedno hrabstwo, które wywiesiło flagę Unii. Tamtejsi mężczyźni nie dali się wcielić do armii konfederatów. Kiedy brano ich siłą, to i tak uciekali i wojsko musiało ich ścigać. Jeśli ich złapano, to znów uciekali i tak w kółko. - Roześmiał się, widząc zdumioną minę Ellen. - Jeśli pani naprawdę chce o tym wszystkim posłuchać, to chętnie opowiem, ale nie tu, a przy herbacie.

- Będę panu bardzo wdzięczna, panie Jacobs - odparła, rumieniąc się przy tym urocz.

Podał jej ramię. Ułożyła swą małą dłoń w zagięciu jego ramienia i pozwoliła się poprowadzić do nieskazitelnie czystej restauracji hotelowej.

John zastanawiał się, czy nie powinien był powiedzieć Grahamowi o śladach Komanczów, które znalazł na swoim ranczo, ale w końcu machnął ręką. Postanowił powiedzieć mu o tym przy najbliższej okazji.

Ellen podobał się ten gibki, szorstki mężczyzna siedzący naprzeciw niej i popijający herbatą deserowe ciasteczka w taki sposób, jakby od urodzenia należał do wyższych sfer. A przecież wiedziała, że tak nie jest. Był szorstki, trochę kanciasty, ale i to ją rozczulało. Wciąż miała przed oczami ten widok: John stojący nad przerażonym awanturnikiem i zachęcający tego starego łobuza do ponownego ataku.

Jest odważny, pomyślała, a ona zawsze szczerze podziwiała odwagę.

- Czy naprawdę przyszedł pan do papy, żeby spytać o moje zdrowie? - zapytała, gdy skończyli mówić o wojnie.

Spojrzał na nią zdziwiony tak nieoczekiwaną bezpośredniością.

- Nie - odparł szczerze.

Ellen się roześmiała.

- Proszę mi wybaczyć, ale dobrze wiedziałam, że nie po to się pan zjawił... Ale cenię sobie pańską szczerłość.

Rozparł się w krzesło i przyglądał się jej bez żenady. Jego zielone oczy przesunęły się po bladej twarzy Ellen, ześliznęły się w dół na delikatną wypukłość piersi, rysującą się pod stanikiem sukni w białe i zielone paseczki, i z powrotem w górę na burzę czarnych włosów starannie upiętych na czub.

- Nie umiem kłamać - wyznał. - Gzy mam być całkiem szczerzy i zaryzykować, że się pani do mnie zrazi?

- Proszę zaryzykować. - Uśmiechnęła się. - Już dawno przestałam liczyć mężczyzn, którzy udają podziw dla mnie, choć tak naprawdę widzą we mnie tylko środek do osiągnięcia

celu: fortuny mego ojca. Zdecydowanie wolę szczerość.

- Odziedziczyłem małe gospodarstwo po wuju, który zmarł jakiś czas temu. - John bawił się filizanką. - Przedtem pracowałem zarobkowo i za oszczędności dokupiłem trochę gruntu i kilka sztuk bydła. Niedawno zacząłem eksperymentować z krzyżowaniem ras. Hoduję nowy gatunek bydła, który, mam nadzieję, trafi w gusta konsumentów ze wschodnich stanów. - Popatrzył na nią. - Do wożenia bydła do linii kolejowej w Kansas to długi i powolny proces, a przy tym niebezpieczny. Zwłaszcza teraz, kiedy hodowcy boją się teksańskiej gorączki bydła i zamykają drogi dojazdowe przed naszymi krowami. Jestem w tej chwili w tak trudnej sytuacji finansowej, że nawet strata jednego cielaka może mnie zrujnować.

- Ale ma pan jakiś plan. - Ellen była tego zupełnie pewna.

- Owszem, mam plan. - John się uśmiechnął. - Chciałbym, żeby linia kolejowa przechodziła przez tę część Teksasu. A dokładniej, chciałbym, żeby bocznica kolejowa dochodziła do mojego rancza. Mógłbym wówczas wozić swoje krowy prosto do Chicago, bez konieczności transportowania ich przez Kansas.

- A więc miał pan powód, żeby zaprosić mego ojca na polowanie na pańskim ranczo.

- Muszę pani coś wyznać, panno Colby - John westchnął ciężko. - Ja i dwaj moi ludzie wraz z rodzinami mieszkamy w jednej wspólnej izbie. Z daleka nasz domek nawet nieźle wygląda, ale z bliska widać, jak bardzo jest prymitywny. To jest taki dom na niby, a ja tylko udaję majątnego farmera.

- Wskazał na swój garnitur. - Wydałem ostatnie pieniądze na to ubranie i pojechałem do miasta, ponieważ doszły mnie słuchy, że pani ojciec przyjechał i że ma córkę na wydaniu. - Zrobił żalostną minę.

- Ale nie jestem na tyle nieuczciwy i podły, by udawać miłość, której nie czuję. - Przyglądał jej się uważnie, bawiąc się tym razem łyżeczką do herbaty.

- Pozwolę więc sobie złożyć pani propozycję handlową. Proszę wyjść za mnie za mąż, a ta bocznica kolejowa niechaj będzie naszym prezentem ślubnym.

Ellen wyprostowała się i głęboko westchnęła.

- Naprawdę niczego nie owija pan w bawełnę!

- Po prostu jestem szczery - odparł. Pochylił się i utkwiał w niej wzrok. - Proszę mnie zrozumieć. Nie mam wiele, właściwie tylko ziemię i perspektywę.

Ale mam głowę do interesu i znam się na hodowli bydła. Jeśli dostanę szansę, stworzę imperium, jakiego Teksas jeszcze nie widział. Mam dobrych pomocników, wiele się od nich nauczyłem o hodowli bydła. Proszę, niech się pani zgodzi zostać moją żoną.

- A... co ja będę miała z tego związku? - spytała, nieco się jękając. - Wolność.

- Przepraszam, ale chyba źle pana zrozumiałam.

- Przypuszczam, że ojciec dba o panią, ale traktuje panią jak swoją własność. Tamten dżentelmen - powiedział to słowo z lekkim obrzydzeniem - stał z założonymi rękami, kiedy pani wpadła w kałużę i nawet nie pomógł pani wstać. Uważam, że jest pani niedoceniana.

Zaśmiała się nerwowo.

- A gdy zostanę żoną biedaka i zamieszkam z nim w głuszy, gdzie grasują wszelkiej maści złodzieje, to ktoś mnie doceni?

- Mogłaby pani nosić spodnie, jeździć konno i pomagać w spędach bydła - kusił ją z uśmiechem na ustach. - Mógłbym nawet nauczyć panią znakować bydło i strzelać.

Jej zachowanie zmieniło się w jednej chwili. Przyglądała mu się w milczeniu, a potem nagle powiedziała:

- Straciłam matkę, kiedy byłam małym dzieckiem i od tamtej pory opiekuje się mną jej matka, a moja babcia. Babcia Greene uważa, że damie pod żadnym pozorem nie wolno brudzić rąk. Wymaga dobrych manier w każdej sytuacji. Nie chciałaby nawet słyszeć o tym, żebym uczyła się jazdy konnej albo strzelania, przede wszystkim dlatego, że to nie przystoi kobiecie. Całe życie spędziłam w złotej klatce - jej błękitne oczy zalsniły - i bardzo chcę, żeby to się zmieniło.

- No więc niech mnie pani poślubi. - John się roześmiał.

Niewiele wiem o mężczyznach... - Znowu się zarumieniła. - Babcia i tata chronią mnie na wszystkie sposoby i nie bardzo umiem sobie wyobrazić... że obcy człowiek... że będę...

- Proponuję pani małżeństwo nie z miłości, ale z przyjaźni - przerwał jej tę niełatwą przemowę. - Prawdę mówiąc, każdy intymny związek z kobietą na razie jest dla mnie niemożliwy, bo w naszym domku nie ma osobnych pokoi. Wszyscy mieszkamy pod jednym dachem. I jeszcze jedno - dodał. - Moi współpracownicy i ich rodziny to Murzyni i Meksykanie, a nie biali. - Sprawdzał, jak zareaguje. - Jak pani widzi, trzeba się liczyć z jeszcze większymi trudnościami, jeśli idzie o opinię w tak zwanym środowisku.

Położyła dłonie na stoliku tak głośno, że aż klasnęły.

- Muszę się nad tym zastanowić. Oczywiście nie mam żadnych uprzedzeń - dodała pośpiesznie i uśmiechnęła się. - Po prostu chciałabym pana nieco lepiej poznać. Jedna z moich przyjaciółek zbyt pośpiesznie wyszła za mąż; Miała wtedy zaledwie piętnaście lat. Nie zdążyła dobrze poznać człowieka, za którego wyszła. Teraz ma dwadzieścia cztery, tak samo jak ja. Przez te dziewięć lat urodziła siedmioro dzieci, a mąż traktuje ją cały czas jak swoją własność. Nie jest ani wolna, ani kochana. Naprawdę nie ma jej czego zazdrościć.

- Rozumiem.

Najdziwniejsze z tego wszystkiego było to, że Ellen była absolutnie pewna, że on naprawdę rozumie. To był niezwykły człowiek. I nagle zobaczyła go takim, jakim miał się stać w dalekiej przyszłości: w kosztownym garniturze, w eleganckim otoczeniu. Miał potencjał. Ellen jeszcze nigdy nie spotkała nikogo takiego jak on. Westchnęła.

- Ale mój tata nie może się dowiedzieć całej prawdy - ostrzegła. - Niestety, ma swoje uprzedzenia... Nie zechce wydać mnie za mąż za człowieka, o którym wie, że stoi o wiele niżej od niego na drabinie społecznej.

- Wobec tego zrobię co w mojej mocy, żeby go przekonać - John uśmiechnął się lekko - że jestem nieślubnym synem irlandzkiego księcia.

- To w Irlandii są księżęta? - zainteresowała się Ellen.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami, a w jego oczach zalśniły iskierki rozbawienia. - Ale pani ojciec zapewne też tego nie wie.

Ellen się roześmiała. Jej twarz i oczy od razu się zmieniły. Cała się zmieniła. Kiedy się śmiała, była po prostu ładna.

- Jest jeszcze jeden problem - powiedział na wpół żartobliwym tonem.

- Mianowicie?

- Na moim ranczo jest mnóstwo błotnistych kałuż. - Teraz już śmiał się głośno i serdecznie.

- Och, ty... - zawołała, łapiąc czajniczek.

- Jeśli we mnie rzucisz, jutrzejsze gazety będą miały bardzo ciekawą pierwszą stronę.

- Naprawdę? A co zrobisz, jeśli w ciebie rzucę? - Prowokowała go radośnie.

Pamiętaj, że ja nie jestem całkiem ucywilizowany - ostrzegł ją. - Przełożę cię przez kolano i spuszczę lanie, a potem przerzucę sobie ciebie przez ramię i zaniosę do swojego domu.

- Pasjonujące! - zakpiła. - Jeszcze nigdy w życiu nie zrobiłam czegoś niestosownego. Wreszcie mogła bym się stać bohaterką jakiegoś skandalu!

- Kusząca perspektywa. - John uśmiechał się promiennie. - Problem w tym, że ja mam wielkie plany i nie chciałbym dostać się na języki. Na razie.

- Trudno, wobec tego na jakiś czas poskromię swoje mniej ucywilizowane instynkty.

- Za nasze nie całkiem ucywilizowane związki - zażartował, unosząc filizankę do góry, jakby wznosił toast.

- I ZA moje szalone marzenia. - Ellen także uniosła swoją.

Stuknęli się filizankami i wypili do dna.

Niestosownością byłoby, gdyby tylko we dwoje wyjechali za miasto, toteż Ellen nie

mogła zobaczyć rancza Johna. Ale w niedzielę zaprowadził ją do kościoła. Był to nowy zwyczaj, który czuł się w obowiązku kultywować. Po niespiesznym lanczu w hotelu spacerowali razem główną ulicą miasteczka.

W następnym tygodniu John bywał częstym gościem w Springs. Oboje z Ellen zaprzyjaźnili się z eleganckim szkockim dżentelmenem i jego żoną, którzy także mieszkali w hotelu i korzystali z leczniczych właściwości tutejszych wód.

- To wielki kraj - powiedział jednego dnia Szkot, Robert Maxwell. - Oboje z Edith bardzo byśmy chcieli zwiedzić najbliższą okolicę, ale powiedziano nam, że to niezbyt bezpieczne.

- To prawda - przyznał ponuro John. - Ja i moi współnicy od tygodnia tropimy złodziei - powiedział ku wielkiemu zdziwieniu Ellen, przed którą trzymał to w tajemnicy. - Tutejsi złodzieje są bardzo groźni, a oprócz nich mamy także przybyszów zza granicy.

- Czy są tutaj czerwonoskórzy Indianie? - Zapytał Maxwell, a oczy mu błyszczały. - Bardzo bym chciał zobaczyć chociaż jednego.

- Obecnie wszyscy znajdują się na Terytorium Indian i jestem przekonany, że tak naprawdę nie chciałby pan żadnego z nich poznać - powiedział John. - Komancze, którzy zamieszkiwali te okolice, nie przepadają za zagranicznymi gośćmi. Mają też zasłużoną opinię ludzi nienawidzących każdego, kto wejdzie na ich ziemię.

- Ich ziemię? - spytał zaciekawiony Szkot.

- Tak, ich ziemię - potwierdził stanowczo John. - Zamieszkiwali te tereny na długo przedtem, zanim pierwszy biały człowiek postawił tutaj stopę. Mieszają się z ludnością Meksyku...

- Ale chyba kiedy pan tu przyjechał, nie było tutaj żadnych ludzi - przerwał mu Maxwell wyraźnie poruszony.

Zapewne na Wschodzie niewielu ludzi o tym wie, ale zaledwie kilka dziesiątków lat temu Teksas był częścią Meksyku - poinformował go John. - Dlatego właśnie stanęliśmy do wojny z Meksykiem. Teksas chciał się od niego uniezależnić. Nasi dzielni chłopcy ginęli pod Alamo, San Antonio, pod Goliadi San Jacinto po to, żeby przyłączyć Teksas do Unii. Ale meksykańscy chłopcy także dzielnie walczyli o utrzymanie swojego terytorium. W każdym razie oni tak to widzą. Uważają nas za najeźdźców.

Ellen ukradkiem przyglądała się Johnowi z wielkim podziwem.

- Teraz już rozumiem. - Roześmiał się Maxwell.

- To tak jak my i Anglicy. Przez wieki walczyliśmy o niepodległość. Irlandczycy zresztą też. Ale Brytyjczycy to uparte plemię.

- Teksańczycy tak samo. - John też się roześmiał.

- A może wybrałby się pan z nami na przejażdżkę, mody człowieku? - Spytał Maxwell z nadzieją w głosie. - Naprawdę bardzo byśmy chcieli obejrzeć okolicę, a widzę, że pan ma przy sobie duży rewolwer. Przypuszczam, że mógłby pan zastrzelić każde dwunożne stworzenie, jakie ośmieliłoby się nam zagrozić.

John zerknął na Ellen. W jej niebieskich oczach ujrzał tyle uznania, że na chwilę stracił wątek. Zamrugał oczami i znów popatrzył na obcokrajowców. Miał przy tym nadzieję, że nikt nie usłyszał głośnego bicia jego serca.

- Pojadę - powiedział. - Ale pod warunkiem, że Ellen także się z nami wybierze.

- Oczywiście, przecież to dama pańskiego serca - powiedziała z dziwną pewnością w głosie żona Maxwella, uśmiechając się uroczo.

- Tak - potwierdził John odruchowo, spoglądając na Ellen. - Pani mojego serca.

Ellen się zarumieniła i spuściła oczy, a szkocka para roześmiała się czarująco. Ellen była tak podekscytowana, że całkiem zapomniała o zakazie ojca, który surowo zabronił jej opuszczać hotel podczas jego nieobecności. A kiedy sobie przypomniała, najzwyczajniej w świecie zignorowała zakaz.

Wynajęli niewielki powozik. Był to najlepszy powóz w całej stajni, miał nawet ozdobne frędzle dookoła, a uprząż koni była ze srebra i czarnej skóry.

John pomógł Ellen usiąść na tylnym siedzeniu, po czym usadowił się obok niej.

- Dla ciebie to pewnie całkiem zwyczajne - powiedział cicho, oczami wskazując ozdobną końską uprząż - ale dla mnie to wyjątkowy widok. Prawdziwa uczta dla oczu.

- Dla mnie to też wielkie wydarzenie - odparła, wygładzając spódnice niebieskiego kostiumu. - Bardzo chciałam pojechać na wieś, ale tata myśli tylko o polowaniu. Nie lubi zwiedzania i nie przepada za moim towarzystwem.

- Za to ja bardzo lubię twoje towarzystwo - zapewnił ją John z przekonaniem.

Spojrzała na niego zdumiona tą niezwykłą szczerością i żarem jego spojrzenia. Zatonęła w tych jego zielonych oczach ocienionych szerokim rondem świątecznego kapelusza.

John nagle poczuł się tak, jakby dostał skrzydeł. Odruchowo ujął drobną dłoń Ellen i zamknął ją w delikatnym uścisku.

Oczarowana wstrzymała oddech.

- Czy jest wam wygodnie, młodzieży? - zapytał Maxwell.

- Bardzo wygodnie, dziękuję - odparł John i spojrzał na Ellen tak, jakby już należała do niego.

- Mnie także - wydusiła z siebie Ellen pomimo ściśniętego gardła.

- No to w drogę - zawołał Maxwell. Wziął lejce i puścił oko do żony.

Powóz ruszył. Konie doskonale dobrano do czekającej ich drogi. Nie szarpały, ciągnęły równo, powóz jechał jak po stole.

- Którędy pojedziemy? - - zapytał Maxwell.

- Proszę jechać tą drogą, na której jesteśmy - powiedział John. - Tę okolicę znam najlepiej. Droga przechodzi przez moją ziemię aż do następnego miasteczka, Quail Run. Pokażę państwu ruiny chatki, w której kilka lat temu biała kobieta i jej mąż Komancz odparli atak żołnierzy. On uciekł z Terytorium Indian. Ona była wdową. Kiedy złodziej zabił jej męża, była w ciąży i miała już jednego synka. Wkrótce po tym ten Komancz został ranny w walce z żołnierzami, którzy szukali jego i innych uciekinierów. Ta kobieta go znalazła i pielęgnowała, aż wrócił do zdrowia. Była zima. Kobieta nie mogła polować, łowić ryb ani rąbać drzewa. Nie miała żadnej rodziny. W tej sytuacji Indianin się nią zajął. Oboje schronili się przed wojskiem na Terytorium Indian. Ludzie mówią, że ona do dziś tam mieszka, ale nikt nie wie, co z nim się stało.

- Niesamowita historia! - wykrzyknął Maxwell. - Ale czy prawdziwa?

- Z tego, co słyszałem, wynika, że prawdziwa - odparł John.

- Odważna była ta kobieta - mruknęła Ellen.

- Musiała być odważna, skoro nie bała się czerwonoskórego - odezwała się pani Maxwell. - Słyszałam wielu ludzi opowiadających o Indianach, ale nikt nigdy nie powiedział o nich nic dobrego.

- A ja myślę, że wszyscy ludzie są albo dobrzy, albo źli lub trochę źli i trochę dobrzy - powiedziała nieśmiało Ellen. - Zawsze uważałam, że pochodzenie nie decyduje o tym, kto jaki jest.

- No, to myślimy podobnie. - John ostrożnie uściskał jej dłoń.

Maxwellowie wymienili znaczące spojrzenia i nagle wybuchnęli śmiechem.

John pokazał im resztki chaty. Prawdę mówiąc, nie bardzo było na co patrzeć. Stała tam jedynie studnia zarośnięta wysoką trawą i krzakami dzikiej róży. W miejscu, które kiedyś zapewne było dziedzińcem, rosło pojedyncze drzewo.

- Co to za gatunek? - spytała pani Maxwell. - Ma taki dziwny kształt.

- Mydleniec - odparł John. - Rosły w Georgii, tam gdzie się urodziłem. Kiedy byłem dzieckiem, ja i moje siostry bawiliśmy się jego zielonymi owocami. - Posmutniał.

- Masz jeszcze jakąś rodzinę w Georgii? - spytała cicho Ellen.

- Mam zameżną siostrę w Północnej Karolinie. Nikogo więcej.

Ellen domyśliła się, że miałyby o czym opowiadać i że wojna kosztowała go znacznie więcej, niż tylko utratę domu. Delikatnie musnęła jego spracowaną dłoń.

- Mama umarła, kiedy miałam pięć lat. Ja też nie mam żadnej rodziny, prócz taty i babci, oczywiście.

John się zawstydził. Dotąd nie pomyślał o tym, jak żyła, ani o jej rodzinie. Wiedział tylko tyle, że była bogata. Teraz spojrzął na nią innymi oczami.

- Przykro mi z powodu twojej rodziny - powiedziała cichutko.

Westchnął. Wspomnienia targały mu duszę. Patrzył ponad końskimi grzbietami na żółty piasek drogi prowadzącej przez rozciągającą się przed nimi pagórkowatą okolicę. Znajomy stukot końskich kopyt, ciche skrzypienie skóry i drewna, odgłos toczących się kół zdawały się bardzo głośne w ciszy, która zapadła. Lekkie podmuchy wiatru co jakiś czas nawiewały do powozu kurz i piach, ale do tego wszyscy byli przyzwyczajeni; nie było przecież innych dróg, jak tylko ziemne i piaszczyste. Deski, z których zrobiono oparcia ławek w powozie w miarę upływu czasu stawały się coraz twardsze, ale wciąż jeszcze wygodniejsze niż siodło. W każdym razie Johnowi tak się zdawało.

- Wspominałaś, że nie umiesz jeździć konno. Dlaczego? - zapytał.

- Nie pozwolili mi się nauczyć - odparła Ellen. - Babcia uważa, że damie to nie przystoi.

A ja jeżdżę i to bardzo dobrze - wtrąciła się pani Maxwell. Odwróciła się do nich z uśmiechem. - Mój tata własnoręcznie wsadził mnie na konia, kiedy byłam jeszcze całkiem mała. Oczywiście jeżdżę na damskim siodle, ale i tak wyprzedzę każdego mężczyznę na koniu. Oprócz Roberta - dodała, spoglądając z uczuciem na męża. - Kiedyś urządziliśmy sobie wyścigi i przegrałam. Właśnie wtedy postanowiłam go poślubić.

- I dopięła swego. - Maxwell roześmiał się i spojrzął na nich przez ramię. - Jej ojciec powiedział mi, że jeśli chcę, żeby była szczęśliwa, to ciągle muszę wymyślać dla niej jakieś zajęcie, a najlepiej przy koniach. Więc od razu po ślubie powierzyłem jej nadzór nad moimi stajniami.

- Muszę przyznać, że w naszym środowisku, a w ogóle w tamtej części świata, to była wtedy prawdziwa rewolucja - dodała pani Maxwell. - Ale ludzie szybko przekonali się, że umiem zajmować się końmi i posługiwać się batem i że to ja trzymam ten bat, a nie mój mąż, i teraz już bez szemrania robią, co im każę.

- Mamy najlepsze konie w okolicy - pochwalił się Maxwell. - Nie przegraliśmy jeszcze żadnego biegu.

- Kiedy będę miał więcej koni, poproszę, żeby pani przyjechała i nauczyła moich

wspólników, jak je trenować - powiedział John.

- A nie mówiłam, że ludzie w Teksasie wcale nie są aroganccy ani staroświeccy? - Pani Maxwell zwróciła się do męża.

- Owszem, mówiłaś. I muszę ci przyznać rację.

W każdym razie my dwoje, Ellen i ja, na pewno nie jesteśmy staroświeccy. Chociaż muszę się przyznać, że czasami bywam arogancki. Ale i w Teksasie zdarzają się różni ludzie. Nie wszyscy by się państwu spodobali... - John urwał i dopiero po chwili milczenia mruknął: - To tam - wskazał ręką na trawiaste pastwisko. - To tam jest moja ziemia.

Trzy głowy odwróciły się jednocześnie. W oddali majaczył duży dom otoczony leszczyną i dębami i przez to niezbyt dobrze widoczny. Za to doskonale było widać czerwono - białe krowy skubiące trawę na pastwisku otoczonym drutem kolczastym.

- Ogrodzone? - zdumiał się Maxwell.

- Ogrodzenie trzyma złodziei z daleka, a moje krowy blisko - odparł John przyzwyczajony do swoich płotów. - Ludzie nie lubią tego nowego drutu kolczastego, ale to najbardziej ekonomiczny sposób utrzymania bydła w jednym miejscu. A ja nie mam zbyt wielkiego kapitału do dyspozycji.

- Szczery z pana człowiek - pochwalił go Maxwell. - Nie musiał pan przecież mówić tego obcym ludziom.

- Mogę się do tego przyznać właśnie dlatego, że jesteście państwo obcy w tych stronach - odparł rozbawiony John. - Moim sąsiadom za nic bym nie powiedział, że jestem biedny. W końcu mam swoją godność. Ale już za kilka lat zamierzam być najbogatszym ranczerem w tej okolicy. Musicie państwo wrócić do Teksasu najpóźniej za pięć lat. Obiecuję, że będziecie naszymi najmiłszymi gośćmi.

- Jeśli nic złego się nie stanie, na pewno przyjadę - obiecał Maxwell. - Nie powinniśmy stracić ze sobą kontaktu. Też tak uważam. Wymiesimy adresy, zanim wyjedziecie. A na razie - dodał John - na następnym skrzyżowaniu proszę skrócić w lewo. Pokażę wam młyn, w którym nasze zboże zmienia się w mąkę.

- Oczywiście u nas w Szkocji też są młyny, ale chętnie zobaczę, jak to u was wygląda - ucieszyła się pani Maxwell.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dwie godziny później zmęczeni i spragnieni turyści wrócili do stajni, z której wypożyczyli powóz i konie.

- Było mi bardzo przyjemnie - powiedział John, ściskając dłonie Maxwellów.

- Mnie także - dodała Ellen.

- Rano odjeżdżamy do Nowego Jorku - powiedział Maxwell z wyraźnym żalem w głosie. - Stamtąd popłyniemy do Szkocji. Bardzo się cieszę, że mogliśmy was poznać, chociaż żał, że nie stało się to znacznie wcześniej.

- No właśnie - wtórowała mężowi pani Maxwell. - Smutno jest poznawać nowych przyjaciół i zaraz się z nimi żegnać.

- Będziemy do siebie pisywać - zapewnił ją John.

Na pewno. Musi pan zostawić nam w recepcji swój adres, a my zostawimy panu swój - powiedział Maxwell. - Mam nadzieję, że kiedy już zrobi pan ten swój majątek, napisze nam pan o swoim sukcesie. Jeśli zechce pan nas zaprosić, zapewniam, że z przyjemnością znów przyjedziemy do Teksasu, aby was odwiedzić.

Ellen się zarumieniła, ponieważ jak żywy stanął jej przed oczami obraz jej i Johna oraz gromadki dzieci w pięknym wielkim domu. John miał identyczną wizję.

- Już się nie mogę doczekać. - Uśmiechnął się szeroko.

Maxwellowie poszli do swoich pokoi, a John i Ellen zatrzymali się na chwilę u stóp schodów, ponieważ nie wypadało, żeby dżentelmen odprowadzał damę na górę, aż do drzwi jej sypialni.

- Spędziłem bardzo miły dzień - powiedział, ujmując jej dłoń. - Zauważyłem, że jesteś wyjątkowa nie tylko w moim towarzystwie, ale także obracając się wśród innych ludzi, w większym towarzystwie.

- Ty także umiesz być wyjątkowy i bardzo interesujący. - Mówiąc to, cały czas uśmiechała się do niego. Jej twarz, okolona pasemkami ciemnych włosów, które wysunęły się z koka, promieniała niekłamaną radością.

- Nie mamy wyjścia. Musimy razem zbudować prawdziwe imperium - zażartował. - Oczywiście tylko po to, żeby Maxwellowie mogli nas odwiedzić.

- John się roześmiał, zadowolony ze swego dowcipu.

- Zrobię, co będę mogła, żeby ci pomóc - odpowiedziała i też się roześmiała.

- Nie wątpię. - Tym razem John powiedział to bardzo poważnym tonem.

- Zobaczymy się jutro? - spytała z nadzieją w głosie.

- Oczywiście, ale niestety dopiero po południu. Rano muszę przepędzić bydło na nowe pastwisko. Jest susza, trzeba przegonić stado bliżej wodopoju.

- Wobec tego życzę ci dobrej nocy - powiedziała cicho.

- Dobranoc. - Uniósł jej dłoń do ust i lekko musnął wargami.

Był to gest, który zaobserwował w eleganckim towarzystwie podczas swoich podróży na Wschód.

Ten pocałunek w rękę przyprawił Ellen o zawrót głowy. Zarumieniła się, zakasłała nerwowo i omal nie potknęła się o własne nogi, kiedy wchodziła po schodach na górę.

- Ojej! - krzyknęła, łapiąc równowagę w ostatniej chwili.

- Nie przejmuj się - powiedział John. Wciąż stał u stóp schodów z kapeluszem w dłoniach i z uśmiechem w oczach. - Widzisz? - Rozejrzał się dookoła siebie, popatrzył na podłogę, po czym spojrzał na Ellen. - Tutaj nie ma żadnych kałuż.

W pierwszej chwili rzuciła mu rozpaczliwe spojrzenie, które jednak szybko zmieniło się na żartobliwe. Parsknęła śmiechem i prędko pokonała resztę schodów, chichocząc pod nosem.

Ale John nie odchodził. Stał i patrzył na jej drobną, zgrabną figurkę.

Przez cały tydzień John i Ellen widywali się codziennie i przez ten czas bardzo się zaprzyjaźnili. W piątek po południu Ellen, jak zwykle, czekała na Johna w hotelowej restauracji. Niestety, to nie John podszedł do stolika, tylko jej ojciec, który niespodziewanie wcześniej wrócił z polowania. Nie wyglądał na zadowolonego.

Odsunął sobie krzesło, usiadł, wielkopańskim gestem przywołał kelnera i kazał podać sobie kawę.

- Wcześniej wróciłeś - zagadnęła Ellen, niepewna, co oznacza ten grymas niezadowolenia na twarzy ojca.

- Wróciłem, żeby nie dopuścić do skandalu - odparł szorstko. - Dostałem wiadomość od naszego znajomego sir Sydneya. Doniesiono mi, że wbrew moim najsurowszym zakazom jednak nie siedziałaś w hotelu podczas mojej nieobecności. Wyjeżdżałaś za miasto sama z panem Jacobsem! Jak śmiesz wywoływać skandal w takim miejscu!

Dawna Ellen, ta sprzed tygodnia, zwiesiłaby głowę i potulnie obiecała, że coś podobnego już nigdy się nie powtórzy, że teraz zawsze będzie ojcu posłuszna. Jednakże znajomość z Johnem Jacobsem już zdążyła usztywnić jej kręgosłup. Przecież zaproponował jej nowe życie, wolność, niezależność od niezliczonych konwenansów i reguł postępowania, które tak bardzo zajmowały jej ojca.

- Ciekawe, co jakiegoś sir Sydneya może obchodzić moje zachowanie? - - spytała, dumnie unosząc głowę.

- Coś ty powiedziała? - Ojciec nie posiadał się ze zdumienia.

- Nie życzę sobie, żeby w jakikolwiek sposób łączono mnie z osobą sir Sydneya - oświadczyła stanowczo. - A, mówiąc między nami, to ten cały sir Sydney jest wprost odrażający i w dodatku bardzo źle wychowany.

Tego rodzaju napady buntu bardzo rzadko zdarzały się Ellen. Co się jej stało? Terrance Colby nagle uświadomił sobie, że z podobnym zachowaniem córki spotkał się może dwa lub trzy razy w całym jej dwudziestoczteroletnim życiu. Patrzył więc teraz na nią zdumiony i jednocześnie rozbawiony.

- Wygląda na to, że znajomość z panem Jacobsem bardzo popsuka ci charakter. Stałaś się krnąbrna i nieposłuszna.

- Być może. I zamierzam dać się popsuć jeszcze bardziej - odparła chłodno. - Pan Jacobs poprosił mnie o rękę. Ależ, moje dziecko, to jest absolutnie wykluczone - stanowczo powiedział ojciec i dobitnie powtórzył: - Absolutnie wykluczone!

- Nie jestem już dzieckiem, ojczy - przypomniała mu niemniej stanowczo Ellen. - Jestem dorosłą kobietą. Moje koleżanki już dawno powychodziły za mąż i mają dzieci, tylko ja jedna jestem starą panną, przykrym ciężarem dla ciebie. Wiele razy słyszałam, jak to mówiłeś. I jeszcze to, że żaden mężczyzna nie zechce dotrzymać mi towarzystwa dłużej, jak jeden dzień, bo nie jestem ani ładna, ani zgrabna... a w do datku podobno jestem okropną niezdara...

- Za to bogatą niezdara - przerwał jej brutalnie ojciec. - Zapewne dlatego pan Jacobs uznał cię za atrakcyjną.

John nie chciał jej pieniędzy, potrzebował tylko bocznicy kolejowej, ale Ellen uznała, że nie jest to najlepszy moment, żeby informować ojca o tej drobnej różnicy. Niech sobie myśli, co chce. Ważne jest to, że ona wiedziała, iż John Jacobs uważa ją za wyjątkową kobietę. I dzięki tej jej wyjątkowości była w jego oczach atrakcyjna. Przecież to dzięki Johnowi zdobyła pewność siebie, która pozwoliła jej po raz pierwszy w życiu tak stanowczo sprzeciwić się ojcu.

- Możesz mnie wydziedziczyć, kiedy tylko zechcesz - powiedziała, spokojnie popijając kawę. Oczy jej błyszczały, ale ręka nawet nie zadrzała. - Oświadczam ci, że jemu nie zrobi to żadnej różnicy. To taki człowiek, który potrafi zbudować własne imperium wyłącznie dzięki swojej ciężkiej pracy i wielkiej determinacji. Ośmielę się twierdzić, że za kilka lat jego majątek będzie mógł się równać z twoim.

Terrance Colby już nic nie mówił, tylko uważnie słuchał.

- Rozważasz możliwość przyjęcia jego oświadczyn? - spytał już spokojniej.

Ellen się uśmiechnęła i skinęła głową.

- Przedstawił mi cudowną perspektywę błotnistych dróg, warzywników, ciężkiej pracy i gotowania na ognisku. - Roześmiała się. - Nawet zaproponował, żebym mu pomagała przy znakowaniu bydła na jesieni, kiedy przyjdzie na świat kolejne pokolenie cieląt.

Terrance wstrzymał oddech. Wolał nie odzywać się przy kelnerze, który właśnie w tej chwili przyniósł zamówioną przez niego kawę.

- Chyba należało zamówić raczej whisky - mruknął, patrząc w ślad za odchodzącym kelnerem. Po chwili jednak znów spojrzął na córkę. - Ty miałabyś znakować bydło?

- Owszem. Poza tym jeszcze jeździć konno, strzelać... John obiecał, że nauczy mnie wszystkich wstrętnych i społecznie nieakceptowanych form rekreacji.

- Mógłbym kazać go aresztować. - Colby wyprostował się w krześle.

- Za co?

Pytanie Ellen najwyraźniej zbiło jej ojca z pantałyku.

- Jeszcze nie zdecydowałem. Może za deprawację nieletnich?

- Już od dawna jestem pełnoletnia, ojciec - przypomniała mu Ellen. Upiła jeszcze jeden łyk kawy.

- Możesz mnie wydziedziczyć. Nie potrzebuję nawet tych wszystkich eleganckich sukien, które mi kupiłeś. Będę chodzić w ogrodniczkach i butach z cholewami.

- Nie będziesz! - Tym razem Colby przeraził się nie na żarty. - Zapomniałaś, gdzie twoje miejsce?

- Moje miejsce jest tam, gdzie zechcę być. - Patrzyła na niego zwięzonymi jak u kota oczami. - Nie jestem przedmiotem, który można sprzedać albo wymienić na jakieś korzyści materialne.

- Już miał odpowiedzieć, kiedy nagle w kawiarni rozległo się dudnienie ciężkich podkutych butów. Colby się obejrzał i zobaczył, że tuż obok niego stoi John Jacobs w roboczym ubraniu, a spod prawej poły jego marynarki wygląda złowróżbny wielgachny rewolwer. Ach, wreszcie jest nasz czarny charakter! Panie Jacobs, zachował się pan jak ostatni łajdak...

- Nie jestem łajdakiem - odparował natychmiast John. Patrzył na Ellen tak, jakby chciał zasłonić ją własnym ciałem. Od razu zauważył, że jest zdenerwowana. - A już na pewno nigdy nie sprawiłem Ellen takiej przykrości, jakiej przed chwilą doznała od ojca.

Niech pan nie zaprzecza - popatrzył chłodno na Colby'ego - widzę to po jej minie.

Colby musiał przyznać, że ten człowiek robił na nim wrażenie. Kiedy szło o Ellen, ten młody twardziel nie zwracał sobie głowy ani pozycją, ani majątkiem jej ojca.

- No i co? - spytał zaczepnie. - Wyzwiesz mnie na pojedynek?

- Byłoby głupotą - John zerknął na Ellen - zabijać ojca mojej przyszłej żony. Oczywiście nie muszę od razu pana zabijać - mówił, przyglądając się Colby'emu z drwiną w oczach - ale zawsze mogę przywalić...

- Naprawdę wiesz, jak używać tego kopyta? - spytał Colby, wskazując ręką na rewolwer Johna.

- Przedstawić referencje - odparł John przeciągle - czy raczej zademonstrować?

- To do ciebie podobne. - Colby w końcu się roześmiał. - Przestań się jeżyć jak zły pies i siadaj pan, panie Jacobs. Jechałem tu co koń wyskoczy, myśląc, że jakiś łajdak chce uwieść moją córkę, a widzę jedynie uczciwego konkurenta, który w jej obronie gotów jest walczyć nawet z jej własnym ojcem. Naprawdę jestem pod wrażeniem. No, niechże pan siada - ponaglał. - Tamten dżentelmen przy oknie ma taką minę, jakby chciał zaraz przez nie wyskoczyć. Odkąd pan się pojawił, nie spuszcza oka z pańskiego rewolweru.

Groźna mina Johna natychmiast znikła z jego twarzy. A na jej miejsce pojawił się uroczy, pełen ulgi uśmiech. Odsunął sobie krzesło i usiadł tuż obok Ellen. Jego zielone oczy zaborczo wpatrywały się w jej zarumienioną ze szczęścia buzię. Uśmiechnął się do niej czule.

Colby zamówił kawę dla Johna, po czym przyjrzał mu się uważnie.

- Powiedziała - ruchem głowy wskazała Ellen - że nauczysz ją strzelać i znakować bydło.

- Owszem, jeśli tylko zechce - odparł John. - Rozumiem, że ma pan zastrzeżenia, ale...

Colby głośno się roześmiał.

- Moja babcia świetnie strzelała. Raz nawet ścigała niedoszłego złodzieja po ulicach swojego miasteczka w Północnej Karolinie. Babcia była legendą tego miasteczka.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałeś! - wykrzyknęła Ellen.

- Twoja mama była bardzo purytańska, dziecko.

- Colby lekko się skrzywił. - Taka sama jak babcia Greene. Obie nie życzyły sobie, żeby wspominać niekonwencjonalne zachowanie mojej szalonej babki. Obawiały się, że mogłoby to zachęcić cię do równie niestosownych czynów. - Znowu się roześmiał. - Ale widać krew ma swoje prawa. - Chyba po raz pierwszy w życiu popatrzył na córkę z czułością. Od małego byłaś rozpieszczana. Miałaś wszystko, co tylko można było kupić za pieniądze. Z tym człowiekiem - wskazał palcem Johna - twoje życie będzie wyglądało zupełnie inaczej. W każdym razie przez kilka najbliższych lat - dodał ze śmiechem. - Pan mi przypomina mnie

samego, panie Jacobs. Ja nie odziedziczyłem swojego majątku. W młodości pracowałem jako robotnik na farmie - opowiadał, wprawiając tym w zdumienie swoją córkę. - Wywoziłem gnój ze stajni i chlewów należących do pewnego bogacza z naszego małego miasteczka w Północnej Karolinie. Było nas ośmioro rodzeństwa, a rodzice nie mieli żadnych pieniędzy do przekazania swoim potomkom. Kiedy miałem dwanaście lat, wskoczyłem do pociągu towarowego i pojechałem przed siebie na los szczęścia. Aresztowali mnie dopiero w Nowym Jorku. Straż kolejowa znalazła mnie śpiącego w wagonie bydłowym. Zabrali mnie do biura ich szefa, gdzie akurat tego dnia zaszedł właściciel linii kolejowej w jakiejś sprawie związanej z prowadzeniem firmy. Zachowywałem się niegrzecznie i arogancko, ale widocznie zobaczył we mnie coś, co zrobiło na nim wrażenie. Był żonaty, ale nie miał dzieci. Tego samego dnia zabrał mnie ze sobą do domu. Kazał żonie wyszorować mnie porządnie i elegancko ubrać. Po roku mieszkania u nich zostałem ich adoptowanym synem. Kiedy mój przybrany ojciec umarł, zostawił mi w spadku całe przedsiębiorstwo. Ale wtedy już dobrze sobie radziłem w interesach.

- Tato! - zawołała Ellen. - Nigdy nie wspominałeś o swoich przybranych rodzicach. Nie miałam pojęcia... A co się stało z twoimi prawdziwymi rodzicami?

- Moi prawdziwi rodzice umarli na tyfus wkrótce po tym, jak uciekłem z farmy. Moim rodzeństwem zaopiekowali się kuzyni. Kiedy zarobiłem swoje pierwsze duże pieniądze, zatroszczyłem się o to, żeby wszyscy mieli z czego żyć.

- Na pewno chciałeś mieć syna - powiedziała smutno Ellen - żeby mu przekazać swój majątek. A tymczasem masz tylko mnie...

- Twoja matka umarła przy porodzie. Urodziła martwego chłopca...

Zaskakującym zwierzeniom ojca nie było końca. Ellen i John słuchali jak zahipnotyzowani, a Terrance Colby opowiadał dalej.

- Tobie powiedziano, że twoja mama umarła na gorączkę, co jest tylko częściowo prawdą. Uważałem, że jesteś za mała, żeby zaraz po jej śmierci poznać całą prawdę. A kiedy już podrosłaś i chciałem ci powiedzieć, babcia Greene mi nie pozwoliła. Wiesz, jaka ona jest, zawsze taka strasznie konwencjonalna. To wypada, a tamto nie wypada... - Urwał i głęboko westchnął. - Przypuszczam, że kiedy tylko się dowie, co chcesz zrobić, przyjedzie pierwszym pociągiem, żeby cię ratować. I weźmie ze sobą tylu wnuków, ilu tylko uda jej się namówić na tę eskapadę. I wszyscy będą starali się przekonać cię, że nie wypada, aby taka bogata panna robiła takie głupstwo...

Ellen skinęła głową, choć po raz pierwszy podczas tej rozmowy naprawdę trochę się zdenerwowała.

- Tak, tak - przytaknęła. - Masz rację, ojciec. Babcia jest niemożliwa... znaczy... chciałam powiedzieć: fantastyczna.

Przez moment wszyscy milczeli. Pierwszy odezwał się John, jakby celowo zmieniając temat.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mieć syna - John uśmiechnął się ciepło do Ellen - ale bardzo lubię małe dziewczynki. Dla mnie mogą być tylko same córeczki.

Skonfundowana Ellen zaczerwieniła się po uszy.

- Może najpierw porozmawialibyśmy o małżeństwie. Oczywiście, jeśli nie macie nic przeciwko temu - odezwał się Colby drwiąco. - Co byś pan chciał w prezencie ślubnym, panie Jacobs?

John całkiem stracił rezon. Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

- Chcielibyśmy bocznice kolejową, która kończyłaby się na naszym rancho - powiedziała za niego Ellen, kładąc nacisk na wspólnotę ich interesów. - Chodzi o to, żebyśmy nie musieli przewozić bydła do Kansas, tylko bezpośrednio ekspediować je stąd do Chicago. Zamierzamy wyhodować wspaniałą nową rasę.

- To prawda - potwierdził John, patrząc na Ellen z uwielbieniem. - Takie mamy plany.

- To może trochę potrwać. - Colby uśmiechnął się pod wąsem. - Co byście chcieli, zanim dostaniecie tę swoją linię kolejową?

- Damskie siodło dla Ellen, żeby mogła się czuć swobodnie na koniu - powiedział John ku zdumieniu ojca, i córki.

- Nie chcę damskiego siodła - zaprotestowała Ellen. - Będę jeździć normalnie, tak jak wszystkie kobiety, jakie widziałam na koniu, odkąd tu przyjechałam.

- Ja nigdy nie widziałem kobiety dosiadającej konia w taki sposób! - wybuchnął Colby.

- Ellen mówi o Tess Wallace - wyjaśnił John. - To żona Ticka Wallace, właściciela miejscowej stacji dylżansów. On jest dwadzieścia lat starszy od żony, ale nikt nie ma wątpliwości, że łączy ich wielka miłość. Ona za nim szaleje.

- Niezwykła kobieta - mruknął Colby.

- Ja też zamierzam być taka. Możesz mnie poprowadzić do ołtarza, ojciec, ale ślub ma być skromny i najlepiej zaraz - dodała. - Nie chcę, żeby mój mąż czuł się nieswojo wśród tłumu snobistycznych arystokratów.

Colby nie mógł się nadziwić swojej córce. Nigdy by nie podejrzewał jej o takie poglądy.

- A nie pomyślałaś, że taki prędko ślub... - próbował protestować.

- Wybacz, ojcze, ale to ma być mój ślub. Chyba mam prawo poprosić, żeby odbył się tak, jak ja chcę - upierała się Ellen. - Nic złego nie zrobiłam, więc nie mam się czego wstydzić. Zresztą i tak nie mamy tu w Springs żadnych przyjaciół.

Terrance Colby westchnął zrezygowany.

- Jak sobie życzysz, moja droga - powiedział i uśmiechnął się do córki.

John, który cały czas bacznie mu się przyglądał, zauważył, że w uśmiechu, jakim obdarzył Ellen, widać było wielki podziw dla córki. A może nawet miłość, dotychczas głęboko skrywaną? Upór Ellen i jej troska o dobre samopoczucie przyszłego męża wywarły wielkie wrażenie na Johnie. Uznał, że zrobił świetny interes, proponując małżeństwo tej bogatej pannie. Ale już po chwili pomyślał, że przecież ona nie dostanie od niego nic prócz ciężkiej pracy na ranchu. Na pewno przedwcześnie się postarzeje albo nawet umrze z przepracowania. Zaczął się poważnie zastanawiać, czy to uczciwy interes...

- To będzie cięższe życie, niż ci się może teraz wydawać - powiedział ponuro. - Nie mamy żadnych wygód...

- Nie boję się ciężkiej pracy - wpadła mu w słowo Ellen.

John i Colby wymienili zatroskane spojrzenia. Obaj doskonale wiedzieli, jak wygląda życie w biedzie, poznali smak nędzy i trud pracy ponad siły. Ale Ellen nigdy dotąd nie zaznała biedy. Ona jeszcze nigdy nie musiała obywać się bez pokojówki i zawsze miała dostęp do wszystkich luksusów.

- Będę cię odciążał na tyle, na ile to będzie możliwe - odezwał się John, a po chwili dodał:

- Wiem, że większość dużych ranch skromnie zaczynała, ale zanim zbudujemy nasze imperium, nie raz będzie ciężko...

- Nauczę się gotować - powiedziała Ellen ze śmiechem.

- A umiesz oczyścić kure? - zapytał ojciec.

- Nauczę się - odparła bez wahania.

- A dasz radę nosić z rzeki wodę do podlewania warzywnika? - Ojciec nie dawał za wygraną. - Bo widzisz, bez wątplenia będziesz musiała to robić.

- Mężczyźni noszą wodę - oznajmił John. - Naprawdę będziemy się nią opiekować. Przecież nie puszczę jej od razu do ciężkiej pracy...

John czuł, że stary Colby jeszcze się waha, ale Ellen już dawno się zdecydowała. Widać to było po jej minie.

- No dobrze - powiedział w końcu Colby, wzdychając głośno, trochę teatralnie. - Ale jeśli będzie ci za ciężko, chcę, żebyś mnie zaraz zawiadomiła - dodał stanowczo. - Musisz mi

to obiecać, bo inaczej nie dam zgody na ten ślub.

- Obiecuję - powiedziała szybko, choć doskonale wiedziała, że nigdy, przenigdy nie poskarży się ojcu ani nie zwróci się do niego po pomoc.

- Wobec tego - Colby się odprężył - dam wam prezent, który nie speszzy zaudytu twojego przysięgłego męża. Otworzę wam rachunek w sklepie wielobranżowym. Przecież trzeba jakoś umeblować ten wasz dom. Och, dziękuję ci, papo! - zawołała Ellen.

- Tak, bardzo panu dziękuję - zawtórował jej John. - Z tym, że ja potraktuję to jako swego rodzaju długoterminową pożyczkę: Zgoda?

- Oczywiście, chłopcze, oczywiście - zgodził się potulnie Colby.

John czuł, że starszy pan jednak nie bardzo mu uwierzył, a przecież powinien wiedzieć, że jego przyszły zięć naprawdę jest w stanie dość szybko stworzyć imperium. John Jackson Jacobs i Terrance Colby uścisnęli sobie dłonie nad stolikiem.

- Najdalej za dziesięć lat - powiedział John - przyjmujemy pana u siebie na poziomie, do jakiego pan przywykł.

Colby skinął głową, choć wciąż miał wiele zastrzeżeń i mnóstwo wątpliwości. Żył tylko nadzieję, że wyrażając zgodę na ślub, nie robi Ellen niedźwiedziej przysługi. No i musiał jeszcze wytłumaczyć się z tego wszystkiego przed teściową, która zapewne dostanie ataku serca, kiedy się dowie, na co pozwolił córce. Ale nic nie powiedział o swoich obawach tym dwojgu młodych szczęśliwych ludzi. Nie podzielił się swoimi wątpliwościami, bo nie chciał psuć im tej szczęśliwej chwili. - Zobaczymy - powiedział tylko.

Ślubu udzielił im sędzia pokoju. Świadkami byli Terrance Colby oraz żona sędziego. Colby znalazł nawet logiczną przyczynę tego całego pośpiechu. Szybki ślub usprawiedliwił tym, że on musiał wkrótce wracać do domu, a Ellen stanowczo odmówiła wyjazdu z Sutherland Springs.

Colby złożył życzenia Johnowi, ucałował Ellen, po czym odprowadził ich do wozu, który zaudytu kazał załadować taką ilością zapasów, żeby wystarczyły na miesiąc. Dodał jeszcze maszynę do szycia, kilka bel materiału i dobraną do nich pasmanterię. Nie zapomniał także o ulubionych drutach Ellen oraz kolorowych włóczkach, z którymi siadywała wieczorem przy kominku, robiąc na drutach różne cudeńka.

- Bardzo ci dziękuję, ojczu! - zawołała Ellen na widok wyładowanego po brzegi wozu.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować - dodał John, ściskając dłoń swojego teścia. - Będę na nią bardzo uważał. - Obiecuję.

- Jestem pewien, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy - odparł Colby, ale bardzo się martwił i było to po nim widać.

- Nie wolno ci się o mnie martwić - powiedziała Ellen stanowczo i pocałowała ojca w policzek. - Zdaje ci się, że jestem wątłą lilijką, ale ja ci udowodnię, że jestem jak kwiat kaktusa i że tak jak on potrafię zakwitnąć w najbardziej niesprzyjającym miejscu.

Ojciec pocałował ją w czoło.

- Gdybyś mnie kiedykolwiek potrzebowała...

- Wiem dokąd wysłać telegram - przerwała mu ze śmiechem. - Szerokiej drogi, papo.

- Przed wyjazdem każę jeszcze przywieźć ci twoje rzeczy - obiecał ojciec.

John pomógł Ellen wsiąść na wóz, co wcale nie było takie łatwe, ponieważ nie przebrała się do podróży i ciągle miała na sobie białą koronkową suknię ślubną i długi biały welon.

Mimo pośpiechu, z jakim wzięli ten niekonwencjonalny, skromny ślub, oboje nie chcieli jednak rezygnować z tradycyjnego ślubnego stroju panny młodej. John uważał, że Ellen ma prawo poczuć się pięknie ubraną panną młodą. Natomiast on musiał wziąć ślub w tym swoim jedynym porządnym ubraniu, jakie posiadał. Nie stać go było ani na frak, ani na smoking. Ale i tak dobrze się prezentował u boku drobnej Ellen. Był wysoki, postawny i przystojny. Wcale nie musiał specjalnie się stroić, aby zwrócić na siebie uwagę. Wiedział o tym i świadomość tego dodawała mu pewności siebie.

Kiedy już wsiadł na wóz i usadowił się obok Ellen, pomyślał sobie, że stanowią przedziwną parę. A jeśli jeszcze wziąć pod uwagę szok, jaki przeżyje Ellen, kiedy zobaczy, w jakich warunkach przyszło jej zamieszkać, wszystko przedstawiało się jeszcze gorzej. Dręczyło go poczucie winy z powodu tego, co zrobił. Modlił się w duchu, żeby cel uświęcił środki.

Niewiele mógł jej obiecać, a ona o nic nie prosiła. Ale zaraz przypomniał sobie, że wiele par zaczynało z mniejszymi zasobami niż oni, a jednak ich małżeństwa jakoś się ułożyły. Postanowił, że Ellen będzie szczęśliwa, choćby miało go to wiele kosztować.

Niejedna młoda kobieta odmówiłaby zejścia z wozu na widok takiego domu, jaki ujrzała Ellen Jacobs. Wysokie rozłożyste drzewa ocieniały dużą prymitywną chatę z drewnianych bali. Chata miała jedno drzwi, jedno okno i komin. Dookoła rosły kaktusy i krzaki leszczyny, a także drobniutkie pnące różyczki w pełnym rozkwicie. John powiedział jej, że aż z Georgii przywiózł - sadzonki tych róż ukorzenione w puszcze po syropie. Róże bardzo się Ellen spodobały i sprawiły, że ten dziki ostęp wydał się jej nieco mniej dziki.

Przed domem stała para Meksykanów i para Murzynów, a wokół nich wianuszek dzieci w różnym wieku. W milczeniu przyglądali się, jak John pomaga żonie zejść z wozu. Twarze mieli poważne. Wyglądali na speszonych lub lekko zdenerwowanych.

Ellen rzadko miała okazję do spotkań z ludźmi o innym niż biały kolorze skóry. Chyba że byli służącymi w domach znajomych jej ojca. Pomyślała, że od tego dnia życie wśród nich, jak równy z równym, miało się stać jej nowym, pasjonującym doświadczeniem.

- Nazywam się Ellen Colby - przedstawiła się zebranym i zaraz się zaczerwieniła. - Och, przepraszam! Oczywiście, Ellen Jacobs!

Roześmiała się i oni też się uśmiechnęli.

- Miło nam panią poznać, *señora* - odezwał się Meksykanin trzymający w rękach duże sombrero. Uśmiechnął się i przedstawił siebie oraz swoją rodzinę. - Ja nazywam się Luis Rodriguez. A to moja żona Juana, mój syn Alvaro i córki: Juanita, Elena i Lupita.

Każdy z wymienionych po kolei kłaniał się i uśmiechał do Ellen.

- A ja jestem Mary Brown - odezwała się czarnoskóra kobieta. - To mój mąż Isaak i moi chłopcy. Ben jest najstarszy, a Joe najmłodszy. Mała Libby urodziła się jako drugie moje dziecko. Cieszymy się, że do nas przyjechałaś.

- Ja też się cieszę, że będę tutaj mieszkać - odparła Ellen.

- Ale teraz powinnaś się przebrać w coś wygodniejszego - powiedziała Mary. - Chodź ze mną. A wy, mężczyźni, wracajcie do pracy i zostawcie nas same z naszymi sprawami. No, sio! Sio! - mówiła, odganiając ich jak natrętne ptactwo. - Ja też nie mogę pracować w tym stroju - przypomniał jej John.

Mary na chwilę weszła do domu i wróciła, trzymając w rękach jakieś duże pudełko. Wyjęła z niego czystą, wyprasowaną koszulę i mocno sfatygowane, połatane spodnie.

- Schowaj się za tamtym drzewem, jest wystarczająco duże, żebyś mógł się przebrać. A ja postaram się zaraz wygonić z tego pudła wszystkie mole, żeby można było schować w nim twoje świąteczne ubranie. Tylko uważaj, żebyś od razu nie poplamił tej koszuli czerwonym błotem. Dopiero co ją uprałam i uprasowałam.

- Dobrze. Będę uważał, Mary - odparł nieco zmieszany i zwrócił się do żony: - Zobaczymy się później, Ellen... - Chyba chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Mary już zdążyła wprowadzić Ellen do środka domu i zamknęła mu drzwi chaty przed nosem.

Uśmiechnęła się do Ellen i powiedziała:

- To dobry człowiek.

Wyjęła z szafy najlepszą ze swoich sukien i podała ją Ellen.

- To moja suknia, zwykła, bawełniana, ale nie jest zła. Proszę ją włożyć. Mam nadzieję, że będzie pasować.

- Bardzo dziękuję za suknię - powiedziała Ellen, także się uśmiechając - ale mam swoją. Też jest taka zwykła, bawełniana. Oprócz niej przywiozłam bele materiału i maszynę

do szycia.

Na twarzach obu kobiet, Meksykanki i Murzynki, pojawiło się najpierw osłupienie, a potem ogromna radość. Również ich córki miały zdumione miny.

- Nowe... materiały? - wydukała Mary.
- Maszyna do szycia - szepnęła nabożnie jej córka.
- Są na wozie - potwierdziła Ellen z uśmiechem.

Natychmiast wybiegły na dwór, a Ellen za nimi. Śmiała się jak dziecko, widząc ich radość.

A więc dobrze zrobiłam, pomyślała. A raczej papa dobrze mnie wyposażył. Powinnam była sama o tym pomyśleć, ale całkiem straciłam głowę.

Kobiety i dziewczynki zupełnie oszalały na punkcie tych wszystkich nowych materiałów. Szybko zrywały z bel szary papier, nie kłopotząc się nawet przecinaniem sznurków. Musiały jak najprędzej wszystko dokładnie obejrzeć.

- Alvaro! Zawołaj Bena! Obaj macie mi tu zaraz wnieść do domu maszynę do szycia i walizkę pani Jacobs! A wy, dziewczynki, przynieście galanterię i materiały. Ja wezmę kawę i cukier, a Ben będzie musiał wrócić jeszcze do wozu po puszkę ze smalcem i worek z mąką.

- Tak jest - odpowiedzieli wszyscy jednym głosem, po czym wybuchnęli śmiechem.

Ellen przebrała się w prostą granatową spódnicę i zapinaną wysoko pod szyją bluzkę koloru indygo. Na nogach miała sznurowane trzewiki.' Zdażyła się zorientować, że jeśli ma być pomocna Johnowi, koniecznie musi mieć wysokie buty.

Chata rzeczywiście nie była duża, ale obie rodziny musiały spać pod dachem, bo na zewnątrz było mnóstwo szkodników. I to nie tylko różnych pełzających wielonogów, kąśliwych owadów i innego robactwa. Mary opowiedziała Ellen o grasujących w pobliżu ich rancza Indianach. Prawdopodobnie byli to Komancze, których John, Luis i Isaak wytropili tego dnia, kiedy zginął im cielak. Ellen od razu zauważyła, że w kącie izby stoi naładowana strzelba. Pomyślała, że na pewno każdy z mieszkających tu mężczyzn potrafiłby się nią posłużyć w razie konieczności.

- Będziesz miała piękne suknie z tych materiałów - westchnęła Mary, muskając delikatnie kolorowe kretony.

- Wszystkie będziemy miały mnóstwo ślicznych sukienek - poprawiła ją Ellen, nawijając nić na bębenek maszyny. - Chyba nie myślałyście, że zużyję cały ten materiał tylko dla siebie? Wystarczy tego i dla ciebie, i dla Juany, a także dla dziewczynek. I pewnie jeszcze zostanie, bo przecież na sukienki dla waszych córeczek potrzeba znacznie mniej materiału - dodała, uśmiechając się ciepło.

Mary szybko odwróciła się do niej plecami. Ellen się przeraziła, że niechcący sprawiła tej kobiecie przykrość. Zerwała się z taboretu, który John zbił dla niej naprędce.

- Mary! Przepraszam! Ja nie chciałam...

- Nie, nie... - Mary znów się do niej odwróciła. Łzy płynęły jej po policzkach. - Chodzi o to... Ja jeszcze nigdy w życiu nie miałam swojej własnej całkiem nowej sukienki. Od mojej pani dostawałam tylko używane. Zawsze były mocno znoszone albo podarte.

Ellen przeżyła prawdziwy szok. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Mary otarła łzy wierzchem dłoni i popatrzyła na Ellen.

- Ty pewnie nic nie wiesz o niewolnikach, prawda? Nic nie wiesz o ich życiu?

- Wiem dosyć, żeby czuć wstyd, że niektórzy ludzie traktują innych ludzi jak swoją własność - odparła z przekonaniem. - Moja rodzina nigdy nie miała niewolników.

- John przywiózł nas tutaj zaraz po wojnie - Mary z trudem powstrzymywała łzy. - Mieliśmy szczęście. Dwoje naszych dzieci już straciliśmy - dodała cicho. - Sprzedali je tuż przed wybuchem wojny. Jednego z nich zakatowali na śmierć.

Ellen zacisnęła powieki, drżała. Nie potrafiła sobie z tym poradzić. Łzy popłynęły jej po twarzy.

- Och, nie! Nie trzeba. - Mary przytuliła ją do siebie i kołysała jak małe dziecko. - Nie płacz. Gdziekolwiek są teraz moje dzieci, na pewno są wolne. Rozumiesz? Żywe czy martwe, wreszcie są wolne.

Łzy z oczu Ellen ciekły coraz obficie.

- Juana też nie miała lepiej - opowiadała Mary. Teraz już obie płakały. - Dwóch synków jej zabili. Ich morderca był pijany. Myślał, że to mali Indianie.

Zastrzelił ich na miejscu, tam gdzie się bawili, i nawet się nie obejrzał. Śmiał się, kiedy odjeżdżał. Luis poszedł ze skargą do federalnych, ale nie znaleźli tamtego łobuza. To było dawno temu, zanim jeszcze wujek Johna wziął Luisa do pracy u siebie, ale Juana nigdy nie zapomni swoich dzieci.

Ellen wyciągnęła chusteczkę z rękawa. Wytarła nią oczy Mary, a potem swoje i powiedziała smutnym głosem:

- Żyjemy na złym świecie.

- Będzie lepiej. - Mary smutno się uśmiechnęła. - Zobacysz. Wszyscy dożyjemy lepszych czasów.

- Lepiej - powtórzyła Juana, kiwając głową. - *Mas bueno*.

- *Mas... bueno?* - powtórzyła Ellen.

- *Vaya! Muy bien!* - Juana roześmiała się. - Bardzo dobrze!

- Oho! - Mary też się roześmiała. - Zaczynasz już mówić po hiszpańsku!

- Nauczysz mnie hiszpańskiego? - Ellen zwróciła się do Juany.

- Z przyjemnością, *señora* - odparła Juana, uśmiechając się ciepło.

- Zamierzam nauczyć się bardzo dużo i to w krótkim czasie - przestrzegła żartobliwie Ellen.

Istotnie uczyła się bardzo szybko. Już w pierwszym tygodniu pobytu na ranczo stała się jakby honorowym członkiem obu rodzin, mieszkających w domu Johna. Poznała sporo hiszpańskich słów, w tym kilka tak paskudnych, że Johnowi zjeżył się włos na głowie, kiedy mu się pochwaliła.

- Lepiej już skończ z tą nauką - upomniął ją, udając zagniewanie. - Gdy twój ojciec usłyszy, jak brzydko wyrażasz się po hiszpańsku, to zabierze cię stąd, a mnie każe zastrzelić.

Ale Ellen śmiała się tylko i dalej razem z Mary układała na stole świeże, pachnące chleby. Chciała nauczyć się, jak upiec taki dobry chleb, ale do nabycia tej umiejętności dzieliła ją jeszcze bardzo daleka droga. Stanowczo łatwiej było się nauczyć kilku słów po hiszpańsku.

- Papa pewnie myśli, że najdalej za dwa tygodnie będę go błagała, żeby mnie stąd zabrał, ale będzie miał niespodziankę...

- Ja już mam niespodziankę - przyznał John z uśmiechem. - Od pierwszego dnia się do nas dopasowałeś. - Spojrzał znacząco na pozostałe kobiety odziane w nowe sukienki, które sobie poszyły na maszynie. Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Powinnyście otworzyć w mieście sklep z sukienkami.

Ellen popatrzyła na Mary i Juanę, oczy jej zabłyśły.

- A wiesz, że to wcale nie jest taki głupi pomysł - powiedziała po chwili. - Mielibyśmy z tego trochę dodatkowego grosza. Można byłoby kupić drut kolczasty i pozwolić sobie wreszcie na mleczną krowę.

John chciał coś powiedzieć, ale kobiety nie dopuściły go do głosu. Od razu zaczęły robić wielkie plany.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ellen namówiła Johna, żeby pojechał z nią do miasta, do sklepu wielobranżowego. Zamierzała porozmawiać z właścicielem, panem Altonem.

- Na pewno będzie miał pan zbyt na niedrogie sukienki - mówiła podekscytowana. - Zawsze ma pan na składzie jakieś suknie, ale te, które pan sprowadza, są bardzo drogie. Niewiele kobiet mieszkających na ranczo może sobie pozwolić na taki wydatek. A jeśli dostarczę panu kretonowe sukienki o połowę tańsze od tych, które sprowadza pan na zamówienie, to na pewno zrobi pan na tym interes.

- Ależ pani Jacobs - zdziwił się kupiec - pani ojciec jest bardzo bogatym człowiekiem!

- Ale mój mąż jeszcze nie jest bogaty - odparowała bez namysłu. - Chcę mu pomóc tak, jak potrafię. Mam talent do szycia, panie Alton. Mam też dwie pomocnice, które właśnie się uczą posługiwać maszyną do szycia. No to jak, da mi pan spróbować?

Namyślał się, coś liczył, kalkulował.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Proszę mi przywieźć sześć sukienek, po dwie w każdym rozmiarze. Zobaczymy, jak się sprzedadzą.

- Załatwione - uśmiechnęła się i szybko podeszła do bel materiału, które leżały na półkach w sklepie.

- Oczywiście da mi pan materiał na kredyt. Odliczy mi pan tę kwotę z pierwszego zarobku.

Sprytna osóbką, pomyślał. Jednak trzeba przyznać, że ta suknia, którą ma na sobie, naprawdę jest świetnie skrojona. A klientki ciągle narzekają na skromną ofertę, bo sprowadzam tylko wytworne suknie wieczorowe. Takie codzienne, ale porządnie uszyte i dobrze skrojone, rzeczywiście by się przydały.

- No dobrze. Dam pani kredyt - powiedział wreszcie po długim namyśle.

Kręcąc głową, odmierzył i odciął jej kupony materiału, które sobie wybrała.

- Jest pani prawdziwą kobietą interesu, pani Jacobs. Muszę bardzo uważać, bo inaczej, ani się obejrzę, jak zostanę pani współnikiem.

Okropnie ją to rozbawiło.

John na początku miał poważne wątpliwości co do przedsięwzięcia żony, lecz Ellen wiedziała, co robi. Ona i dwie pozostałe kobiety w trzy tygodnie zarobiły na sukienkach tyle, że kupiły za to nie jedną, ale dwie mleczne krowy rasy jersey i to z cielakami. John musiał tylko trzymać te krowy z daleka od swoich byków - herefordów.

Tak więc mieli już mleko, a prócz niego jeszcze masło i maślankę, które Ellen sprzedawała do restauracji w miasteczku.

- Mówiłam ci, że się uda - powiedziała pewnego dnia, kiedy stała razem z nim w zagrodzie, gdzie John i pozostali mężczyźni znakowali nowo narodzone cielaki.

Uśmiechnął się do niej, otarł rękawem spocone czoło.

- Jesteś fantastyczna - mruknął z nieukrywaną dumą. - Zaraz kończymy. Może chcesz brać od dziś lekcje konnej jazdy?

- Jasne! - zawołała, ale zaraz spojrzała na swoją długą suknię i westchnęła rozżalona: - Ale w tym stroju chyba nie dam rady.

- Mam coś dla ciebie - powiedział John z błyskiem w oku.

Zaprowadził ją do chaty, gdzie wyjął z kąta jakiś worek i podał go Ellen.

W środku była męska koszula, nowe spodnie ogrodniczki i długie buty z cholewami. Ellen wyciągnęła ogrodniczki, przyłożyła je do siebie i aż pisnęła z uciechy.

- W sam raz! - zawołała uszczęśliwiona. - To przecież mój rozmiar! Skąd je masz?

- Poprosiłem pana Altona, żeby wymierzył jedną z twoich sukienek i dobrał właściwy rozmiar spodni dla ciebie - wyjaśnił John, równie szczęśliwy jak Ellen. - Powiedział, że będą pasować nawet po praniu, kiedy się trochę skurczą.

- Och, John! Bardzo dziękuję! - Stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- No to je zakładaj - roześmiał się uradowany - a ja zaraz nauczę cię dosiadać konia. Mam tu jednego bardzo łagodnego konia. To staruszek. Luis przywiózł go ze sobą dawno temu. Jest bardzo spokojny.

- Zaraz wracam! - Ellen chwyciła swoje nowe skarby i pobiegła się przebrać.

Kiedy wróciła, John już był w zagrodzie. Ellen pożyczyła sobie jego stary kapelusz, który zakrywał jej prawie całą twarz i upięte wysoko włosy. Wyglądała jak młody chłopak. Johna jej wygląd bardzo rozśmieszył.

- Głupio wyglądam? - zaniepokoiła się Ellen.

- Wyglądasz świetnie, tylko trochę inaczej niż zwykle - odparł dyplomatycznie, ale oczy podejrzenie mu błyszczały. Czuł, że lada moment wybuchnie śmiechem, więc szybko odwrócił wzrok od Ellen i powiedział: - Chodź, przedstawię ci Jorge'a.

Przyprowadził ładnego kasztana, który na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądał na staruszkę.

Ellen wyciągnęła rękę, a koń musnął nosem jej otwartą dłoń. Poglaskała go po pysku i szepnęła: - Witaj, staruszkę - i dodała z uśmiechem: - Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

John przytrzymał Jorge'a za uzdę i pokazał Ellen, jak się go dosiada. Gdy już siedziała na koniu, poprowadził go wokół zagrody, płosząc po drodze stadko niedawno kupionych kur.

- Nie strasz ich, bo nie będą się niosły - przestrzegła go Ellen.

- A ty skąd o tym wiesz? - spytał, patrząc na nią z uśmiechem. Mary mi powiedziała.

- Obie z Juaną już bardzo dużo cię nauczyły - stwierdził. - O właśnie, zapomniałem powiedzieć, że te dzisiejsze ciasteczka bardzo mi smakowały.

- Skąd wiesz, że to ja je upiekłam? - Serce podskoczyło jej do gardła.

- Bo bardzo uważnie obserwowałam, jak je jadłam.

- Ojej! A tak starałam się, żebyś nie zauważył, że ci się przyglądam.

John się roześmiał.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać - mówił, prowadząc konia ścieżką w stronę wielkiego dębu. - Na prawdę nie spodziewałem się, że potrafisz żyć w takim ubóstwie. Zwłaszcza że... - urwał, bo usłyszał za plecami chrobotanie, a zaraz po tym łomot. - Ellen?

- Odwrócił się.

Ellen siedziała na ziemi z bardzo zdziwioną miną. John natychmiast puścił konia, podbiegł do niej. Był przerażony.

- Nic ci się nie stało?

Podniosła głowę, popatrzyła na niego.

- Nie zauważyłaś gałęzi? - spytała, spoglądając znacząco na nisko zwieszającą się gałąź tuż nad jej głową.

- Z tego wynika, że nie zauważyłem - mruknął zawstydzony. - A ty ją zauważyłaś? - łaś?

- Dopiero, kiedy mnie zrzuciła. - Ellen się roześmiała.

John także się roześmiał. Wziął ją na ręce i przytulił do siebie.

W całym jej dorosłym życiu nikt nigdy nie nosił Ellen na rękach. Westchnęła, zarzuciła mu ręce na szyję, żeby przypadkiem znowu nie spaść.

Ich oczy się spotkały i śmiech natychmiast zamarł na ich ustach.

John wpatrywał się w zadarty nos Ellen, w jej wystające kości policzkowe, słicznie wykrojone usta... Jakby to wszystko należało do niego...

A Ellen też tak samo wpatrywała się w niego, jakby ostre rysy twarzy Johna i blizny zaznaczone przez wojnę także do niej należały. Z bliska jego oczy wydawały się jeszcze bardziej zielone, a usta bardziej stanowcze. John także miał wystające kości policzkowe i wysokie czoło. Wymykające się spod kapelusza włosy były gęste i czarne jak skrzydło kruka. Miał duże uszy i wydatny, spory nos. I dłonie, które ją podtrzymywały też były duże, tak samo jak stopy Johna. Wszystko miał duże i był bardzo wysokim, postawnym mężczyzną.

- Odkąd przestałam być dzieckiem, nikt nigdy nie nosił mnie na rękach - powiedziała cichutko.

- Nie mam zwyczaju nosić kobiet na rękach. - Uśmiechnął się. - Ale ty prawie nic nie ważysz... Jesteś jak piórko.

- Uczenie się przedsiębiorczości zabiera mi tak dużo czasu, że nie starcza go na jedzenie, siedzenie i tycie.

- Czego uczenie się? - John nie zrozumiał, więc mu wyjaśniła znaczenie słowa „przedsiębiorczość”.

- No tak, przecież skończyłaś odpowiednie szkoły - stwierdził.

- Prosiłam, żeby mnie posłali do college'u, ale papa uważa, że kobieta nie powinna być nadmiernie wyedukowana.

- Bzdura - prychnął John niezbyt elegancko.

- Moja mama się uczyła w college'u dla panienek i знаła nawet łacinę. Mnie też jej nauczyła. Jeśli będziemy mieli córki, pošlemy je do college'u.

- Chciałabym mieć dzieci. - Ciepły uśmiech rozjaśnił twarz Ellen.

John wyduł wargi, unióśł brwi do góry i uśmiecnał się szelmowsko.

Ellen się roześmiała i położyła głowę na ramieniu męża. Była zakłopotana, zwłaszcza że on mocniej ją przytulił do piersi i poczuła na twarzy jego ciepły oddech. Zadrzała. Jeszcze nigdy nie była tak blisko mężczyzny. To było żenujące... Nie, nie! To było... cudowne!

Poczuła na policzku ciepło jego policzka, a potem usta Johna odnalazły jej usta. Całował ją powoli, delikatnie, niemal z szacunkiem. Ale kiedy chciał przestać, a Ellen mu nie pozwoliła, pocałował ją już namiętniej. Tym razem mniej było szacunku, a za to więcej tęsknoty i wielkiego pragnienia.

Ellen jęknęła cichutko. To go otrzeźwiło. Odsunął się, jego zielone oczy patrzyły na żonę z uczuciem. Oddychał bardzo szybko. Ellen zresztą też.

- Chyba musielibyśmy się wdrapać na drzewo, żeby nikt nas nie zobaczył - powiedział żałośnie - a pewnie i wtedy okazałoby się, że chłopcy posiadali gdzieś tu na gałęziach. A w polu... przecież nie wypada z taką kobietą jak ty...

Natychmiast zrozumiała, o co mu chodziło. Zarumieniła się, ale nagle radośnie się roześmiała, bo przecież stało się dla niej oczywiste, że była dla niego tak samo atrakcyjna, jak on dla niej. I świadomość tego była cudowna!

- Pewnego dnia będziemy mieli dom wielki jak stodoła i dużo pokoi z drzwiami, które się zamykają - powiedziała z ogromną pewnością.

- Oczywiście, ale na razie musimy się uzbroić w cierpliwość. - Postawił ją na ziemi i

westchnął.

- Tylko nie myśl sobie, że łatwo mi być cierpliwym.

- Mnie też nie. - Ellen skromnie spuściła oczy. - Ty chyba już całowałeś się z wieloma dziewczętami.

- Tylko z kilkoma, ale żadna z nich nie była tak niezwykła jak ty. - Ellen uniosła głowę i John mógł spojrzeć jej prosto w oczy. - Dobrze się stało, że cię namówiłem na to małżeństwo. Zrobiłem najlepszy interes w całym swoim życiu.

- Dziękuję - wyjąkała.

Odsunął jej z czoła kosmyk włosów.

- Do głowy by mi nie przyszło, że kobieta z miasta, na dodatek arystokratka, podoła takim trudnym warunkom. Mam wyrzuty sumienia za każdym razem, kiedy widzę, jak robisz pranie razem z Mary i Juaną. W domu nigdy nie musiałaś tak harować. Od ciężkiej pracy była służba.

- Jestem młoda i bardzo silna - powiedziała Ellen.

- No i nigdy przedtem nie spotkałam mężczyzny, którego szanowałabym na tyle, żeby wyjść za niego za mąż. Mocno wierzę, że zbudujesz wielkie ranczo i że to będzie prawdziwe imperium Jacobsów w tej głuszy. A nawet gdybym w to nie wierzyła, i tak jestem dumna, że noszę twoje nazwisko, bo ty też jesteś niezwykły.

John popatrzył na nią, po czym pochylił się i delikatnie pocałował jej czoło, potem oczy, a na końcu zadarty mały nos.

- Będę harował jak wół, żeby nie zawieść twego zaufania, Ellen - obiecał. - Postaram się nigdy nie sprawić ci zawodu.

- No to pamiętaj, żeby nigdy więcej nie wozić mnie pod nisko opadającymi gałęziami dębu - zażartowała.

- Ty mały skrzacie! - John roześmiał się głośno, przytulił ją do siebie, jakby była jego młodszą siostrą. - Ty mały łobuziaku! Ileż ja mam z tobą radości!

- Ja z tobą też - odparła, tuląc się do Johna.

- Tatusiu! Pan John i pani Ellen przytulają się na środku drogi! - zawołał jeden z synków Isaaka i Mary.

- Zmiatajcie stąd, szkodniki! Całuję swoją żonę! - odkrzyknął żartobliwie John.

Dał się słyszeć radosny dziecięcy śmiech i szelest krzaków.

- No i prysło jak bańka mydlana nasze złudzenie intymności i samotności - westchnęła żałośnie Ellen i odsunęła się od męża. - Może lepiej wróćmy już do naszych zajęć... A gdzie się podział mój koń?

John wypatrzył go w krzakach.

- Pewnie znalazł sobie kępkę smaczkowej trawy - powiedział.

- Zaraz go przyprowadzę. - Ellen śmiało weszła między krzaki.

- - Ellen! Stój!

Nie znośący sprzeciwu i jednocześnie wystraszony ton głosu Johna zatrzymał ją w miejscu z jedną nogą uniesioną w górę. John kłął. Ellen jeszcze nigdy w życiu nie słyszała takich słów.

- Isaaak! - ryknął John. - Natychmiast przynieś strzelbę! Prędko!

Ellen zacisnęła powieki. Nie musiała patrzeć na ziemię, żeby się domyślić, co tak bardzo przstraszyło Johna. Słyszała szelest i cichutkie trzaski przypominające skwierczenie bekona na patelni. Nigdy w życiu nie widziała grzechotnika, ale podczas podróży z ojcem do Teksasu wiele o tych gadach słyszała. Lubiły się wylegiwać i czekać, aż nieświadomy niczego człowiek podejdzie całkiem blisko. Jedno ugryzienie mogło spowodować koszmarny ból, ciężką chorobę, a nawet śmierć. Ellen panicznie bała się węży. Ale wiedziała, że John ją uratuje. Była tego absolutnie pewna.

Słyszała tupot nóg, trzask gałązek. Ktoś coś rzucił i ktoś coś złapał. Rozległ się dobrze znany dźwięk odwodzonego kurka strzelby.

- Nie ruszaj się, kochanie - usłyszała szept Johna. - Nie ruszaj się.

Wciąż miała zamknięte oczy. Rozległ się straszliwy huk, jakby tuż obok niej uderzył piorun. Kawalki ziemi rozbiły się o jej ogrodniczki. Usłyszała wściekłe uderzenia, otworzyła oczy. Dopiero teraz spojrzała pod nogi. Tuż obok niej leżał wielki grzechotnik poszarpany na kawalki. Jeszcze się ruszał.

- Nie ugryzł cię? - spytał John, obejmując ją jedną ręką, bo w drugiej ciągle trzymał strzelbę. - Nic ci nie jest?

- Nic - wyszeptała, opierając się o niego całym ciężarem ciała. - Omal nie zemdlałam. Ależ się wystraszyłam!

- Ja też. - Pochylił się nad nią i pocałował ją bardzo mocno, co wcale nie pomogło jej szybciej dojść do siebie. - Nigdy więcej nie wchodzi między krzaki, zanim dobrze się nie rozejrzysz!

- Mało brakowało, a podpaliłbyś ten krzak swoimi ognistymi przekleństwami - zażartowała. - Wąz pewnie też był zszokowany.

John się roześmiał, przygarnął ją do swojej piersi i jeszcze mocniej pocałował. Ellen oddała pocałunek i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że słyszy tupot stóp i głośne okrzyki podziwu na widok martwego węża.

John ujął jej drobną rękę w swoją wielką dłoń.

- Luis, bądź tak dobry i przyprowadź tu tego konia. Na dziś wystarczy tej nauki jazdy konnej.

- *Si, señor* - potwierdził Luis i parsknął śmiechem.

Wieczorem przy ognisku wszyscy mówili tylko o przygodzie Ellen z wężem.

- Jesteś na najlepszej drodze do tego, żeby się stać żywą legendą. Ludzie będą opowiadali z pokolenia na pokolenie, jak to Ellen Jacobs nadepnęła na grzechotnika, a on tak się zapatrzył na nią, że poczekał, aż go zastrzeli jej zazdrosny mąż - powiedział John, krztusząc się ze śmiechu i jednocześnie piekąc nad ogniskiem swojego rywala i ofiarę celnego strzału. - Ale prawda jest taka, że zawdzięczamy ci dzisiejszą wspaniałą kolację. Pieczony grzechotnik to w tych stronach prawdziwy przysmak.

Ellen, jak zawsze odważna, zdecydowała się spróbować tego przysmaku, mimo oporów ze strony żołądka.

- Phi! Smakuje jak zwykły kurczak - stwierdziła z niejakim rozczarowaniem.

- Nieprawda. - John popatrzył na nią z wyrzutem. - Smakuje jak jadowity wąż.

Uśmiechnęła się do niego i od tego uśmiechu serce Johna uleciało wysoko, do samego nieba. I wtedy posłał jej promienny uśmiech, jakiego nigdy dotąd nie posyłał żadnej kobiecie.

- Jeśli chcesz jeszcze kiedyś dostać taką wspaniałą kolację, musisz mnie nauczyć strzelać - powiedziała Ellen. - Nigdy więcej nie wejść w paszczę grzechotnika. Nawet gdybyś przez to nie miał jadać takich przysmaków jak to dzisiejsze danie.

- Uczciwy układ - odparł John, a reszta biesiadników roześmiała się głośno.

W ciągu następnych wielu dni, dzięki wytrwałości, uporowi i dzielnemu znoszeniu obolałych mięśni, Ellen w końcu nauczyła się dosiadać konia i przestała z niego spadać. Nauczyła się także trafiać do celu z broni palnej.

Jej pierwsze spotkanie z ciężką dwururką było całkowitą klęską. Zbyt lekko przycisnęła strzelbę i odrzut sprawił, że kolba uderzyła ją boleśnie w ramię. Z następnymi próbami trzeba było poczekać, aż siniak zejdzie. Jedynym pożytkiem z tej przygody było to, że nie mogła wyrabiać masła. Uśmiechała się pod nosem, przyglądając się, jak Mary oddaje się temu nużącemu zajęciu.

- Specjalnie nabiłaś sobie tego siniaka - żartowała z niej Mary. - Tylko po to, żebyś nie mogła się zbliżyć do maselnicy.

- Możesz w każdej chwili poprosić Isaaka, żeby nauczył cię strzelać. Też będziesz mogła skorzystać z tej wymówki - odgryzła się Ellen.

- Ja tam nigdy nie podejść do strzelby. - Mary się uśmiechnęła. - Nawet gdybym

mogła dzięki niej wymigać się od wyrabiania masła.

- Za dużo hałasu - poparła ją Juana.

- No właśnie - przytaknęła Mary.

- A mnie się to podoba - stwierdziła Ellen.

Najbardziej podobało jej się to, że John się o nią bał, bo to znaczyło, że mu na niej zależy. Nawet powiedział do niej „kochanie”, kiedy zastrzelił węża. John był oszczędny w słowach, a słów pieszczotliwych prawie nigdy nie używał. Tym cenniejsze było to, które wyrwało mu się w chwili zagrożenia.

Od dnia, w którym omal nie zaatakował jej grzechotnik, Ellen chodziła jak zauroczona. Była zakochana. Miała nadzieję, że John czuje do niej coś bardzo podobnego, tylko jest zbyt zajęty pracą, żeby się zajmować żoną, zwłaszcza w nocy. Poza tym zawsze mieli liczną widownię.

Ellen westchnęła. Pomyślała sobie, że spokój to najcenniejsza rzecz na całym świecie. Chociaż z każdym dniem coraz bardziej lubiła współmieszkańców, to jednak zdarzały się momenty, kiedy życzyłyby sobie znaleźć się o sto kilometrów stąd, byleby tylko choć przez godzinę pobyć sam na sam z mężem.

Cierpliwość przede wszystkim, pomyślała Ellen. Muszą poczekać i mieć nadzieję, że to ich seksualne pożycie kiedyś się ziści. Zresztą w tej chwili samo przetrwanie pochłaniało tyle energii, że prawie na nic innego nie starczało sił.

Dlatego strzelba była taka ważna.

Tydzień później ramię na tyle się wygoiło, że Ellen znów mogła spróbować swoich sił. Niestety, nie miała wpływu na dwa brzemiennie w skutki zdarzenia. Po pierwsze, przed domem pojawiły się nowe kałuże, a po drugie, do miasta zjechał jej ojciec i wynajął powóz z zamiarem złożenia wizyty swojej jedynaczce.

Ellen wycelowała strzelbę w drzewo. Odrzut sprawił, że lufa pofrunęła w powietrze, a siedzący na gałęzi dziki indyk bezwładnie spadł na ziemię. Cofając się, wdepnęła w najgłębszą kałużę, jaką mogło się pochwalić namokłe podwórze Johna.

Właśnie w tej samej chwili przed dom zajechał powóz wiozący Terrance'a Colby'ego.

Colby popatrzył na Ellen, potem na indyka, a wreszcie na Johna.

- Widzę, że uczysz moją córkę, jak jednocześnie brać kąpiel i polować - stwierdził.

Ellen się podniosła, ubłoconą dłonią odgarnęła włosy z czoła. Była taka brudna i potargana, że jej nieskazitelnie ubrany rodzic nie mógł rozpoznać twarzy własnego dziecka. Skrzywił się.

- Ellen, kochanie - zaczął skrepowany - może wrócisz ze mną do domu. Wiesz, to

wcale nie jest taki głupi pomysł, bo...

Dumnym gestem odrzuciła głowę do góry, obrzucając przy tym błotem Johna, który stał tuż obok niej z zatroskaną miną.

- Właśnie uczę się strzelać - odparła z dumą - a początki zawsze są trudne. Prawda, John?

- No, tak - odparł John, ale bez zwykłej u niego pewności siebie.

Ojciec spojrział na jedno, potem na drugie, a w końcu na indyka.

- Rozumiem, że nie stać was na kupowanie mięsa na rynku? - spytał.

- Lubię różnorodności. Wyobraź sobie, że w zeszłym tygodniu mieliśmy na kolację grzechotnika - poinformowała go Ellen. - Był wyśmienity.

- Twoja babcia tym razem na pewno dostanie ataku serca, jeśli jej opowiem, co tu zobaczyłem. - Colby pokręcił głową. - A ten twój dom, młody człowieku... - Bezradnie rozłożył ręce.

- Im szybciej dostaniemy tę bocznicę kolejową - odrzekła Ellen - tym szybciej będziemy mieli prawdziwy dom, zamiast tej chaty.

John się nie odezwał, tylko pokiwał głową. Terrance Colby westchnął ciężko.

- Zobaczą, co da się zrobić - obiecał.

Ellen i John uśmiechnęli się jednocześnie.

- Zostaniesz na kolacji, papo? - spytała Ellen, zerkając za siebie. - Dziś mamy indyka!

Jednak stary Colby odmówił. Nie chciał przesiadywać w tej ubogiej chacie, która jego córce tak bardzo się podobała. Zdążył już zauważyć, że w chacie mieszkały razem trzy rodziny, a nie był aż takim demokratą, żeby zbyt bliskie sąsiedztwo Murzynów i Meksykanów mogło mu sprawić przyjemność. Nie trzeba było jasnowidza, żeby się domyślić, że Ellen i John nigdy nie bywają sami.

To nawet dobrze się składa, pomyślał. Na wypadek, gdyby Ellen jednak zdecydowała się wrócić do domu. Uniknęłyby się komplikacji. Można byłoby ogłosić, że małżeństwo nie zostało skonsumowane... Ale ona jest radosna jak skowronek i - o ile mnie wzrok nie myli - ten młody człowiek, ten jej John Jacobs, jest nią zachwycony. Za to moja teściowa nie będzie zachwycona, kiedy wreszcie odważę się opowiedzieć jej, co się stało. Już jest w drodze powrotnej z podróży do Italii. No, ale jeszcze nic straconego. Może statek zboczy z kursu i dzięki temu dostanę jeszcze kilka miesięcy odroczenia. W przeciwnym wypadku Ellen będzie tu miała bardzo przykrą wizytę swojej ukochanej babci.

Obejrzał liczne stado bydła swojego zięcia. Zauważył przy tym, że hodowca ma całkiem dużo bardzo ładnych i zadbanych byków. A w mieście dowiedział się, jak świetnie

idą sukienki i wyroby mleczne Ellen. Dopiero teraz wpadł na pomysł, jak pomóc Johnowi stać się samowystarczalnym i to szybko. W następnym tygodniu nadeszła wiadomość, że ojciec Ellen kupuje ziemię pod linię kolejową, która miała prowadzić do rancza Johna. I nie tylko to. Zaczął także kupować od Johna młode byczki. Zamierzał karmić nimi robotników, których zatrudnił przy budowie innej linii kolejowej. Jedyną trudność polegała na tym, że John musiał zawieźć byczki do San Antonio. Terrance Colby miał go tam oczekiwać za siedem dni. Nie była to długa podróż, z pewnością nie tak daleka jak do Kansas, ale południowy Teksas nadal uchodził za wyjątkowo dziką i niebezpieczną krainę. Wyprawa była ryzykowna, ale ryzyko miało się bardzo opłacić. Oczywiście pod warunkiem, że uda się dostarczyć bydło na miejsce.

Tak więc John i jego dwaj pomocnicy wybierali się z byczkami na północ, choć John nie bardzo się do tego palił.

- Nie mam ochoty jechać - powiedział, kiedy razem z Ellen stali w zagrodzie, korzystając z rzadkiej chwili samotności. - Ale muszę przecież dbać o nasze interesy. Będzie nas sześciu do ochrony stada. Jesteśmy dobrze uzbrojeni i gotowi poradzić sobie z każdym problemem. Isaak i starsi chłopcy pojedą z nami, ale Luis zostanie. Ktoś musi się zająć bydłem i opiekować wami.

Ellen westchnęła. Przesunęła dłońmi po rękawach koszuli Johna, poczuła pod materiałem twarde mięśnie. Lubiła to uczucie.

- Mnie też się nie podoba, że musisz wyjechać, ale wiem, że to konieczne, więc będę dzielna.

- Naprawdę nie mam ochoty cię zostawiać - powtórzył i namiętnie ją pocałował. - Kiedy wrócę, może wreszcie będziemy mogli pozwolić sobie chociaż na jedną noc poza domem - szepnął jej do ucha. - Oszaleję, jeśli wreszcie nie wezmę cię w ramiona... bez oklasków tutejszej widowni.

- Ja też! - Ellen się zaśmiała, po czym pocałowała go namiętnie.

Podniósł ją do góry jak piórko i całował bez opamiętania. W końcu jednak zmusił się, żeby ją postawić na ziemi. Był cały zarumieniony, a jego zielone oczy lśniły. Ellen była tak samo czerwona, tylko wzrok miała rozmarzony, a usta obrzmiałe.

- Błagam, nie daj się zastrzelić - szepnęła.

Była dzielna, tak jak obiecała, ale nie umiała ukryć tego, że bardzo boi się o Johna.

- Postaram się - mruknął. - A ty mi się nie oddalaj od chaty i od Luisa. Nawet wtedy, kiedy doisz te piekielne krowy. I pod żadnym pozorem nie wybieraj się sama do miasta.

Ellen wołała nie przypominać mu o tym, że zabranie Luisa od bydła, nawet na tak

krótki czas, jaki zajęłaby podróż do miasta i z powrotem, byłoby czystym samobójstwem. Postanowiła coś wymyślić, żeby mimo wszystko można było sprzedawać sukienki i nabiał w mieście. Musiała sama o wszystko się zatroszczyć. Nie chciała martwić Johna.

- Będziemy bardzo uważać - obiecała.

- Wrócimy tak szybko, jak to możliwe. - Westchnął, oparł rękę na kolbie rewolweru. -

Twój tata...

Jeśli przyjedzie do miasta, to ja też tam pojadę i poczekam na ciebie - obiecała. Kłamała, bo przecież nie zostawiłaby Mary i Juany samych, nawet pod opieką uzbrojonego Luisa.

- Pewnie właśnie tak powinnaś zrobić - mruknął zafrasowany.

- W tej chwili nie mogę się stąd ruszyć - odparła. - Mamy mnóstwo roboty. Ja ci pomogę zadbać o nasze ranczo, a ty zadbaj o nasze dochody.

Roześmiał się, zdumiony, że może się śmiać, pomimo tylu zmartwień.

- Wrócę, zanim za mną zatęsknisz - powiedział i znów powtórzył: - Tylko nie oddalaj się od domu.

- Nie będę. A ty uważaj na siebie.

Wskoczył na siodło, zawołał Isaaka i chłopców.

Patrząc w ślad za odjeżdżającym mężem, Ellen zrozumiała, dlaczego tak bardzo chciał mieć tę bocznice. Pędzenie bydła do linii kolejowej było niebezpieczne, stanowiło wielkie ryzyko dla bydła i dla pędzących je ludzi. Nie tylko złodzieje im zagrażali. Prócz nich były jeszcze powodzie i burze, a także choroby. Wszystkie te nieszczęścia, każde z osobna, mogły zdziesiątkować stado, a gdyby tak zdarzyło się ich kilka jednocześnie... Strach pomyśleć!

Ellen modliła się w duchu, żeby John, Isaak, chłopcy i pozostali towarzyszący im ludzie zdrowo i cało wrócili do domu.

Dobrze, że Luis został na miejscu, żeby doglądać byków, krów i najmłodszych cieląt, pomyślała. Zresztą i bez niego sobie poradzę. Odkąd umiem trzymać w rękach strzelbę, nikt nam stąd nic nie ukradnie.

Niebezpieczeństwo nadeszło nagle, dwa dni po tym, jak John z resztą ludzi pognał bydło do San Antonio.

Ellen właśnie przyniosła do chaty wiadro pełne mleka. Wyjrzała przez pozbawione szyby okno i zobaczyła dwóch ludzi na koniach, którzy przyglądali się jej domowi. Cichutko zawołała Mary i Juaną.

- To Komancze! - zawołała Juana. - Znowu chcą nam ukraść bydło!

- Dzisiaj na pewno im się to nie uda - warknęła Ellen. - Muszę pojechać po Luisa.

Pojadę na oklep, bo nie dam rady osiodłać konia, kiedy oni tak się gapią i w każdej chwili mogą zaatakować.

- To zbyt niebezpieczne! - przestrzegala ją Juana. - Ledwo nauczyłaś się trzymać w siodle, a ci dwaj to Komancze! To najlepsi jeźdźcy na świecie. Są lepsi od mojego Luisa! Na pewno ich nie prześcigniesz.

Ellen mruknęła coś do siebie. Mieli tak mało bydła, że nie mogli pozwolić sobie na stratę nawet jednej czy dwóch sztuk.

Nie miała wyboru. Wzięła strzelbę, naładowała i wyszła z chaty. Zapomniała, że ma na sobie sukienkę i domowy fartuch.

- Nie! - krzyknęła Mary. - Czyś ty oszalała? Nie wiesz, co oni robią z białymi kobietami?

Ellen się nie odezwała. Szła prosto do nieproszonych gości.

Słyszała za plecami przerażone okrzyki kobiet, ale nawet się nie odwróciła. Ona i John byli właścicielami rancza. Bydło należało tak samo do niej, jak i do Johna. Ani myślała pozwolić, żeby jacyś złodzieje kradli jej cenny inwentarz. Komancze ją zauważyli, ale żaden z nich nawet się nie poruszył. Siedzieli na koniach wpatrzeni w młodą kobietę, celującą do nich ze strzelby.

W końcu jeden powiedział coś do swego towarzysza. Tamten roześmiał się i skinął głową.

Ellen stanęła tuż przed Indianami, podniosła strzelbę, wycelowała i odwiodła kurek.

- To moje ranczo - powiedziała głośno i dobitnie. - Nie pozwolę wam kraść mojego bydła.

W oczach nieproszonych gości widać było niekłamany podziw. Nie sięgnęli po strzelby, które każdy z nich miał na kolanach, nawet nie spróbowali jej stratować, tylko stali i patrzyli.

Młodszy z dwóch Indian miał długie warkoczyki i szczupłą przystojną twarz. Ellen skonstatowała ze zdumieniem, że miał bardzo jasne oczy.

- Nie przyszliśmy kraść bydła - odezwał się młodszy w całkiem znośnej angielszczyźnie. - Przyszliśmy prosić Dużego Johna o pracę.

- O pracę? - zdumiała się Ellen.

Indianin skinął głową.

- Zabiliśmy mu cielaka. Przyjechaliśmy z daleka i byliśmy bardzo głodni. Chcemy odpracować tego cielaka. Meksykanie mówią, że Duży John jest sprawiedliwy - dodał, ku jeszcze większemu zdumieniu Ellen. - Wiemy, że sądzi ludzi po tym, jak pracują. Nie uważa

się za lepszego od kolorowych. To bardzo dziwne. My tego nie rozumiemy. Wasi ludzie dopiero co skończyli straszną wojnę. Nie wiemy, dlaczego chcieliście mieć na własność ludzi o czarnej skórze. A Duży John mieszka z tymi ludźmi pod jednym dachem. Nawet z Meksykanami. Traktuje ich jak rodzinę.

- Tak - powiedziała Ellen. Ostrożnie zabezpieczyła strzelbę, opuściła lufę. - To prawda.

Młodszy z Indian uśmiechnął się do niej.

- Wiemy o koniach więcej niż ten jego meksykański pastuch, a on naprawdę wie bardzo dużo - powiedział bez zrozumiałstwa. - Będziemy ciężko pracować. Jak już odrobimy cenę cielaka, Duży John zapłaci nam za pracę tyle, ile uzna za słuszną.

- Jest tylko jeden problem - zaczęła Ellen. - Nasza chata nie jest zbyt duża, a musi pomieścić aż trzy rodziny.

Na te słowa Indianie się roześmiali.

- Zrobimy sobie tipi - powiedział starszy z nich. Mówił tylko odrobinę lepiej po angielsku niż jego młodszy towarzysz.

- Naprawdę? - zawołała Ellen. - A nauczycie mnie strzelać z łuku?

Młodszy Indianin odrzucił głowę do tyłu i śmiał się do rozpuku.

- Nawet jego kobieta jest dzielna - powiedział do starszego. - Czy teraz już mi wierzysz? - Ten człowiek nie jest taki sam jak inni biali.

- Wierzę.

W takim razie chodźcie - powiedziała Ellen. - Przedstawię was... Luis! Odłóż broń! - zawołała na widok Luisa zbliżającego się do nich z dwoma rewolwerami gotowymi do strzału. - To nasi nowi ludzie do koni - wyjaśniła. - Jak wam na imię? - - spytała Komanczów. - Mnie nazywają Grzmot - powiedział młodszy. - A on to Czerwone Skrzydło.

- A ja jestem Ellen Jacobs - przedstawiła się. - Tamten człowiek to Luis. Przywitaj się z nimi, Luis.

Meksykanin opuścił rewolwery, schował je do kabur. Patrzył na Ellen całkiem zdezorientowany.

- Przywitaj się - powtórzyła.

- Cześć - powiedział posłusznie Luis i skinął głową.

Komancze także skłonili głowy na powitanie.

Podjechali do chaty, zsiadli z koni. Schowane w chacie wystraszone kobiety wyglądały przez okienko.

- Luis pokaże wam, gdzie zostawić konie - zwróciła się Ellen do Indian. - Mamy tu

przybudówkę.

Kiedys będziemy mieli prawdziwą stajnię.

- Najpierw musicie mieć większe tipi - mruknął Czerwone Skrzydło, spoglądając krytycznie na ich chatę. - Złe miejsce do mieszkania. Nie można przesunąć domu, kiedy podłoga się zabrudzi.

- Ale jest ciepło - powiedziała Ellen, bo co mogła innego powiedzieć.

Młodszy z Komanczów, Grzmot, popatrzył na nią z uznaniem.

- Ty jesteś odważna - pochwalił. - Jak moja kobieta.

- A gdzie ona teraz jest? - spytała Ellen.

- Jest uparta. Chce mieszkać w chacie daleko stąd. Ale któregoś dnia ją tu przywiozę. - Skinął głową i poszedł za Luisem. Za nimi dostojnie kroczył starszy Indianin, Czerwone Skrzydło.

Juana i Mary wybiegły z domu. Miały bardzo wystraszone miny.

- Pozwolisz tym Komanczom zamieszkać z nami? - zapytała Juana. - Oni nas wszystkich pozabijają!

- Nie pozabijają - zapewniła ją Ellen. - Będzie z nich wielki pożytek. Przekonacie się.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Komancze rzeczywiście wiedzieli o koniach więcej niż Luis i okazali się bardzo przydatni w gospodarstwie. Polowali, nauczyli Luisa, jak garbować skóry i zbudowali sobie za chatą przestronne tipi.

- Ładne - pochwaliła Ellen, kiedy tipi było gotowe. - Tu jest znacznie więcej miejsca niż w chacie.

- Łatwo utrzymać czystość - zgodził się Czerwone Skrzydło. - Podłoga brudna, przesunąć tipi.

Ellen się roześmiała. Czerwone Skrzydło też się uśmiechnął i poszedł pomagać młodszemu Indianinowi budować nową zagrodę dla koni.

John wjechał na podwórko razem z Isaakiem. Zamarł na widok wielkiego tipi stojącego tuż obok chaty, którą opuścił przed dwoma tygodniami.

Ręka sama sięgnęła do rewolweru na myśl o tych wszystkich straszliwych możliwościach, jakie sugerowała obecność indiańskiego tipi.

Jednak kiedy z domu wybiegła roześmiana Ellen, a za nią Mary i Juana, i wszystkie radośnie machały do nich rękami, odetchnął z ulgą.

John wysunął nogę ze strzemienia, zeskoczył z konia i wyciągnął ręce, żeby przywitać się z żoną. Ellen padła mu w ramiona. Całowali się tak, jakby John powrócił do domu co najmniej po rocznej nieobecności.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwał ten pocałunek, aż poczuł na sobie wiele par oczu. Podniósł głowę. Dwaj Komancze stali ramię w ramię z Juanem, młodszymi dziećmi, Mary i Juaną.

- Zły zwyczaj - powiedział z naganą młodszy Indianin.

- Na pewno zdenerwuje konia - dodał drugi, kiwając głową.

- Co do diabła!... - wykrzyknął John.

- To nasi nowi ludzie do koni - wyjaśniła pośpiesznie Ellen. - To jest Grzmot, a to Czerwone Skrzydło.

- Nauczyli nas robić torby ze skór - powiedziała najstarsza córka Juany, pokazując skórzaną torbę pięknie ozdobioną paciorkami.

- A nam pokazali, jak się robi łuki i strzały! - Najmłodszy z synów Isaaka z dumą pokazał swój łuk.

- I kołczany - dorzucił zrezygnowanym tonem Luis. Był przekonany, że John wyrzuci

go z pracy za to, że pozwolił Komanczom zbliżyć się do ich chaty, a szczególnie do kobiet. - Jeśli chcesz, to możesz mnie zaraz zwolnić.

Jak pan też i mnie wyrzuci, to pojedę z nimi - powiedział najstarszy syn Isaaka, pokazując palcem obu Indian.

John odprężył się i po raz pierwszy lekko się uśmiechnął.

- Wierz mi, świetnie znają się na trenowaniu koni - powiedziała Ellen.

- Twoja żona przywitała nas nabitą strzelbą - poinformował go Czerwone Skrzydło. - Jest odważna.

- I ma dobre serce - dodał Grzmot. - Powiedziała, że możemy dla ciebie pracować. Pozwolisz nam zostać?

- Pozwolę - odparł John. - Teraz brakuje nam już tylko Eskimosa i Chińczyka - zażartował.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Miło byłoby też mieć dzieci - powiedziała to tak głośno, że chyba wszyscy słyszeli John w pierwszej chwili zmieszał się, ale szybko ukrył swoje zażenowanie wybuchem śmiechu. Wszyscy mu zawtórowali. - Dostałem za te woły tyle, że mogę wreszcie kupić nowego byka - pochwalił się John. - Kupiłem także siodła dla naszych koni. Przywiozą je moi ludzie. Ja pojechałem przodem, żeby jak najszybciej się upewnić, że nie dzieje wam się żadna krzywda.

Stali za chatą całkiem sami, jak rzadko kiedy, więc Ellen przytuliła się do męża.

- Nie mieliśmy tu żadnych kłopotów. Oczywiście oprócz tego momentu, kiedy zauważyłam tych dwóch Komanczów. Nie wiedziałam, jakie mają zamiary, podejrzewałam, że chcą ukraść nam bydło. Ale na szczęście okazało się, że się myliłam.

- Trochę się zdenerwowałem, kiedy zobaczyłem tipi - przyznał się John. - W przeszłości stoczyliśmy z Komanczami kilka poważnych potyczek, bo ciągle próbowali nam kraść bydło. No i podejrzewam, że to ci dwaj Komancze zjedli mi cielaka.

- Owszem. Sami się przyznali i wytłumaczyli się z tego - powiedziała z zadowoleniem. - Wcale nie chcieli kraść, ale byli wtedy bardzo głodni. Dlatego wrócili tu, żeby odpracować koszt tamtego cielaka, a jeśli potem postanowisz ich zatrzymać, to chętnie u nas zostaną. Pewnie doszli do wniosku, że lepiej się przyłączyć do silnego wroga, aniżeli z nim walczyć.

W każdym razie tak mi powiedzieli.

- No cóż, muszę przyznać, że ci dwaj są zupełnie wyjątkowi.

- Ten młodszy ma jasne oczy.

- Zauważyłem.

Nie powiedział jej o tym, czego był już absolutnie pewien: ci dwaj Komancze to uciekinierzy z Terytorium Indian, których ścigał szeryf z Sutherland Springs. Na szczęście dla tych ludzi, James Graham wyruszył do San Antonio, bo doniesiono mu, że tam właśnie widziano zbiegów.

- Przyjechali i stanęli przed naszym domem. Dość długo tak stali i gapili się - opowiadała dalej Ellen, wpatrując się w Johna. - No to ja nabiłam strzelbę i poszłam spytać, o co im chodzi.

- Mogli cię zabić.

Ty na moim miejscu zrobiłbyś to samo, prawda? - spytała z uśmiechem. - Wiesz przecież, że mnie niewiele rzeczy może przerazić. A od ciebie się nauczyłam, że pozory bardzo często mylą.

- Mimo wszystko za bardzo ryzykowałeś.

- Ty też.

- Przejmujesz ode mnie złe nawyki.

John westchnął, a Ellen przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że już wkrótce Czerwone Skrzydło zbuduje dla nas tipi.
- Pocałowała go i John też ją pocałował. Bardzo mocno.

- Już dawno powinniście mieć swoje tipi - rozległ się głos z silnym obcym akcentem.

Czerwone Skrzydło stał nieopodal i bezwstydnie przypatrywał się im, jak się całują. Jednak po chwili lekko wzruszył ramionami i odszedł bezszelestnie, śmiejąc się przy tym cichutko pod nosem.

- Amen - powiedział John i też się roześmiał.

- Posłuchaj, John, jest jeszcze tylko jeden drobiazg - szepnęła Ellen, wciąż stojąc bardzo blisko niego.

- Co znowu? Zatrudniłaś rewolwerowca do karmienia kur?

- Nie znam żadnego rewolwerowca. Bądź przez chwilę poważny.

- No dobrze. O co chodzi?

- Babcia przysłała telegram. Wybiera się tutaj, żeby mnie wyrwać z życia w nędzy i poniewierce.

- O, nie!

- Przypuszczam, że przeżyje szok, kiedy zobaczy to miejsce, ale ja nie dam się stąd wyciągnąć ani jej, ani nikomu. Moje miejsce fest przy tobie.

- Trudno się z tym nie zgodzić, chociaż na pewno zasługujesz na lepsze warunki. -

Odgarnął jej z czoła potargane włosy. - Obiecuję ci, że teraz już będzie tylko lepiej.

- Wiem, wiem - powiedziała przekornym, lekko ironicznym tonem. - Będziemy mieli wielkie ranczo i zbudujemy nasze własne, ogromne imperium. I będziemy bardzo bogaci.

- A żebyś wiedziała.

- I zbudujemy je własnymi rękami - dodała, stając na palcach, żeby go pocałować. - Jedynie z pomocą naszych przyjaciół. I nie potrzeba nam nikogo oprócz siebie.

- Ale teraz to najbardziej potrzebujecie własnego tipi - znów dobiegł ich głos Czerwonego Skrzydła.

- Posłuchaj - zaczął John ostrym tonem. - Czy nie uważasz, że przesadzasz z tym podsłuchiowaniem i podpatrywaniem nas?

- Wróciłem tu, żeby ci powiedzieć, że twój koń ma kolkę. - Indianin nie dał się zbić z tropu. - Czym go karmisz?

- Zbożem - odparł wojowniczym tonem John. - Dałem mu pełne wiadro.

- Nic dziwnego, że ma kolkę - prychnął Indianin.

- Zboże jest dobre dla koni! Zresztą sam wiem, jak wyleczyć kolkę.

- Jasne. Nie karmić konia zbożem. Dawaj mu trawę. Jutro zbudujemy wam tipi.

John wciąż jeszcze miał otwarte usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale Indianin zniknął. Odszedł tak cichutko, jak przyszedł. Doprawdy było to trochę irytujące, że za każdym razem pojawiał się i zniknął jak jakaś zjawia.

- Kucyki Indian jedzą wyłącznie trawę - powiedziała Ellen. - Oni uważają, że zboże koniom szkodzi.

- Dużo się nauczyłaś od nich? - spytał John.

- Więcej, niż możesz sobie wyobrazić - odparła. - Ci dwaj Komancze uciekają przed wojskiem - szepnęła Johnowi do ucha, wspinając się na palce. - Ale moim zdaniem oni nic złego nie zrobili. Powiedziałam panu Altonowi, że widziałam jak dwaj Komancze pędzili na północ co koń wyskoczy. A on powtórzył...

- ... szeryfowi - dokończył za nią rozbawiony John.

- Jak ich lepiej poznasz, przekonasz się, że to są dobrzy ludzie - zapewniła go Ellen. - Poza tym uczą mnie rzeczy, których od nikogo innego bym się nie nauczyła. Już potrafię wytropić jelenia - wyliczała na palcach swoje nowe umiejętności - umiem pleść maty, zrobić posłanie z trawy, wyszywać koralikami, strzelać z łuku i wyprawiać skóry.

- Dobry Boże, kobieto! - wykrzyknął John, na którym ta wyliczanka naprawdę zrobiła wielkie wrażenie.

- I polować też się nauczę - uśmiechnęła się do niego. - Jak tylko zabierzesz mnie ze

sobą i pozwolisz mi wziąć strzelbę.

Westchnął ciężko i doszedł do wniosku, że jeśli ktokolwiek z jej rodziny zjedzie tu, żeby sprawdzić, jak Ellen sobie radzi, a ona pochwali się swoimi nowymi umiejętnościami, to naprawdę mogą być duże kłopoty. Pomyślał, że musi coś z tym fantem zrobić.

- A co byś powiedziała o nauczaniu? - spytał ostrożnie.

- Nie rozumiem? - Zdumiona Ellen zamrugła oczami.

- Chodzi mi o to... - jąkał się John. - Może zechciałabyś... Jak myślisz, czy któreś z dzieci potrafi czytać lub pisać?

O tym nie pomyślała.

- Nie pytałam, ale przypuszczam, że nie potrafią. Nie wolno było uczyć niewolników takich rzeczy. Wiem, że Juana nawet po hiszpańsku czytać nie potrafi, chociaż to jest jej ojczysty język.

- Świat, który budujemy, będzie potrzebował wykształconych ludzi - tłumaczył John. - Trzeba zacząć od dzieci, od nowego pokolenia. Zgadzasz się ze mną?

- Oczywiście. - Ellen od razu zapaliła się do tego pomysłu. - Ludzie wykształceni nie będą musieli wykonywać niewolniczej pracy, nie będą musieli pozostawać na czyjejś łasce.

- Właśnie o to mi chodzi. Może zaczęłabyś uczyć dzieci? Wieczorami, po kolacji - zaproponował.

- A wiesz, że to doskonały pomysł! - Ellen uśmiechnęła się promiennie. - Problem w tym, że ja nie wiem, czy potrafię uczyć. Nie mam żadnego doświadczenia.

- Potrzeba ci tylko elementarza, kilku podręczników, no i typowej dla ciebie determinacji - powiedział John. - Wiem, że w miasteczku Victoria, koło kuźni, mieszka emerytowany nauczyciel. Może byśmy się do niego wybrali?

- Naprawdę byś mnie tam zawiózł? - Ellen promieniała.

- Oczywiście. Pojedziemy jutro - obiecał, z satysfakcją obserwując, jak coraz bardziej zapala się do tego pomysłu.

Pomyślał, że jeśli pojawi się tutaj jej elegancka babcia i być może również jacyś inni krewni, przynajmniej nie zemdleją na widok Ellen w ogrodniczkach i ubłoconych buciorach, w dodatku domagającej się polowania na jelenie. Zawsze będzie mogła się pochwalić, że uczy tutejsze dzieci, a takie zajęcie przecież przystoi wykształconej młodej kobiecie.

Następnego dnia rano wybrali się do Victorii małym powozikiem, na który John mógł sobie wreszcie pozwolić po ostatniej sprzedaży bydła. Kupił także jednego dobrego konia, który ciągnął powozik, bo szczęśliwym trafem nadawał się do tej roboty. Niektórych koni pod żadnym pozorem nie można zaprzęgać, bo kiedy się wystraszą i poniosą, ludzie mogą nawet

zginąć.

Nauczyciel mieszkający w Victorii już od dawna był na emeryturze, ale z przyjemnością przekazał Ellen podstawowe umiejętności niezbędne do prawidłowego nauczania małych dzieci. Miał także elementarz, pierwszą czytanekę, podręcznik do gramatyki i zasady wymowy. Dał to wszystko Ellen ze swoim błogosławieństwem na dodatek. Ellen potraktowała podręczniki jak najcenniejszy skarb i mocno przyciskała je do piersi przez całą drogę.

- Myślisz, że Brownowie i Rodriguezowie pozwolą mi uczyć swoje dzieci? - spytała nieco zaniepokojona. - Może oni wcale nie wierzą w potrzebę edukacji?

- Luis i Isaak nawet nie potrafią się podpisać - powiedział John. - Stawiają krzyżyk na dokumencie, a ja poświadczam ten podpis. Jeśli kiedyś zechcą opuścić ranczo, powinni umieć czytać i pisać, żeby nikt nie mógł ich oszukać.

Spojrzała na niego z jeszcze większym podziwem niż zazwyczaj. W jej mniemaniu był bardzo przystojny, zdolny i silny. A teraz zrozumiała, że jest również dobrym, współczującym człowiekiem. Każdego dnia dziękowała Bogu za to, że właśnie ten mężczyzna upatrzył ją sobie na żonę.

- Ty się naprawdę o nich troszczysz - powiedziała z uznaniem.

- To są moi przyjaciele, nie tylko współdziałowcy. Opowiem ci, jak to było. Wojska unionistów szły przez Atlantę i paliły wszystko, co napotkały na drodze - wspominał John. - Nie tylko wielkie plantacje, na których pracowali niewolnicy. Palili także domy biednych białych ludzi, bo wydawało im się, że na Południu każdy biały ma swoich niewolników.

- Zaśmiał się gorzko. - A biali wyrobownicy nie posiadali niczego. Nawet dom, w którym mieszkaliśmy, należał do właściciela plantacji. Podpalili go. Moja matka i siostra były w środku. Zginęły w płomieniach, podczas gdy ja i moja druga siostra patrzyliśmy na to i nie mogliśmy im pomóc. - Odruchowo dotknął policzka, na którym wciąż jeszcze widać było stare blizny. - Chciałem zabić oficera kawalerii, który kazał je spalić, ale jego ludzie uratowali go... a mnie o mało nie zabili. To po nich mam ten ślad - znowu dotknął blizny na policzku. - A przecież ja nigdy nie miałem niewolników. Ukryłem Isaaka i Mary w piwnicy, kiedy uciekali przed nadzorcą. Mary była wtedy w ciąży. Niestety, nie zdołałem uratować ich starszego syna... Potem ona i Isaak uratowali mnie przed żołnierzami Unii - westchnął. - Błagali, żeby darowano mi życie. Żołnierze byli tak zdumieni tym, że bronią mnie Murzyni, że puścili wolno mnie i siostrę. Isaak pomógł mi pochować matkę i młodszą siostrę. Starsza siostra pojechała do kuzynów, do Północnej Karoliny, a ja do wujka, który mieszkał w Teksasie. Mary i Isaak nie mieli dokąd pójść, więc zabrali się ze mną. Twierdzili, że chcą

zacząć nowe życie, ale nie udało im się mnie oszukać. Pojechali ze mną, żeby cały czas ratować mnie przed żołnierzami Unii, gdybym przypadkiem znowu wpadł w tarapaty. Nigdy nie zapomnieli o długu wdzięczności wobec mnie, tak jak i ja nie zapomniałem, że zawdzięczam im życie. - Zamilkł i po chwili dobitnie powtórzył: - Zapamiętaj, Ellen, że to są moi przyjaciele, nie tylko współudziałowcy.

- A jak poznałeś Luisa i Juanę? - spytała Ellen.

- Luis był jedynym kowbojem mojego wuja, który go nie okradał. To Luis mi powiedział o szwindlach tamtych łobuzów, więc wszystkich zwolniłem. Za opiekowałem się wujem, spędziłem zabłąkane niczyje krowy i w ten sposób zdobyłem swoje pierwsze stado. - Roześmiał się. - Chata była jedynym budynkiem na całym ranczo. Kiedy wprowadziłem się tam z Isaakiem i Mary, zrobiło się naprawdę ciasno. Juana i Luis chcieli ustąpić nam miejsca i zamieszkać w krzakach, ale im nie pozwoliłem, no i okazało się, że wszyscy jakoś się pomieściliśmy, chociaż wcale nie było łatwo.

- A teraz Komancze budują dla nas tipi - powiedziała Ellen. - Bez przerwy polują, żeby zdobyć jak najwięcej skór. Pierwszy raz będziemy zupełnie sami.

To znaczy... - Zarumieniła się.

John ujął jej małą dłoń, uścisnął delikatnie.

- O niczym innym nie marzę, jak tylko o tym, żeby wreszcie zostać z tobą sam na sam, Camellio Ellen Jacobs - zapewnił z żarem. - Najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła, to ta odrobina rozumu, która kazała mi poślubić ciebie.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała uszczęśliwiona. - Przecież nie jestem ładna...

- Masz wielkie serce i jesteś odważna jak wilk. Nie zamieniłbym cię na żadną piękność.

Rozpromieniła się i przytuliła do ramienia męża.

- A ja nie zamieniłabym ciebie na najbogatszego dżentelmena świata. Co nie znaczy, że nie spodziewam się, że kiedyś zostaniesz wielkim panem, kiedy już zarobisz dużo, dużo pieniędzy.

Pocałował ją czule w czoło.

- Ty jesteś moim bogactwem - szepnął.

- Dlatego, że dostaniemy od taty w prezencie ślubnym bocznice kolejową? - spytała zmieszana.

- Nie dlatego - pokręcił głową. - Dlatego, że ty sama jesteś moim najcenniejszym skarbem. - Pochylił się i mocno pocałował ją w usta. Nigdy nikogo przed tobą nie całowałam - wyznała, oddając mu pocałunek.

- Coraz lepiej ci idzie - pochwalił ją. - Nauka nie idzie w las.

- John! - zbesztła go zawstydzona.

Ale on tylko się roześmiał. Puścił ją i zajął się prowadzeniem konia.

- Musimy się pospieszyć, bo zanoszą się na deszcz. - Uśmiechnął się do niej łobuzersko.

- Nie chciałbym, żeby znów wpadła pani w kałużę, pani Jacobs.

- Czy ty nigdy o tym nie zapomnisz? - jęknęła Ellen.

- Może za jakieś dwadzieścia lat - odparł. - Ale nie mogę obiecać. To jedno z moich ulubionych wspomnień. Ty byłaś taka dzielna, a sir Sydney strasznie gburowaty!

- Rzeczywiście. Mam nadzieję, że ożeni się dla pieniędzy, a po ślubie okaże się, że jego żona nic nie ma.

- Wstręciucha - zartował z niej John.

Ellen roześmiała się radośnie.

- W każdym razie ty nigdy nie będziesz mógł mi zarzucić, że wyszłam za męża dla pieniędzy - stwierdziła bardzo zadowolona z siebie. - Za jakieś dwadzieścia lat - dodała, powtarzając jego własne słowa - będziesz nieprzyzwoicie bogaty. Ja to po prostu wiem.

- Mam nadzieję przynajmniej wyjść na prostą i pospłacać wszystkie długi - powiedział John. - Ale bardzo bym chciał mieć ranczo wielkości całego stanu. A do tego dość pieniędzy, żeby hodować najlepsze bydło i rasowe konie. - Popatrzył na nią. - Teraz, kiedy mamy dwóch dodatkowych ludzi do koni, może trzeba pomyśleć o założeniu stadniny? - Ellen tylko się uśmiechnęła. Była zadowolona, że postawiła się Komanczom. Zastanawiała się, czy zdecydowałiby się dla nich pracować, gdyby uciekła i schowała się w jakimś ciemnym kącie.

Zbudowane przez Komanczów tipi okazało się niesłychanie ciepłym i czystym schronieniem. Ledwie zostało wzniesione, a Ellen już skonstruowała na środku niewielkie palenisko, zawiesiła nad nim kociołek i zabrała się do przyrządzania posiłku. Czerwone Skrzydło pokazał jej, jak obracać maszt, żeby otworzyć klapkę, przez którą dym wychodzi na zewnątrz.

Prędko się okazało, że jest urodzoną żoną ranczera. Wszystkie nowe zajęcia przychodziły jej z łatwością. Nie bała się ciężkiej pracy i z każdym dniem coraz bardziej kochała tego swojego niezwyklego męża.

Tylko trochę się obawiała zapowiedzianej wizyty babci, choć oczywiście nie zamierzała wracać z nią na Wschód. Nie miałyby tam nic do roboty, bo strojenia się i zachowywania jak dama w żadnym wypadku nie da się nazwać robotą.

Któregoś wieczoru, po kolacji, kiedy beczenny żelazny kociołek i eleganckie cynowe talerze były już pozmywane i wytarte, Ellen posadziła w chacie wszystkie dzieci.

- Co będziemy robić? - zapytała jedna z córek Juany. Ellen wyciągnęła książki, które dostała od emerytowanego nauczyciela. Trzymała je w rękach ostrożnie, jakby to był bezcenny skarb.

- Będę was uczyła czytania i pisania - powiedziała wyraźnie.

Mary i Juana oraz ich mężowie, Isaak i Luis, stali obok w milczeniu i całkowitym bezruchu. Ellen poczuła się nieswojo.

- Chyba nie macie nic przeciwko temu? - zapytała zaniepokojona, po kolei patrząc na nieruchome twarze dorosłych. Obawiała się, że mogliby uznać naukę za zbyt dużą fanaberię.

- Nikt nigdy nie nauczył mnie nawet, jak się pisze moje imię - odezwała się Mary. - Isaaka też nie. Umiemy tylko postawić krzyżyk. Czy mnie także nauczysz czytać i pisać?

- Mnie też! - zawołała Juana.

Ich mężowie mieli takie miny, jakby boleśnie gryźli się w języki, byleby tylko nie poprosić o to samo. Udało im się! Żaden się nie odezwał.

- Zbliźcie się tu wszyscy - powiedziała Ellen. - Rodzice pomogą mi pokazać dzieciom, jak się to robi.

Dyplomatycznie wybrnęła z sytuacji i dzięki temu również mężczyźni wciągnęła w to swoje nauczanie.

- Tak jest, *señora* - zgodził się Luis radośnie. - Pokażemy dzieciakom, że to nie trudnego.

- Pewnie, że tak - dodał Isaak, uśmiechając się szeroko.

- No to chodźcie tutaj.

Ellen uśmiechnęła się i otworzyła elementarz.

Zaczęła się pierwsza lekcja.

Ellen oglądała nowe ogrodniczki i buty z cholewami, które kupił jej John. Miała na sobie jedną z jego pocerowanych koszul z długim rękawem. Rękawy podwinęła wysoko, włosy związała w koński ogon i upięła na czubku głowy. Zajrzała do kociołka, potem otarła wierzchem dłoni spocone czoło.

Komancze wygrabili miękkie krótkie szpilki spod jednej z sosen i sporządzili z nich postanie. Ellen przykryła je kołdrami zrobionymi z różnych kolorowych szmatek, które ona i pozostałe kobiety szyły w rzadkich chwilach wolnego czasu. Tipi to nie rezydencja, lecz Ellen i John mieli tę noc po raz pierwszy spędzić razem, bez towarzystwa. Ellen czekała na tę chwilę z radością, choć jednocześnie odrobinę się bała. Została wychowana w surowych zasadach, jak większość młodych kobiet z jej pokolenia, toteż prawie nic nie wiedziała o tym, co robią małżonkowie w łóżku po zapadnięciu ciemności. Poznała tylko smak pocałunków, a

to, czego nie wiedziała, wprawiało ją w zdenerwowanie... Miała tylko nadzieję, że John będzie wiedział, co robić i nauczy ją tego, tak jak tylu innych rzeczy...

Nagle rozległy się jakieś krzyki. Jeden z nich ostry i przenikliwy.

Ellen wybiegła z tipi i pobiegła w kierunku chaty. Na podwórzu stała elegancko ubrana starsza pani w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn w nieskazitelnym strojach. Wszyscy oni krzyczeli coś do Juany, która w żaden sposób nie mogła pojąć, o co im chodzi. Mary nie było w domu. Razem z dziećmi poszła po drzewo do paleniska.

- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? - Oстрыm tonem pytała starsza pani. - Poszukuję Ellen Colby! Gdzie ona jest?

- Babcia! - wykrzyknęła Ellen, do której wreszcie dotarło, kim jest ta starsza pani.

Babcia Ellen, Amelia Greene, stała obok powozu pomiędzy dwoma wysokimi młodzieńcami, kuzynami Ellen.

Starsza pani się odwróciła i od razu zrobiła zgorzoniałą minę na widok stroju wnuczki.

- Camellio Ellen Colby! - wykrzyknęła. - Coś ty z siebie zrobiła?

- No cóż, babciu - odparła spokojnie Ellen - trudno wymagać od żony ranczera, a do tego pioniera, żeby ubierała się i postępowała jak dama w salonie.

Starsza pani nie dała się przekonać. Płonęła oburzeniem.

- Zabieraj swoje rzeczy - rozkazała tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Natychmiast wracasz ze mną do domu! Nie zostawię cię tu w tym brudzie i z takimi wieśniakami! I to jest twoja służąca? - wskazała na Juanę. - Ta wieśniaczka?!

Nastrój Ellen zmienił się w jednej chwili. Już nie była przyjazna i skonsternowana, tylko dotknięta do żywego. Podparła się pod boki i popatrzyła groźnie na babcię.

- Jak śmiesz nazywać moich przyjaciół wieśniakami! - wrzasnęła z furją. Podeszła do Juany. - Luis, mąż Juany, i Isaak, mąż Mary, są naszymi przyjaciółmi i współdziałowcami w tym interesie z ranczem, a nie żadną służbą!

Mary, która właśnie nadeszła, stanęła obok Ellen. Dzieci otoczyły je ciasnym kołem. Nim starsza pani doszła do siebie po tym wybuchu wnuczki, nadjechał John w towarzystwie Luisa, Isaaka i dwóch Komanczów. Oczywiście wszyscy byli uzbrojeni.

Amelia Greene na ich widok pisnęła głośno i szybko schowała się za wyższego z towarzyszących jej wnuków.

- To co? Porywamy tę starą damę? - - spytał młodszego Indianina Czerwone Skrzydło, pokazując palcem Amelię. - Ile dacie za nią? - Zwrócił się do wyższego wnuka. Oczywiście zrobił to specjalnie, trochę na postrach, a trochę dla żartu.

Niewiele brakowało, żeby starsza pani zemdląła. Ellen się roześmiała.

- On tylko żartował - zapewniła babcię.

- Mam nadzieję - mruknął wyższy z kuzynów Ellen, spoglądając spode łba na Czerwone Skrzydło.

- A w ogóle dlaczego wpuszczacie tutaj Indian?

- Pomagają nam hodować konie - wyjaśniła Ellen.

- Czerwone Skrzydło i Grzmot - przedstawiła ich po kolei. - A to nasi wspólnicy: Luis Rodriguez i Isaak Brown. Panowie, to jest moja babcia, pani Amelia Greene z Nowego Jorku.

Nikt się nie odezwał. Na ściskanie rąk też się nie zanościło.

John podszedł do Ellen i objął ją ramieniem. Wstydził się za krewnych swojej żony. Nie mógł znieść, że tak paskudnie potraktowali tutejszych Indian i obrazili jego przyjaciół.

- Tu w Teksasie gościnność jest dla nas święta - zaczął powoli, choć jego oczy rzuciły groźne błyski - ale, jak pewnie państwo zauważyli, jeszcze nie mamy warunków, w których moglibyśmy podejmować gości.

- Chyba nie myśli pan, że zgodzimy się tu zostać? - spytał wyraźnie urażony niższy kuzyn Ellen.

- Chodź, babciu, wracamy do miasta. Ellen jest dla nas stracona. Chyba wreszcie sama się o tym przekonałaś.

- Zapewniam cię, kuzynie, że za pięć lat nie poznasz tego miejsca - powiedziała sucho Ellen, wpatrując się w młodzieńca z nieukrywaną pogardą.

- Wystarczy trochę wysiłku i ciężkiej pracy, żeby było tu jak na wystawie...

- Parszywych kundli - prychnęła Amelia.

- Co powiedziałaś, babciu? Chyba dama nie powinna się tak wyrażać - odcięła się Ellen. - Ale skoro dajesz mi przykład, to się dowiedz, że wasze wystawy rasowych psów, a także wasze towarzystwo jest mi bardziej wstrętne niż towarzystwo parszywych kundli. A teraz bądźcie uprzejmi stąd się wynieść. Mam swoje obowiązki i nie mam czasu zabawiać was rozmową. W przeciwieństwie do was, nie przesiaduję w salonie, czekając, aż inni ludzie podadzą mi to, co im każe.

- No więc dobrze! - Starsza pani popatrzyła na nią z gniewem. - Żyj sobie w tej głuszy z tymi twoimi dzikusami! Przyjechałam tu tylko po to, żeby cię wyzwolić od tej głupiej harówki!

- Akurat - powiedziała wyniośle Ellen. - Przyjechałaś, bo brakuje ci posłusznej niewolnicy. Ellen, przynieś to, Ellen, podaj tamto, Ellen, zaprowadź mnie tu, zaprowadź mnie tam - przedrzeźniała piskliwy głos babki. - Mam serdecznie dosyć tej twojej tyranii.

- Do niczego innego się nie nadajesz - dokuczyła jej Amelia. - Nie masz urody ani

żadnych talentów, ani...

- Co też pani opowiada! - oburzył się John, przerywając tę wyliczankę. - Ellen jest cudowna! Delikatna i dobra, a jak trzeba, to i odważna. I tutaj nie jest niczyją służącą. I ma tyle wolności, ile pani nigdy nie miała i nigdy nie zazna!

- Szybko umrze tu z przepracowania - warknęła Amelia. Gdyby wzrok mógł zabijać, John już dawno leżałby martwy. - Na pewno!

- Jeśli umrze, to na własnej ziemi i podczas budowy własnego rancza, i będzie już wtedy właścicielką wielkiego imperium hodowlanego - odparł spokojnie John. - A teraz żegnam panią i obu panów.

Droga jest tam - dodał, pokazując palcem gościniec.

Amelia Greene dumnie uniosła głowę i podreptała do powozu. Młodzieńcy pomogli jej wsiąść, po czym ten wyższy usiadł na koźle i wziął w ręce lejce.

- Ruszaj - rozkazała Amelia. - Nie mamy tu czego szukać.

Nigdy nie słyszałam w twoich ustach prawdziwszych słów - powiedziała słodko Ellen. - Szerokiej drogi, babciu! I dziękuję za troskę! Tylko uważajcie na złodziei bydła, rabusiów banków i wszelkiej maści rewolwerowców. Na tych drogach aż roi się od bandytów. Na waszym miejscu jechałabym bardzo szybko!

Słychać było zduszone pośpieszne szepty, po czym siedzący na koźle kuzyn Ellen pognął konie i ruszył polną drogą w kierunku miasta.

- Niegrzeczna dziewczynka! - John się roześmiał i mocno przytulił do siebie Ellen.

- No to moi ratownicy już się wynieśli - mruknęła, tuląc się do niego. - Możemy wracać do pracy.

Tę noc Ellen i John po raz pierwszy spędzili tylko we dwoje, bez czujnych oczu i uszu dookoła, w tipi zbudowanym specjalnie dla nich przez Komanczów.

- Trochę się denerwuję - wyznała Ellen, gdy John wygasił ogień i w tipi zrobiło się całkiem ciemno.

- Za chwilę przestaniesz - obiecał, tuląc ją do siebie. - Oboje jesteśmy młodzi i mamy przed sobą wiele lat. Zdążymy się do siebie przyzwyczaić. Musisz tylko pamiętać, że bardzo mi na tobie zależy. Jesteś moim najdroższym skarbem. Kocham cię. Przez całe życie nie przestanę się starać, żeby cię uszczęśliwić.

- John! - Przytuliła się do niego i uniosła głowę. - Uwielbiam cię - szepnęła.

Pochylił się, pocałował ją delikatnie, a potem już trochę mniej delikatnie i już po chwili czułe pieszczoty przemieniły się w ogniste pocałunki. Opadli na posłanie i wreszcie poddali się namiętności, która narastała w nich przez wiele, wiele tygodni.

Z początku Ellen trochę się krępowała, na szczęście John okazał się czułym i cierpliwym kochankiem. Bardzo prędko nią także zawładnęło pożądanie. Gwałtowność tego pożądania dla obojga była czymś całkiem nowym. W miarę, jak rosła, oboje zachowywali się coraz swobodniej. W miękkiej otaczającej ich ciemności śmiali się, ale w pewnej chwili śmiech zamarł, bo nagle zakosztowali pierwszych mocnych wrażeń wzajemnej rozkoszy.

Zasypiając w ramionach Johna, Ellen pomyślała, że w całej dotychczasowej historii Teksasu chyba jeszcze nigdy nie było szczęśliwszej młodej żony.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Babcia i kuzyni Ellen wrócili na Wschód i już nigdy więcej nie zawitali na ranczo 3J. Za to ojciec regularnie odwiedzał swoją jedynaczkę. Był jednocześnie wzruszony i ubawiony tym, że tak niewiele potrzeba jego córce i zięciowi do szczęścia. Zaproponował im nawet pożyczkę na budowę większego domu, ale oboje bardzo grzecznie odmówili. Ellen przypomniała mu przy okazji, że jedyne, czego od niego oczekują, to wybudowania obiecanej bocznicą kolejowej.

Któregoś dnia linia kolejowa w końcu podeszła pod ich ranczo. John załadował bydło do wagonów i wysłał je na Środkowy Wschód. Ciężka praca wszystkich mieszkańców rancza zaowocowała wkrótce szybko rosnącymi dochodami.

Za pierwsze zarobione pieniądze zakupili kilka sztuk bydła. Następnie wybudowali osobne domy dla rodziny Rodriguezów i Brownów, zastępując nimi dwa duże tipi, które Komancze postawili dla każdej z tych rodzin. Komanczom także zaproponowali własną chatę z drewnianych bali, ale Indianie odmówili. Bardzo grzecznie i bardzo stanowczo. Nie potrafili zrozumieć fascynacji białych ludzi ideą stałego domu, który trzeba nieustannie sprzątać. Przecież o wiele łatwiej jest przenieść tipi w czyste miejsce!

Tylko John i Ellen nadal mieszkali w swoim tipi, przede wszystkim po to, żeby jeszcze zaoszczędzić trochę pieniędzy.

Następna w kolejności stanęła stajnia. Jak we wszystkich młodych społecznościach, tak i u nich w czasie budowy stodoły organizowano liczne pikniki i wspólne szycie kołder. Wszyscy silni młodzi ludzie z okolicy zaangażowali się w budowę i wkrótce stanęła piękna stajnia, a obok niej wybieg dla koni. Dookoła rancza 3J jak grzyby po deszczu wyrastały nowe rancza, chociaż nie tak duże i oczywiście z nie tak licznymi stadami bydła czy koni, jakimi mógł się teraz pochwalić John.

Nowa linia kolejowa, kiedy już powstała, zaczęła przynosić olbrzymie dochody całej okolicy. Wszystkie tutejsze rancza i miasteczka bogaciły się i rozwijały, ale inne rejony kraju, pozbawione linii kolejowej, niestety się wyludniały.

Mieszkańcy uznali, że muszą jakoś nazwać swoje miasteczko, które powstało wokół rancza 3J, zanim jeszcze dotarła tutaj kolej. Postanowili nazwać je Jacobsville, na cześć Johna Jacobsa i to pomimo jego gorących protestów. Ciężka praca i brak uprzedzeń przysporzył mu wielu przyjaciół i kilku niebezpiecznych wrogów. Ale chociaż ciągle kradziono bydło i napadano na okoliczne domy, dobytek Dużego Johna zawsze pozostawał nietknięty. Bandyci

znad granicy omijali jego ranczo wielkim kołem.

Stado nadal się powiększało, mięso było w coraz lepszym gatunku, rosło też zapotrzebowanie na bydło Johna Jacobsa.

John dokupił więc nowe hektary ziemi i całe kilometry drutu kolczastego, żeby ogrodzić swoje pastwiska. Zatrudnił też nowych ludzi: białych, czarnych i Meksykanów, bez różnicy. Wśród nich znalazł się nawet jeden Chińczyk, który będąc w Arizonie usłyszał o ranczo 3J i przyjechał tu w poszukiwaniu pracy. Liczba budynków gospodarczych systematycznie rosła, a każdego nowego pracownika powierzano komendzie Luisa albo Isaaka.

Ellen pracowała ramię w ramię z innymi kobietami. Przyjmowała kolejne kobiety do szycia sukienek, aż w końcu miała dość towaru i rąk do pracy, żeby otworzyć własny sklep w ich nowym miasteczku Jacobsville. Mary i Juana, obie w roli współwłaścicielki sklepu, zmieniały się przy kasie, podczas gdy Ellen ograniczyła się do szycia pokrowców na kanapy i fotele do nowego drewnianego domu, który John dla nich zbudował. Ona i jej przystojny mąż z każdym dniem stawali się sobie coraz bliżsi i tylko jednego wciąż im brakowało do szczęścia. Już drugi rok byli małżeństwem, ale nadal nie mieli dzieci.

John nigdy o tym nie mówił, lecz Ellen wiedziała, że bardzo chciał mieć potomków. Ona zresztą też. Dziwiło ją to, że ich wciąż rosnąca namiętność dotąd nie wydała owoców. Mimo to ich małżeństwo było udane, a Ellen nigdy nawet nie marzyła o takim szczęściu.

W trzecim roku małżeństwa przyjechała do nich pociągiem Jeanette, siostra Johna, z mężem i czwórką dzieci. Dopiero wtedy Ellen dowiedziała się od niej . całej prawdy o wielkiej tragedii Johna, która przygnała go na Zachód. Otóż wojska Unii miały zaatakować dom tego wstrętnego nadzorcy, od którego uciekli Brownowie, ale przez pomyłkę napadły na dom, w którym mieszkał John z matką i siostrami. Dom stanął w płomieniach, matka i siostra Johna spłonęły żywcem. Atak miał być skierowany przeciwko temu nadzorcy, który zakatował na śmierć syna Mary i Isaaka oraz mnóstwo innych niewolników. Próbowano od razu powiedzieć Johnowi o tej tragicznej pomyłce unionistów, ale jego ból był tak straszliwy, że ledwie rozumiał, co do niego mówiono. Nie chciał słuchać, nienawidził żołnierzy Unii. Dopiero teraz Jeanette postarała się, żeby wszystko do niego dotarło. Opowiedziała mu całą prawdę. Przyznała się, że oficer dowodzący oddziałem błagał ją o przebaczenie i nawet dał jej pieniądze na podróż do Północnej Karoliny. O tym wszystkim John dowiedział się dopiero teraz. Czy miał żal do siostry? Jeśli miał, to skrzętnie to ukrywał. Widać było, że Jeanette uwielbia Johna, a on był oddanym wujkiem dla jej dzieci.

Po tej wizycie Ellen zaczęła lepiej rozumieć złe humory męża, te dni, kiedy chciał być

sam. Wyruszał wtedy na polowanie, ale nigdy niczego nie upolował.

Ellen i Jeanette polubiły się od pierwszego wejrzenia. Kiedy Jeanette z rodziną wróciła do Północnej Karoliny, często do siebie pisywały.

Pewnego dnia odwiedził ich szeryf James Graham. Poskarżył się, że nie udało mu się dopaść tych dwóch Komanczów, których od dawna ścigał, a których podejrzewano o zastrzelenie białego mężczyzny. Potem okazało się, że ten człowiek oszukał wielu Komanczów i żołnierzy na handlu końmi i że wcale nie został zabity, tylko sam rozpuścił taką plotkę po okolicy. W końcu go aresztowano, osądzono i wsadzono do więzienia. Tak więc, powiedział Johnowi szeryf, Komancze już nie mają żadnych kłopotów. Powiedział to tylko na wszelki wypadek, gdyby John przypadkiem się na nich natknął.

Dowiedziawszy się o aresztowaniu oszusta, Grzmot i Czerwone Skrzydło popracowali jeszcze kilka miesięcy, po czym zabrali wyplątę i udali się na Północ. Ellen było przykro, że odjeżdżają, ale Grzmot jej obiecał, że jeszcze kiedyś na pewno się spotkają.

Maxwellowie ze Szkocji zaczęli dość często przyjeżdżać do nich z wizytą. Zawsze mieszkali w przepięknym białym domu w stylu wiktoriańskim, który John zbudował dla swej ukochanej żony. Dzielili się swoimi doświadczeniami z zakresu hodowli koni i John w końcu też zajął się hodowlą koni pełnej krwi. Po latach pełnokrwisty koń z linii zapoczątkowanej na ranczo 3J wygrał znany konkurs Triple Crown.

Mijały lata. Z każdym rokiem ranczo 3J stawało się coraz zamożniejsze. Pewnego majowego dnia Ellen nagle zemdląła na kościelnej imprezie dobroczynnej. John zaniósł ją do gabinetu lekarza, który całkiem niedawno się tu sprowadził i zamieszkał naprzeciwko nowej restauracji. Doktor zbadał Ellen, a kiedy w końcu pozwolono Johnowi wejść do gabinetu, uśmiechnął się do niego serdecznie.

- Wkrótce zostanie pan ojcem, młody człowieku - oznajmił. - Moje gratulacje!

John popatrzył na Ellen z takim zachwytem i podziwem, jakby właśnie rozwiązała największą zagadkę wszechświata. Wziął ją na ręce i całował z wielką czułością i radością.

Teraz już był całkiem szczęśliwy. Ale zaraz zaczął się martwić porodem. Przypomniawszy sobie, jak rodziły Mary i Juana. Poblądł.

- Proszę się nie martwić, panie Jacobs. - Doktor poklepał go po ramieniu. - Żona jest jeszcze młoda i zdrowa. A pan na pewno przeżyje narodziny swoich dzieci. Wszyscy to przeżyliśmy. Tak, tak, ja też. A w dodatku sam musiałem przyjąć poród moich dzieci. Na szczęście panu będzie to oszczędzone.

John się roześmiał. Od razu mu ulżyło. Podziękował lekarzowi i jeszcze raz pocałował Ellen.

W następnych latach Ellen urodziła mu trzech synów i dwie córki. Niestety, tylko dwoje z nich dożyło pełnoletności: syn Bass i córka Rose Ellen. Mimo to rodzina rozrastała się i bogaciła, a Jacobsville razem z nią. Potem, także na cześć Johna, całe hrabstwo nazwano Jacobs. John powiększył swoje udziały o akcje kopalń, nieruchomości i banków. To on pierwszy w całym Teksasie zastosował nowe metody hodowli bydła i mechanizację.

Brownowie poprzestali na szóstce dzieci. Ich najmłodszy syn, Caleb, przeprowadził się do Chicago, gdzie został znanym obrońcą sądowym. W przyszłości jego syn zostanie wybrany do Senatu Stanów Zjednoczonych.

Rodzina Rodriguezów miała dziesięcioro dzieci. Jeden z ich synów został Strażnikiem Teksasu. Zapoczątkował tym samym tradycję, którą rodzina kultywowała w następnych pokoleniach.

John Jacobs założył pierwszy bank w hrabstwie Jacobs oraz pierwszy sklep wielobranżowy. Ciężko pracował, hodując dobre bydło, ale prawdziwą fortunę zrobił po śnieżycy, która w latach 1885 - 86 spowodowała bankructwo wielu hodowców. Wspomagał finansowo college i sierotniece, a ponieważ zawsze aktywnie uczestniczył w życiu swojej społeczności, w wieku pięćdziesięciu lat został senatorem.

On i Ellen przez całe pięćdziesiąt lat małżeństwa nigdy się nie rozstali.

Syn Johna, Bass Jacobs ożenił się dwukrotnie. Z drugą żoną miał syna Bassa Juniora i córkę Violet Ellen. Bass Jacobs Junior, wnuk Johna, był ostatnim z Jacobsów właścicielem ziemi w hrabstwie Jacobs. Po jego śmierci ranczo 3J zostało sprzedane. Urodzony w 1955 roku syn, Tyn Jacobs, przeniósł się do Arizony. Tam się ożenił i zamieszkał na stałe. Córka Bassa Juniora, Shelby, urodzona w 1961 roku, pozostała w Jacobsville. Wyszła za mieszkańca tego miasta - Justina Ballengera. Mieli trzech synów. Jednemu z nich dano na imię John Jackson Jacobs Ballenger, żeby imię założyciela rodu, z którego pochodziła Shelby, pozostało w ludzkiej pamięci.

Zaraz po zakończeniu pierwszej wojny światowej na placu w Jacobsville wzniesiono pomnik z brązu przedstawiający Johna Jacobsa na ogierze krwi arabskiej. Właśnie z hodowli tych koni zasłynęło ranczo 3J. Portrety rodziny Rodriguezów i rodziny Brownów wyeksponowano na poczesnym miejscu w Miejskim Muzeum Jacobsville, w hrabstwie Jacobs. Jest tam także portret Camellii Ellen Jacobs w eleganckiej niebieskiej sukni. U jej stóp leży strzelba w skórzanym pochwie z frędzelkami. Wszystkie trzy portrety należały kiedyś do Bassa Jacobsa Juniora, a zostały podarowane muzeum przez jego córkę Shelby Jacobs Ballenger. W oszklonej gablocie, znajdującej się tuż obok portretów, wystawiono łuk i strzały oraz wyszywany paciorkami kołczan z garbowanej skóry. Znajduje się tam także czarno -

biała fotografia wojownika z plemienia Komanczów z białą kobietą o blond włosach i piątką dzieci, z których dwoje także ma jasne włosy. Ale to już całkiem inna historia...

DIANA PALMER
POMOCNA DŁOŃ
(BIAŁA SUKNIA)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ranek był ciepły, a prognoza zapowiadała na popołudnie temperaturę sięgającą trzydziestu stopni Celsjusza. Upał nie odebrał jednak energii licytantom i prowadzący aukcję, stojąc na eleganckim ganku okazałej białej rezydencji, ani na moment nie przerywał monotonnej wyliczanki, od czasu do czasu wycierając tylko strumienie potu spływające mu po twarzy.

Przyglądając się aukcji, Justin Ballenger zmrużył oczy, mimo że od słońca chroniło go rondo kosztownego kremowego stetsona. Nie miał zamiaru niczego kupować, w każdym razie nie tego dnia. Mimo to był osobiście zainteresowany tą właśnie aukcją, albowiem wystawiany właśnie na sprzedaż dom i cały majdan należały do rodziny Jacobsów. Powinien chyba nawet czuć satysfakcję, że dziedzictwo starego Bassa Jacobsa zostaje w tej chwili roztrwonione. O dziwo, wcale jednak nie triumfował. Cała ta procedura wprowadziła go nawet w lekki niepokój. Czuł się tak, jakby był świadkiem obdzierania bezbronnej ofiary ze skóry przez stado drapieżników.

Przeczesywał wzrokiem tłum, szukając Shelby Jacobs, ale nigdzie jej nie widział. Prawdopodobnie wraz ze swoim bratem, Tylerem, znajdowała się wewnątrz, pomagała segregować meble i inne wystawione na sprzedaż antyki.

Kątem oka zarejestrował jakiś ruch po swojej lewej stronie. Obok niego zjawiała się Abby Ballenger, od sześciu tygodni jego szwagierka.

- Nie spodziewałam się ciebie tutaj - zauważyła z uśmiechem. Mieszkała z nim i Calhounem, jego bratem, od czasu tragicznej śmierci ich ojca i jej matki, którzy mieli się pobrać. Bracia przygarnęli Abby i opiekowali się nią, a przed paroma tygodniami Abby i Calhoun wzięli ślub.

- Nie opuszczam takich okazji - odparł, spoglądając w stronę prowadzącego aukcję. - Nie widzę nigdzie Jacobsów.

- Tyler jest w Arizonie. - Abby westchnęła, spostrzegłszy nagły błysk w ciemnych oczach Justina. - Wyjechał, oczywiście po kłótni, ale też po prostu musiał pilnie wracać na ranczo, które pomaga prowadzić.

- Shelby jest sama? - zapytał Justin.

- Obawiam się, że tak. - Popatrzyła na niego i szybko uciekła wzrokiem w bok, ledwie powściągając uśmiech.

- Wynajęła mieszkanie w mieście. - Wygładziła fałdę popielatej spódnicy. - Nad kancelarią, gdzie pracuje...

Na poważnej twarzy Justina jeszcze bardziej uwidoczniło się zdenerwowanie, tak że zapomniał nawet o palącym się papierosie, który trzymał w dłoni.

- Na Boga, to nie jest mieszkanie, to stary magazyn!

- Barry Holman pozwolił jej to wyremontować - oznajmiła, patrząc na niego niewinnym wzrokiem.

- Właściwie w sumie nie miała wyboru. Na nic więcej ją nie stać z pensji, a dom poszedł na sprzedaż. Sam wiesz, że muszą pozbyć się wszystkiego. Tyler i Shelby łudzili się, że uda im się zatrzymać przynajmniej dom i ziemię, ale długi ich ojca okazały się większe, niż myśleli.

Mruknął coś pod nosem, zerkając na potężny elegancki budynek, który w pewnym sensie reprezentował sobą wszystko to, czego tak bardzo nie lubił w rodzinie Jacobsów przez ostatnie lata, od chwili, gdy Shelby zdradziła go i zerwała ich zaręczyny.

- Nie jesteś zadowolony? - spytała zaczepnie Abby.

- Przecież jej źle życzysz. Powinieneś się cieszyć, widząc ją tak publicznie poniżoną.

Justin milczał. Wtem odwrócił się z kamienną twarzą i ruszył żwawo w stronę swojego czarnego forda thunderbirda. Abby uśmiechnęła się pod nosem. Spodziewała się jakiejś reakcji z jego strony, gdy uświadomi mu, jak bardzo cała ta sytuacja rani Shelby. Przez lata unikał jakiegokolwiek kontaktu z rodziną Jacobsów, to nazwisko nie padło nawet w jego domu. Ale w ostatnich miesiącach skrywane latami napięcie zaczęło się ujawniać. Abby natychmiast odgadła, że Justin w dalszym ciągu czuje coś do kobiety, która go rzuciła. Wiedziała też, że i on wciąż nie jest obojętny Shelby. Niewypowiedziane szczęśliwa we własnym związku, pragnęła, aby cała reszta świata była równie zadowolona. Była przekonana, że jeśli pchnie Justina we właściwym kierunku, połączy dwie zagubione dusze.

Justin dowiedział się o wyprzedazy Jacobsów dopiero tego ranka, kiedy Calhoun wspomniał o niej w biurze ich wspólnej tuczami. Pisano o tym wcześniej w gazetach, ale Justin nie miał ich w rękę, wyjechał bowiem wtedy z miasta.

Nie dziwiło go, że Shelby trzyma się z dala od aukcji. Urodziła się w tym domu. Spędziła w nim całe swoje dotychczasowe życie. To jej dziadek założył niegdyś w Teksasie niewielką osadę o nazwie Jacobsville. Jacobsowie byli starą, zamożną rodziną. Mali, obdarci Ballengerowie z upadającego rancza na obrzeżach miasta nie byli według pani Jacobs wymarzonymi kolegami dla jej dzieci. Niemniej po jej śmierci pan Jacobs odnosił się przyjaźnie do Ballengerów, a zwłaszcza od czasu, kiedy Justin i Calhoun założyli własny

interes. Kiedy zaś doszło jego uszu, że jego córka, Shelby, zamierza wyjść za Justina Ballengera, oznajmił młodemu człowiekowi, że nic nie mogłoby mu sprawić większej radości.

Justin starał się nie wracać myślą do tamtego wieczoru, kiedy Bass Jacobs przyszedł do niego z Tomem Wheelorem. Ale teraz to wszystko powróciło. Stary Jacobs wyglądał na ogromnie zmartwionego. Oznajmił mu, Justinowi, wprost, że Shelby kocha Toma, a na dodatek sypia z nim, i to przez cały czas pozornego narzeczeństwa z Justinem. Bass cierpiał, wstydził się za córkę. Twierdził, że Shelby wykorzystwała zaręczyny jako zachętę dla ociągającego się zalotnika, a gdy już dopięła swego, Justin przestał jej być potrzebny. Bass oddał mu zaręczynowy pierścionek córki, a Tom Wheelor wymruczał jakieś przeprosiny, czerwony jak burak. Bass zapłakał nawet. I być może kierowany zażenowaniem i wstydem, z miejsca obiecał Justinowi finansowe wsparcie dla jego nowej tuczami. Postawił przy tym jeden warunek: Shelby nie może się dowiedzieć o tych pieniądzach. Potem wyszedł.

Justin, który nie miał zwyczaju myśleć o nikim źle, nie posiadając jednoznacznych dowodów, wykręcił numer Shelby, kiedy jej ojciec zapalał silnik swojego samochodu. Nie zaprzeczyła ani jednemu słowu Bassa. Wszystko co do joty potwierdziła, nawet fakt, że sypia z Wheelorem. Przyznała, że jej jedynym celem było wzbudzenie zazdrości Toma i doprowadzenie do tego, by się jej oświadczył. Tak powiedziała, dodając, że żywi nadzieję, iż Justin nie ma jej tego za złe. W końcu zawsze dostawała wszystko, na co przyszła jej ochota, Justin zaś nie był dość zamożny, by spełniać jej rozmaite zachcianki, w przeciwieństwie do Toma...

Justin wówczas jej uwierzył. Jej słowa brzmiały tym bardziej wiarygodnie, że Shelby odepchnęła go jeden jedyny raz, kiedy chciał się z nią kochać. Po tym incydencie poszedł w legendarne tango. I przez sześć minionych lat nie dopuścił do siebie żadnej kobiety tak blisko, by miała szansę zrobić choć jedną rysę na jego sercu. Pozostał nieczuły na wszelkie oferty, a wcale ich nie brakowało. Nie należał do przystojnych, jego ciemna twarz była zbyt pobrużdżona, rysy zbyt nieregularne, pozbawione uśmiechu oblicze zbyt nieprzystępne. Miał za to pieniądze i władzę, a to przyciągało do niego kobiety. Gorycz nie pozwalała mu wszakże przyjmować ich zalotów. Shelby zraniła go tak jak nikt inny dotąd, i latami przy życiu utrzymywała go wyłącznie myśl o zemście.

Teraz jednak, gdy stał się świadkiem jej bankructwa, nie czuł satysfakcji. Po głowie chodziło mu tylko to, że Shelby została pokrzywdzona i samotna, pozbawiona rodziny i przyjaciół, którzy mogliby ją wspierać.

Pomieszczenie nad kancelarią, w której pracowała, było ciasne, a poza tym, zdaniem Justina, znajdowało się zbyt blisko jej szefa, który wciąż był kawalerem. Znał opinię o Holmanie - plotki głosiły, że pan adwokat lubi ładne kobiety. Shelby, wysoka szczupła brunetka o zielonych błyszczących oczach, zdecydowanie zaliczała się do tej kategorii. Skończyła dwadzieścia siedem lat, nie była więc już podlotkiem, a mimo to wciąż wyglądała tak samo jak wtedy, gdy się zaręczyli. Miała w sobie jakąś niewinność, na widok której Justin zgrzytał zębami. Była to bowiem niewinność fałszywa, zresztą Shelby przyznała to sama.

Przystanął pod drzwiami jej nowego mieszkania, unosząc rękę, by zapukać. Z wnętrza dochodził jakiś stłumiony dźwięk. To nie był śmiech. Czyżby zatem płacz?

Zacisnął zęby i zastukał głośno w drzwi.

Dźwięk umilkł w jednej chwili. Coś zaskrzypiało, jakby ktoś odsuwał krzesło, potem dobiegły go czyjeś bezszelestne niemal kroki - jakby echo jego bijącego szybko serca.

Drzwi otworzyły się. Stała w nich Shelby, w wypłowiałych obcisłych dżinsach i niebieskiej koszuli. Długie ciemne włosy opadały jej na plecy, a zaczerwienione oczy były mokre od łez.

- Przyszedłeś, żeby triumfować? - spytała rozgoryczona.

- To żadna przyjemność widzieć cię tak upokorzoną - odparł z uniesioną głową, mrużąc oczy. - Abby mi powiedziała, że jesteś sama.

Westchnęła, spuszczać wzrok na zakurzone, znoszone buty.

- Od dawna jestem sama. Nauczyłam się z tym żyć.

- Poruszyła się niespokojnie. - Dużo ludzi przyszło na aukcję?

- Cały dziedziniec. - Zdjął kapelusz i trzymał go w ręce, drugą przeczesując gęste, proste czarne włosy.

Shelby podniosła na niego wzrok, zatrzymując się dłużej na zmarszczkach jego pobrużdżonej twarzy, na wyrazistych wargach, które całowała przed sześciu laty. Była w nim wówczas zakochana do szaleństwa. Tego wieczoru, kiedy się zaręczyli, przestraszył ją jego niespodziewany zapach. Odepchnęła go, a pamięć spędzonych wspólnie chwil, zanim strach stał się tak namacalny, była obezwładniająca. Pragnęła o wiele więcej, niż sobie ofiarowali, a z drugiej strony miała więcej powodów niż większość kobiet, by obawiać się zbliżenia. Justin nie był tego świadom, ona zaś była zbyt nieśmiała, by wyjaśnić mu swoje postępowanie. Odwróciła się, boleśnie wzdychając.

- Poczęstuję cię mrożoną herbatą, jeśli jesteś w stanie wytrzymać chwilę w moim towarzystwie.

Zawahał się na bardzo krótki moment.

- Mogę się napić - rzekł cicho. - Gorąco jak diabli. Wszedł za nią do środka, zamykając machinalnie drzwi. I znieruchomiał, widząc jej obecne mieszkanie. Składało się ono z dwóch pokoi, w których znajdowała się wysłużona sofa, krzesło, porysowany stolik i mały odbiornik telewizyjny. Ani śladu szafy, a zatem ubrania trzymające zapewne w garderobie, uznał Justin. W kuchni pysznił się toster, mała kuchenka elektryczna i miniaturowa lodówka. I to wszystko, w domu kobiety przywykłej do służby i jedwabnych sukni, sreber i mebli chippendale.

- Mój Boże! - mruknął zasepiony.

Shelby zdenerwowała się, ale nie obróciła się do niego, zniechęcona nutą współczucia w jego głosie.

- Nie potrzebuję litości - oznajmiła spięta. - To mój ojciec jest winny, że sprzedajemy dom, ja nie mam z tym nic wspólnego. To był jego dom. Ja dam sobie radę i bez tego.

- Ale chyba nie w ten sposób, do cholery! - Trzasnął kapeluszem o stolik. Chwyił ją za nadgarstki swoimi mocnymi, spracowanymi rękami i spojrzął na nią. - Nie będę stał z boku i patrzył, jak żyjesz w tej pułapce na szczury. Do diabła z Barrym Holmanem i jego dobroczynnością.

Shelby była zszokowana, i to nie tylko jego słowami.

- To nie jest pułapka na szczury. - Głos jej się załamał.

- Jest, w porównaniu z tym, do czego byłaś przyzwyczajona! - Nabrał powietrza i wypuścił je z gniewnym westchnieniem. - Na razie możesz zamieszkać u mnie.

Shelby poczerwieniała jak burak.

- W twoim domu? Mam mieszkać z tobą sama? Justin uniósł głowę urażony.

- W moim domu - potwierdził. - Nie w moim łóżku. Nie każę ci płacić za dach nad głową. Bardzo dobrze pamiętam, że nie lubisz, jak cię dotykam.

Poruszona gorzką drwiną jego słów, nie mogła spojrzeć w jego czarne oczy ani odeprzeć jego oświadczenia, nie wprawiając ich oboje w zażenowanie. Zresztą, minęło już tyle czasu. Teraz to bez znaczenia.

Zatrzymała więc wzrok na jego rozpiętej pod szyją koszuli, na czarnych włosach pod białym jedwabiem. Dotknęła ich jeden raz. Tamtego wieczoru, kiedy się zaręczyli, rozpiął koszulę i pozwolił jej dłoniom błędzić po jego piersi. Całował ją tak, jakby nie mógł bez tego żyć, a gdy jego wargi zapuściły się za daleko, omal nie straciła zmysłów.

Do owego wieczoru nie próbował nawet jej tknąć, ograniczając się do krótkich, przelotnych pocałunków. Początkowo to jego opanowanie drażniło ją i ciekawiło jednocześnie. Była pewna, że jest tak samo doświadczony w tym względzie jak jego brat

Calhoun. Ale być może przeszkadzała mu dzieląca ich różnica pozycji społecznej: Justin ledwie wszedł wówczas do klasy średniej, a rodzina Shelby należała do bogatych. Dla niej nie miało to znaczenia, wiedziała jednak, że Justin czuje się tym skrępowany. Zwłaszcza kiedy go rzuciła, powodowana podstępny uporem własnego ojca.

Ale i z nim sobie poradziła. Ojciec zaplanował, że wyda córkę za Toma Wheelora, łącząc w ten sposób z zimną krwią dwie solidne fortuny. Justin wszedł mu w paradę. Shelby jednak odrzuciła zaloty Wheelora i nigdy nie pozwoliła mu się dotknąć. Oznajmiła Bassowi i Jacobsowi, że nie wyjdzie za jego młodego bogatego przyjaciela. Ale stary wtedy bynajmniej nie skapitulował i dopiero tuż przed śmiercią, kiedy uświadomił sobie moc miłości córki do Justina, poczuł wyrzuty sumienia. Nie przyznał się jej, że wzmocnił finansowo interes Ballengerów, dręczony poczuciem winy, ale przynajmniej ją przeprosił.

Shelby podniosła wzrok, patrząc w milczeniu w ciemne oczy Justina i sięgając pamięcią wstecz. Ciężko jej było bez niego. Jej marzenia o życiu z nim w miłości, o urodzeniu mu synów, dawno już odeszły w dal, wciąż jednak jego widok sprawiał jej przyjemność. Jego dłonie na jej nadgarstkach rozgrzewały ją, budziły w niej zakazane dawno tęsknoty, na przykład za ciepłym jego pachnącym wodą kolońską ciałem. Gdyby tylko ojciec się wtedy nie wtrącił! Na pewno wytłumaczyłaby Justinowi powód swoich lęków i poprosiła, by był dla niej łagodny i czuły. I żeby się nie spieszył. Teraz jest już na to za późno.

- Przecież wiem, że mnie nie chcesz - powiedziała.

- I wiem dlaczego. Nie musisz czuć się za mnie odpowiedzialny. Potrafię się o siebie troszczyć.

Oddychał powoli, by nie stracić panowania nad sobą. Jej jedwabście gładka skóra sprawiła mu pewien problem. Mimowolnie jego palce zaczęły gładzić jej nadgarstki.

- Wiem. Ale to nie jest miejsce dla ciebie.

- Na razie nie stać mnie na nic lepszego - odparła.

- Po dwóch miesiącach pracy dostanę podwyżkę, i wtedy wynajmę sobie pokój u pani Simpson, który zajmowała Abby.

- Możesz go mieć już dzisiaj - zaproponował. - Pożyczę ci pieniądze.

Shelby spuściła wzrok.

- Nie. To by nie było w porządku.

- Przecież nikt prócz nas nie musi o tym wiedzieć. Przygryzła z zakłopotania wargi. Nie mogła mu powiedzieć, że nie znosi tego miejsca, tak blisko Barry'ego Holmana, który jest może sympatycznym szefem, ale przy tym ugania się za kobietami. Zawahała się. Zanim mu

odpowiedziała, rozległo się dość mocne stukanie. Justin puścił ją niechętnie i patrzył, jak idzie do drzwi. W progu stał Barry Holman, niebieskooki blondyn w dżinsach i podkoszulku.

- Cześć, Shelby - odezwał się uprzejmie. - Pomyślałem sobie, że może trzeba ci pomóc przy przeprowadzce, coś eee... wnieść. - Urwał, dostrzegając za jej plecami Justina.

- Nie trzeba - rzekł Justin z chłodnym uśmiechem.

- Shelby właśnie się przeprowadza do pani Simpson, i ja jej pomagam w przeprowadzce. Wiem też, że jest bardzo wdzięczna za to - rozejrzał się z niesmakiem - mieszkanie.

Barry Holman przełknął głośno ślinę. Znał Justina od dawna i właśnie się przekonał, że w krążących wcześniej plotkach tkwi sporo prawdy. Justin jest tak zazdrosny, że nawet nie chcąc Shelby dla siebie, wtrąca się, gdy ktokolwiek inny ma na nią ochotę.

- Cóż - powiedział, zachowując uprzejmy uśmiech.

- W takim razie wracam na dół, muszę zadzwonić w parę miejsc. Miło cię znowu widzieć, Justin. Do jutra rana, Shelby.

- Bardzo dziękuję, panie Holman - powiedziała.

- Nie chciałabym być niewdzięczna, ale pani Simpson proponuje też posiłki, i jest tam tak spokojnie.

- Uśmiechnęła się. - Nie jestem przyzwyczajona do mieszkania w mieście, a pokój u pani Simpson właśnie się zwolnił...

- Bez urazy, rób, co chcesz. - Barry wyszczerzył zęby. - To na razie.

Justin odprowadzał go wzrokiem.

- Babiaryz - mruknął z dezaprobatą. - Akurat tego ci potrzeba.

Shelby odwróciła się, patrząc na niego ciepło.

- Mam dwadzieścia siedem lat - oznajmiła.

- Chcę wyjść za mąż i mieć dzieci. Pan Holman jest bardzo miłym człowiekiem i nie ma żadnych złych nałogów.

- Poza tym, że sypia ze wszystkim, co nosi spódnice - dodał Justin. Z niechęcią myślał o Shelby jako matce dzieci jakiegoś innego mężczyzny. Lustrował spojrzeniem jej postać. Tak, przybywa jej lat, choć na razie tego aż tak bardzo nie widać. Ale za osiem, dziesięć lat urodzenie dziecka może już być dla niej ryzykowne. Spowaźniał nagle.

- Nigdy nie odezwał się do mnie w niewłaściwy sposób. - Zająknęła się, zmieszana jego spojrzeniem.

- To tylko kwestia czasu. - Powoli nabierał powietrza. - zaproponowałem, że pożyczę ci pieniądze na wynajęcie pokoju u pani Simpson. Jeżeli upierasz się przy tej swojej niezależności, możesz mi je zwrócić, kiedy ci będzie wygodnie.

Shelby musiała zapomnieć o swojej dumie, a nie było jej wcale łatwo przystać na tę pomoc ze świadomością, jak wielki żal ma do niej Justin o przeszłość. Był jednak także po prostu dobrym człowiekiem, a ona znalazła się na zakręcie. Jego serce było tak wspaniałomyślne, że nie pozwoliło mu odwrócić się do niej plecami, nawet po tym, co, jak sądził, zrobiła.

I raptem pod jej powieki napłynęły palące łzy, przypomniała sobie bowiem słowa, które zmuszona była powiedzieć mu wtedy przed laty, którymi tak bardzo go zraniła.

- Przepraszam - szepnęła niespodzianie.

Te słowa i kryjące się za nimi uczucia zdumiały go. Przecież to niemożliwe, żeby teraz Shelby nagle zaczęła czegoś żałować. A może tylko gra, by wzbudzić jego współczucie? Jednak nie potrafił już jej zaufać.

Shelby tymczasem pozbierała się, odgarnęła do tyłu włosy i nalala herbatę do dwu szklanek wypełnionych kostkami lodu.

- Pożyczę od ciebie pieniądze, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała w końcu, podając mu szklankę, ale nie patrząc mu w oczy. - Samotność źle na mnie wpływa.

- Na mnie też, Shelby, ale można do tego przywyknąć - rzekł cicho. Sączył z wolna herbatę i nie mógł spuścić oczu z jej twarzy. - A jak ci się podoba zarabianie na życie?

Pominała lekką kpinę w jego tonie i uśmiechnęła się.

- Lubię to - oznajmiła ku jego zdziwieniu i podniosła na niego wzrok. - Kiedy mieliśmy pieniądze, też miałam swoje obowiązki, należałam do różnych grup wolontariuszy i towarzystw dobroczynnych. A kancelaria także pomaga ludziom w kłopotach. Kiedy mogę choć odrobinę poprawić ich samopoczucie i los, zapominam o własnych problemach.

Justin ściągnął brwi, pijąc zimny, bursztynowy napój. Jego mocne palce ścisnęły wyziębione szkło. Shelby popatrzyła pytająco w jego oczy.

- Nie wierzysz mi, prawda? Uważałeś mnie za pannę z towarzystwa, dość atrakcyjną, z dużymi pieniędzmi i klasą. No, ale to tylko złudzenie, Justin. Nigdy mnie naprawdę nie znałeś.

- Mimo to pragnąłem cię - odparł, patrząc na nią. - A ty przeciwnie, nigdy mnie nie chciałaś. W każdym razie nie pragnęłaś mnie fizycznie.

- Bo za bardzo ci się śpieszyło! - rzuciła, rumieniąc się na samo wspomnienie tamtego dnia.

- Mnie się śpieszyło? Do tamtego wieczoru, o którym zapewne myślisz, nawet cię porządnie nie pocałowałem, na Boga! - Jego oczy zalśniły. Pamiętał dobrze jej odrzucenie i swoją pewność, bolesną pewność, że ona go nie kocha. - Ja cię wynosiłem na piedestał, a tymczasem ty spałaś z tym smarkatym milionerem!

Shelby uniosła ręce w geście protestu.

- Nigdy nie spałam z Tomem Wheelorem!

- Mówiłaś wtedy co innego - przypomniał jej z zimnym uśmiechem. - Przysięgłaś nawet.

Zamknęła oczy, przygaszona falą gorzkiego żalu.

- Tak, tak mówiłam - zgodziła się udręczona i odwróciła głowę. - Prawie o tym zapomniałam.

- A wszystkie późniejsze analizy na nic, tak? - Odstawił szklanekę i wyciągnął papierosa. Zapalił go, nie spuszczać wzroku z Shelby. - To już bez znaczenia.

Chodźmy, podwiozę cię do pani Simpson, obejrzyj sobie ten pokój.

Shelby wiedziała, że Justin wciąż wszystko pamięta i wciąż ma jej za złe. I ani trochę nie odpuści. Gdy sięgała po torebkę, czuła, jakby ciężar całego świata spoczął na jej szczupłych ramionach. Wyszła za nim z mieszkania, nie obdarzając go spojrzeniem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zatrzymawszy samochód na poboczu w pobliżu domu pani Simpson, Justin wcisnął zwitek banknotów do torebki Shelby. Chciała zaproponować, ale on zapalił papierosa i całkiem ją zignorował.

- Mówiłem ci już, że to zostanie między nami - powtórzył, patrząc na nią wyzywająco, gdy wyłączał silnik.

Przemieścił się w anatomicznym fotelu auta i wyciągnął nogi. Znajdowali się na wiejskiej, rzadko uczęszczanej drodze. Samochód stał pod rozłożystym dębem. Justin wystawił łokieć przez otwarte okno i przyglądał się Shelby z ukosa.

- Mówię szczerze. Jeśli chcesz traktować to jako pożyczkę, proszę bardzo.

Shelby zagryzła wargi.

- Oddam ci za jakiś czas - odrzekła hardo, chociaż wiedziała, że to nie będzie wcale łatwe. Pensja z trudem starczy jej na jedzenie i opłacenie czynszu. Prawdopodobnie nie będzie jej stać na żadne nowe ciuchy.

- To nieważne.

- Dla mnie ważne. - Utkwiła w nim swe zielone oczy, pełne teraz wątpliwości. - Justin, co ze mną będzie? - jęknęła niespodziewanie. - Po raz pierwszy w życiu jestem całkiem sama. Tyler jest w Arizonie. Nie mam rodziny... - Otrząsnęła się, odwracając wzrok.

- Chyba wpadam w panikę - zauważyła. - To tylko strach. Przyzwyczaję się. Wybacz, że to powiedziałam.

Nie odezwał się. Nie znał dotąd bezradnej Shelby. Zawsze była spokojna, w każdej sytuacji zachowywała zimną krew. To jest u niej całkiem nowe. Zaniepokoił się, widząc ją tak przestraszoną.

- Jeśli będzie ci bardzo ciężko - zaczął cicho - zawsze możesz się wprowadzić do mnie.

Zaśmiała się nieszczerze.

- Tak, to by świetnie wpłynęło na naszą opinię. Justin wypuścił kłąb dymu z papierosa.

- Jeśli jesteś taka wrażliwa na plotki, możemy się pobrać. - Można by powiedzieć, że mu się to wymknęło, ale mimo to nie spuścił wzroku z jej twarzy.

Shelby z wrażenia przestała na chwilę oddychać. Spojrzała na niego, stare rany otworzyły się na dobre.

- Dlaczego? - zapytała.

Nie miał ochoty jej odpowiadać. Nie chciał przyznać, nawet sam przed sobą, że wciąż coś do niej czuje. Ostatecznie wzruszył tylko ramionami.

- Musisz przecież gdzieś mieszkać. A ja mam dosyć mieszkania samemu. Odkąd Abby i Calhoun wyprowadzili się, czuję się w tym cholernym domu jak w jakimś mauzoleum.

- Litujesz się nade mną - oskarżyła go. Zaciągnął się dymem.

- Być może. I co z tego? Nie masz w tej chwili wyboru. Masz tylko następującą alternatywę: albo pożyczysz ode mnie pieniądze na pokój u pani Simpson, albo za mnie wyjdiesz. - Przyglądał się końcówce papierosa.

- Oczywiście, możesz też wrócić do tego magazynu nad biurem Barry'ego Holmana i dać mu do zrozumienia, że jesteś do wzięcia.

- Przestań! - prawie krzyknęła oburzona. - Holman nie jest taki. A ty nie masz prawa uważać mnie za swoją własność.

- Naprawdę? - Jego oczy przewiercały ją na wylot.

- A jednak tak uważam. Pamiętam, że ty tak samo mówiłaś kiedyś o mnie. Zareczyliśmy się kiedyś, Shelby, a taki związek nie mija w jeden dzień.

- Też mi związek! - odrzekła, wzdychając ze znużeniem. - Nigdy nie rozumiałam, dlaczego właściwie chciałeś się ze mną ożenić.

- Bo byłaś moim kolejnym trofeum - rzekł chłodno, kłamiąc w żywe oczy. - Wyrafinowana i bogata. Ja byłem zwyczajnym wiejskim chłopakiem z gwiazdami w oczach, a ty mnie zabrałaś na niezłą przejażdżkę, moja pani. Teraz moja kolej. Teraz ja mam forszę. A ty nie masz nic. - Przymknął oczy. - I nie myśl sobie, że zaproponowałem ci małżeństwo, bo w dalszym ciągu cię pragnę.

Nie, niczego nie zapomniał. Widziała to wyraźnie w jego oczach, w całej jego postawie. Tak więc ożeni się z nią i skaże ją na taki głód miłości, jakiego sam nigdy nie zaznał, miłości, jakiej do niej nigdy nie czuł. Pogardzał nią, ponieważ spała z Tomem, i to było w tym wszystkim najśmieszniejsze i najtragiczniejsze. Bo wciąż była dziewicą...

- Nie. - Westchnęła, odpowiadając po namyśle na jego pytanie. - Nie jestem taka głupia, żeby się łudzić, że wciąż mnie pragniesz, bo przecież uraziłam twoją męską dumę. - Podniosła wzrok, patrząc na jego twarz, na jego oczy przesłonięte rondem kapelusza, którego niemal nigdy nie zdejmował. - Kiedyś mi się zdawało, że trochę ci na mnie zależy, chociaż nigdy tego wprost od ciebie nie usłyszałam.

To fakt. Nigdy nie była pewna, co skłoniło Justina, by się jej oświadczył. Poza tym jednym nieszczęsnym wieczorem nigdy nie próbował zaciągnąć jej do łóżka, nigdy nie

sprawiał też wrażenia, że za nią szaleje. Ona zaś była w nim do tego stopnia zakochana, że nie uświadamiała sobie nawet jego braku zaangażowania, aż do chwili, gdy zerwali zaręczyny.

Justin zlekceważył jej uwagę.

- Jeśli potrzebujesz poczucia bezpieczeństwa, mogę ci je ofiarować - odrzekł cicho. - Mam wystarczająco dużo pieniędzy, chociaż nigdy nie będę należał do tej samej klasy co twój ojciec. No ale on był milionerem.

Zacisnęła powieki, czując, jak zalewa ją fala wstydu. To jej ojciec, a także własna naiwność sprawiły, że w Justinie narosło tyle goryczy. Tak, on chce się teraz zemścić, pomyślała. Byłaby strasznie głupia, akceptując jego propozycję.

- Nie, Justin, nie wyjdę za ciebie - oznajmiła po chwili i wyciągnęła rękę ku kłamece. - To niedorzeczny pomysł.

Odwróciła twarz, w polu jego widzenia pozostał tylko jej profil. Natychmiast położył rękę na jej dłoni i przytrzymał ją, po czym równie szybko zabrał palce.

- Calhoun i Abby mieszkają osobno, u mnie są tylko Lopez i Maria. Nie będziesz musiała pracować, jeśli nie zechcesz, i będziesz się czuć bezpieczna.

Oferował jej prawdziwe niebo, tyle że bez jego uczuć. Przede wszystkim było mu jej żal. Ale pod tym żalem kryła się inna mroczna potrzeba. Czowała to. Chciał się zemścić za to, że sześć lat temu go odrzuciła. Jego duma domagała się zadośćuczynienia. Cóż, chyba jest mu to nawet winna, uznała z rozżaleniem, po tym, co zrobił mu jej ojciec. Znalazłaby się blisko niego, jadałaby z nim przy jednym stole. Siadywałyby z nim wieczorami, kiedy oglądałby telewizję. Spałaby pod tym samym dachem co on. Jej stęsknione serce pragnęło tego, i to bardzo. Może za bardzo...

- Nie byłbyś chyba... nie chciałbyś chyba...

Nie zdołała tego nawet wykrztusić. Dziecko, myślała o dziecku, choć Bóg jeden wie, czy udałoby jej się przejść przez to, co prowadzi do poczęcia.

- Nie będę żądał rozwodu - odparł, źle rozumiejąc jej niezdecydowanie. - Nie jestem Mister Ameryki, jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś. I nie chcę kupować sobie kobiety, chyba że na moich warunkach.

Zabrzmiało to podejrzenie, jak przytyk pod jej adresem, ponieważ niegdyś odepchnęła go, jak sądził, z powodu jego biedy. Spojrzała mu w oczy.

- Nienawidzisz mnie? - spytała, ponieważ musiała to wiedzieć.

Patrzył na nią bez słowa, w milczeniu paląc papierosa.

- Nie umiem ci wyjaśnić, co teraz czuję.

Była to uczciwa odpowiedź, choć daleka od deklaracji dozgonnej miłości. Tyle dzieliło ich ran, tyle zadawnionej goryczy. Lecz choć pewnie było to kompletne szaleństwo, Shelby nie potrafiła oprzeć się pokusie.

Patrzyła na jego papierosa zamiast na niego.

- Wyjdę za ciebie, jeśli mówisz poważnie.

Ani drgnął, za to gdzieś w nim w środku rozszalała się radość. Shelby nie zdawała sobie nawet sprawy, ile bezsennych nocy tęsknił choćby za tym, by ją zobaczyć, jak rozpaczliwie łaknął jej bliskości. A równocześnie nie potrafił już zaufać tej kobiecie, i to było prawdziwe piekło. Powtarzał sobie, że po prostu złądziła, że potrzebuje pomocy. Musiał tak o niej myśleć, i nie marzyć o niczym więcej. Może nawet zdarzy się, że z wdzięczności Shelby zacznie mu nadskakiwać. Musi się pilnować, nieustannie mieć na baczności. Ale, Chryste, jak on jej pragnie!

- W takim razie nie musimy iść do pani Simpson, zanim wszystkiego nie ustalimy. - Zapalił silnik, wyjechał z powrotem na drogę i zawrócił w stronę domu. W widoczny sposób drżały mu ręce. Zaciśnął palce na kierownicy, by Shelby nie spostrzegła, jak poruszyła go jej decyzja.

Maria i Lopez nie powiedzieli słowa, widząc Shelby u boku Justina, nawet jeśli byli tym zaskoczeni. Lopez zniknął czym prędzej w kuchni, Maria zaś zaczęła się kręcić wokół Shelby, przyniosła kawę i ciasteczka do salonu, gdzie Justin rozsiadł się w swoim fotelu, Shelby zaś przycupnęła nerwowo na skraju kanapy.

- Dziękuję, Mario - rzekła z wdzięcznym uśmiechem.

- To ja dziękuję, *señorita*. Będę w kuchni, gdyby pan czegoś potrzebował, *señor* - dodała, zwracając się do Justina, po czym dyskretnie zamknęła za sobą drzwi.

Shelby odnotowała, że Justin nie skomentował oczywistej aluzji Marii. Meksykańska gospodyni zapewne pomyślała, że jej pan zechce rzucić się na siedzącą na kanapie kobietę, ale Shelby wiedziała swoje. Justin zrobił to raz, i na pewno po raz drugi nie zaryzykuje. Była wówczas tak przerażona, że zachowała się głupio. Nigdy sobie tego nie wybaczyła, a on uznał zapewne, że czuje do niego wstręt, choć było wprost przeciwnie.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak zaczęli się umawiać na randki. Zachowywali się jak dzieci, zafascynowani sobą, oboje trochę zawstydzeni, zachowujący dystans. Nigdy nie posunęli się dalej niż tych kilka pocałunków w dniu ich zaręczyn.

- Pytałem, czy napijesz się kawy - powtórzył, trzymając srebrny czajniczek nad filizanką, którą właśnie napełnił.

- Och. Tak, proszę. - Justin najwyraźniej zapamiętał, że lubiła kawę czarną, ponieważ nie zaproponował jej śmietanki ani cukru. Potem nalał sobie kawy, dolał śmietanki i siadł z powrotem, zakładając nogę na nogę i balansując filiżanką i spodkiem z porcelany.

Shelby popatrywała na niego, zastanawiając się, jak mogła wziąć w ogóle pod uwagę mieszkanie z nim pod jednym dachem. Jest taki niedostępny, zamknięty w sobie. Tak, na pewno chce się tylko zemścić. Byłaby głupia, podając mu sznur, na którym mógłby ją powiesić.

Z drugiej strony, jeśli z nim zamieszka, zyska doskonałą okazję, by zmienić jego opinię na jej temat. A żeby udowodnić mu swoją niewinność, musi tylko zaciągnąć go do łóżka. I w tym cały szkopuł. Bo ona śmiertelnie bała się zbliżenia.

- Czemu się tak czerwienisz? - spytał.

- Gorąco tu - odparła, odchrząkując głośno.

- Gorąco? - Zaśmiał się bezlitośnie. - Aha, będziesz miała osobny pokój, jeśli o tym myślisz. Nie spodziewam się żadnej zapłaty za to, że cię przyjąłem do swojego domu.

Teraz czerwień na jej policzkach przybrała purpurowy odcień. Niewiele brakowało, a chlusnęłaby mu kawą prosto w twarz.

- Traktujesz to jak działalność charytatywną.

- Na pewno nie jest ci z tym dobrze - zgodził się.

- Ale Tyler nie może ci jednocześnie pomóc i pracować. A ty nie utrzymasz się z pensji, którą płaci ci Holman, z całym szacunkiem dla Holmana. Sekretarki w takich miasteczkach zarabiają grosze.

- Nie jestem interesowna - broniła się.

- Jasne - odparł, po czym w milczeniu sączył kawę.

- Słuchaj, te zaręczyny z Tomem Wheelorem to był pomysł mojego ojca...

- Twój ojciec nigdy by mnie tak nie potraktował - przerwał jej z przekonaniem, a jego oczy pociemniały jeszcze bardziej, rzucając groźne błyski, kiedy się ku niej nachylił. - Nie rób z niego kozła ofiarnego, nie wykorzystuj tego, że już nie żyje. Należał do moich najlepszych przyjaciół.

Tak ci się tylko wydaje, pomyślała posepnie. Wygląda na to, że nie ma sensu rozmawiać z nim na ten temat. Jej ojciec świetnie udawał przyjaciela, ale to nie powód, by go stawiać na piedestale. Bóg jeden wie, dlaczego Justin ma tyle szacunku dla człowieka, który ofiarował mu w zamian kilka lat gorzkiego upokorzenia.

- Już nie potrafisz mi zaufać, tak? - spytała łagodnie. Przyglądał się jej ładnej twarzy, jej zielonym oczom, jej spojrzeniu, które rozpałało mu duszę.

- Nie - odrzekł szczerze. - Za dużo wody pod tym mostem się przelało. Ale jeśli zdaje ci się, że mam złamane serce i wciąż się nad sobą użalam, to się mylisz. Po prostu trochę za wcześnie cię przejrzałem. Moja duma ucierpiała, ale moje serce zostało nieporuszone. Tam jeszcze nie dotarłaś.

- Nie wyobrażam sobie, żeby to się kiedykolwiek udało jakiegokolwiek kobiecie - stwierdziła. Obrysowywała palcem brzeg filiżanki. - Abby mówiła mi kiedyś, że długi czas nie spotykałeś się z żadną kobietą.

- Mam trzydzieści siedem lat - przypomniał jej.

- Wyszalałem się na długo przedtem, zanim zacząłem się z tobą spotykać. - Skończył kawę i odstawił filiżankę, po czym spojrzał jej prosto w oczy. - Oboje wiemy, że ty też nie byłaś niewiniątkiem, i z kim to robiłaś.

- W ogóle mnie nie znasz, Justin. Nigdy mnie nie znałeś. Powiedziałeś, że byłem dla ciebie symbolem statusu społecznego, i teraz, kiedy patrzę wstecz, jestem skłonna w to uwierzyć. - Zaśmiała się z rozczarowaniem.

- Prowadzałeś mnie do swoich przyjaciół, żeby się mną pochwalić, a ja czułam się jak jeden z tych koni czystej rasy, które zabierałeś na bieg z przeszkodami.

Patrzył na nią przez zasłonę dymu z papierosa.

- Zabierałem cię, bo byłaś ładna i miła, i lubiłem przebywać w twoim towarzystwie - oświadczył. - To bzdura, że chciałem cię mieć jako symbol własnej pozycji.

Shelby usiadła wygodniej, zmęczona rozmową.

- Dzięki, że mi to mówisz - powiedziała. - Ale teraz to już chyba nieistotne, prawda? - Dokończyła kawę i odstawiła filiżankę. - Weźmiemy ślub kościelny?

- spytała nagle.

- A nie jesteśmy trochę za starzy na takie ceremonie?

- Widzę, że w dalszym ciągu jesz żywe grzechotniki, żeby twój jad nie stracił mocy - powiedziała, nie mrugnawszy powieką. - Chcę mieć ślub w kościele. Justin strzepnął popiół do popielniczki.

- Szybciej załatwimy to u sędziego pokoju.

- Nie jestem w ciąży - przypomniała mu, odwracając twarz. - Nie ma więc pośpiechu.

Przyciskała go do muru. Spojrzał na nią przenikliwie.

- W porządku, weźmiemy ślub w kościele. Do tego czasu będziesz mieszkać u pani Simpson, żeby nie robić zbędnego szumu. - Wstał i zgasił papierosa. - Jeszcze jedno. Nie pójdziesz do ślubu w białej sukni. Jeśli się poważasz, opuszczę kościół głównym wejściem.

Shelby uniosła wysoko głowę.

- Nie wiesz, co sobie od razu pomyślą kobiety? To delikatne oskarżenie wzbudziło w nim poczucie winy. Chciał, żeby ją zabolalo, ale nie przesadnie.

- Możesz włożyć coś kremowego - mruknął niechętnie.

Wargi Shelby lekko zadrżały.

- Weź mnie do łóżka - szepnęła, patrząc na niego wyzywająco, choć jej policzki zrobiły się czerwone i dygotała, zdumiona swoją odwagą. - Jeśli uważasz, że kłamię, twierdząc, że jestem dziewicą, udowodnię ci, że mówię prawdę.

Spojrzał na nią twardo.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że tylko lekarz może poświadczyć dziewictwo. Nawet mężczyzna z moim doświadczeniem może się w tym względzie pomylić.

Policzki Shelby ponownie pociemniały. Mogłaby mu oświadczyć, że w jej przypadku jest to więcej niż oczywiste, że lekarz stwierdziłby to bez żadnych wątpliwości. Otworzyła już usta, przezwyciężając wstyd, ale nim wypowiedziała choć słowo, ktoś głośno zapukał do drzwi i po chwili do salonu wszedł Lopez z wiadomością dla Justina.

- Muszę zająć się nowym transportem - oznajmił jej. - Chodźmy, podrzucę cię do pani Simpson. Zadzwon do Abby i zaplanujcie wesele. Na pewno chętnie pomoże ci przy zaproszeniach.

Nawet z nim nie dyskutowała. Była zbyt wymęczona. Pozornie mają się pobrać, ale jemu zależy tylko na tym, by ją publicznie poniżyć, niczym puszczonej ulicami przez tłum cudzołożnicę.

Cóż, jakoś sobie z tym poradzi. Wystroi się w śnieżnobiałą suknię i przejdzie w niej główną nawą kościoła. Jeśli Justin ją wtedy zostawi, niech mu będzie. Tak, musi się tego trzymać, ze względu na poczucie własnej godności. Jakże inaczej wyglądało wszystko sześć lat temu!

Shelby знаła rodzinę Ballengerów, odkąd sięgała pamięcią. Tyler, jej brat, i Calhoun, brat Justina, przyjaźnili się od zawsze. A to znaczy, że od czasu do czasu widywała się z Justinem. Początkowo zachowywał się wobec niej sztywno i oficjalnie, i Shelby uznała to za wyzwanie. Zaczęła więc drażnić się z nim, nieśmiało flirtować. Zmiana, jaka w nim zaszła, była niesamowita.

Wybrali się razem na imprezę z okazji halloween, i tam ktoś dał Shelby do rąk gitarę. Ku zdumieniu Justina, potrafiła na niej grać, starała się tylko nie śpieszyć, by dostosować się do niezdarnych wysiłków ich gospodarza, który uczył się właśnie grać na gitarze prowadzącej.

Justin przysiadł obok niej na krześle i wyciągnął rękę. Ich przyjaciel, z uśmiechem, którego Shelby wówczas nie zrozumiała, przekazał mu instrument. Justin skinął jej głową, wystukał rytm stopą i zaczął własną interpretację melodii San Antonio Rose, która powaliła wszystkich na kolana.

Po wstępnym szoku palce Shelby złapały rytm i perfekcyjnie wtórowały gitarze Justina. Gdy zbliżali się do finału, Justin spojrzał jej w oczy. W tamtej właśnie chwili Shelby się w nim zakochała.

Nie był to jednak przysłowiowy grom z jasnego nieba. Od lat wiedziała, że Justin to miry chłopak. Przygarnął Abby, zapewniając dziewczynie dach nad głową po śmierci jej matki i jego ojca w tragicznym wypadku samochodowym. Zawsze znajdował się w pobliżu, kiedy ktoś potrzebował pomocy. W całym Jacobsville nie znalazłoby się szlachetniejszego ani bardziej pracowitego człowieka. Miał też gorący temperament, ale kontrolował go zazwyczaj, a jego pracownicy darzyli go szacunkiem, ponieważ nie kazał im robić nic, czego sam by nie chciał zrobić. Był szefem, razem z Calhounem. Ale to on zawsze zjawiał się pierwszy i wyjeżdżał ostatni, kiedy była robota. Posiadał mnóstwo zalet, a Shelby była w takim wieku, kiedy dziewczęta zakochują się beznadziejnie w starszych od siebie mężczyznach.

Po tamtym wieczorze z gitarą zdawało jej się, że widzi go wszędzie. W restauracji, gdzie we wtorki i czwartki jadła lunch z przyjaciółką, na spotkaniach towarzyskich, na charytatywnych kiermaszach, podczas przejażdżek konnych szlakiem, który biegł w pobliżu ziemi Ballengerów. Nie przyszło jej do głowy, by się zastanowić, dlaczego taki samotnik, ciężko pracujący mężczyzna, tak niespodzianie znajduje tyle wolnego czasu, który spędza w miejscach, gdzie ona zwykle bywa. Zakochała się, i każda sekunda z Justinem zaspokajała jej spragnione miłości serce.

Z początku nie sądziła, że Justin się nią interesuje, lecz okazało się, że pomimo tak różnego pochodzenia wiele ich łączy. Potem, bardzo niespodzianie, wszystko uległo zmianie.

Szli akurat jedną z wiejskich dróg, w pobliżu przywiązali konie. Justin przystanął i oparł się o drzewo. Milczał, ale jego oczy mówiły bardzo wiele. W jednej ręce trzymał palący się papieros, drugą wyciągnął do Shelby.

Ujęła ją, nie wiedząc, czego się spodziewać. Serce jej biło jak szalone, patrzyła na jego wargi i pragnęła ich do szaleństwa. Zapewne był tego świadomy, ale nie wykorzystał sytuacji. Przyciągnął ją bliżej, wciąż dotykając tylko jej dłoni. Potem, patrząc w głąb jej oczu, pochylił się z wolna, dając jej niezmierną ilość czasu, by się zawahała, by okazała mu, że sobie tego nie życzy.

Życzyła sobie tego. Stała nieruchomo, podczas gdy jego wargi ocierały się o jej wargi. Nie zamknęła oczu.

Justin rzucił papierosa i zgniótł go butem, a jej serce kompletnie zwariowało. Objął ją trochę mocniej i pocałował ją - z szacunkiem, z czułym zdumieniem. Oddawała mu pocałunki, otaczając go ramionami. Chwilę później odsunął się i puścił ją bez słowa. Wziął ją za rękę i ruszyli dalej przed siebie.

- Chcesz uroczysty ślub czy wystarczy cywilny?

- zapytał, jakby rozmawiali właśnie o pogodzie.

I tak się zaręczyli. Tamtego wieczoru wrócili do jej domu i podzielili się nowiną z jej ojcem. Nie zauważyli nawet, że omal nie wybuchnął. Odwrócił się i trwał tak długą chwilę, by ochłonąć, po czym powitał Justina w rodzinie i wyraził swoją radość. Następnie Justin zabrał Shelby do siebie, by podzielić się wiadomością z Calhounem i Abby, ale Abby spędzała akurat noc u przyjaciółki, a Calhoun poleciał do Oklahomy w interesach.

Mieli zatem cały dom tylko dla siebie. Śmiali się i wznosili toasty za szczęśliwą przyszłość. Potem Justin przyciągnął ją i pocałował jakoś inaczej, a ona zaczerwieniła się, czując jego język wnikający w jej usta.

- Będziemy małżeństwem - szeptął. - Nie zrobię ci krzywdy.

- Wiem. - Schowała twarz w jego białej jedwabnej koszuli. - Ale to dla mnie nowe.

- Dla mnie to też nowa sytuacja - powiedział zdyszany. Położył jej dłonie na guzikach swojej koszuli i przycisnął je mocno, rozpinając koszulę, po czym skierował jej palce na swoją spaloną słońcem pierś. - Teraz - szeptął.

- Dotknij mnie, Shelby.

Ta bliskość zszokowała ją, ale kiedy nachylił się i zaczął ją całować, zapomniała o szoku i uspokoiła się. Jej palce znalazły przyjemność w dotyku jego skóry, jego zapach utrzymywał się wokół niej niczym ostra przyprawa.

- Mocniej - szeptął na bezdechu. Przyciskał do siebie jej dłonie, a gdy podniosła na niego wzrok, zobaczyła w jego oczach coś, czego jeszcze nie widziała. Coś dzikiego i nieokiełzanego. Zadrżała, nie spodziewała się znaleźć takiego pożądania u tak opanowanego mężczyzny.

Całował ją teraz gwałtownie, odnosząc zdumiewający efekt. Shelby jęczała, przestraszona tym nowym, nieznanym odczuciem. Dla Justina jednak ten jęk znaczył coś zupełnie innego. Sądził, że jest jej tak dobrze jak jemu, i jeszcze bardziej się rozpałał. Opuścił ręce ku biodrom Shelby i nagle uniósł ją, chwytając w uścisku, który niemal pozbawił ją tchu.

Bardzo niewiele wiedziała o mężczyznach, ale zmienione ciało Justina mówiło jej wyraźnie o jego odczuciach. Ocierał się o nią w jawnym pożądaniu, coraz szybciej oddychając. Broniła się, ale on był silniejszy i zatracił się już w pożądaniu. Nie zdawał sobie sprawy, że Shelby chce się od niego uwolnić, aż pchnęła go, prosząc, by przestał.

Podniósł wówczas głowę zdesperowany.

- Shelby... - szepnął błagalnie.

- Puść mnie! Proszę... Justin, zostaw mnie!

- Nie bój się, przestanę, kiedy trzeba - szepnął i znów zaczął ją całować.

Jej protesty umilkły, podniósł ją z podłogi i przeniósł na kanapę, gdzie ułożył ją delikatnie na poduszkach. Drżał z pożądania, całował ją nieprzytomnie. Leżał obok niej, gotowy do miłości. Bardzo bała się go w tamtej chwili, wiedziała, do czego to prowadzi, a skoro się zaręczyli, nie miała pewności, że Justin zatrzyma się we właściwym momencie.

- Justin!

- Nie odbiorę ci dziewictwa, Shelby - szepnął, obejmując namiętnie jej biodra. - O Boże, kochanie, nie każ mi czekać. Pozwól mi się z tobą kochać. Pocałuj mnie...

Całował ją coraz bardziej zaborczo, ruchy jego bioder świadczyły, że zupełnie już nad sobą nie panuje, jego dłonie ścisnęły jej piersi. Potem wcisnął kolano między jej nogi i wtedy naprawdę spanikowała. Przerazona, odepchnęła go.

Natychmiast poczuł jej opór. Podniósł wzrok i patrzył na nią przez chwilę, zdezorientowany. Później, widząc w jej oczach odmowę, poczuł ją także w jej zeszywniałym ciele. Gdy zerwał się z kanapy, Shelby odetchnęła.

Justin zapalił papierosa. Minęło kilka pełnych napięcia minut, zanim odwrócił się do niej i nalał dwa kieliszki brandy. Podał jej jeden i uśmiechnął się kpiąco, kiedy starała się nie dotknąć jego ręki.

Odwrócił się znowu i zapatrzył przez okno, popijając brandy, wyprostowany na baczność.

- Będziemy się kochać po ślubie - oznajmił. - Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że nie planuję oddzielnych sypialni.

- Tak. - Sączyła powoli alkohol, trzymając kieliszek w drżących dłoniach. Chciała mu wszystko wytłumaczyć, ale nie wyglądało na to, by miał ochotę jej słuchać. - Jestem... dziewicą.

- Myślisz, że nie wiem? - spytał cierpko. Jego twarz zamieniła się w chłodną i nieczytelną maskę, skrywającą prawdziwe uczucia. - Boże mój, będziemy małżeństwem. Nie wolno mi cię dotykać, dopóki nie będziesz miała obrączki na palcu?

Spuściła wzrok na kieliszek.

- Być może... tak byłoby lepiej.

- Biorąc pod uwagę mój brak opanowania, chyba wiem, o co ci chodzi. - Powiedział to przejmującym tonem, którego jeszcze u niego nie słyszała. Wypił brandy i po chwili jego złość minęła.

Shelby poczuła ulgę. Nie przeprosił jej, ale podszedł i wziął ją ostrożnie za rękę, jak gdyby nic się nie stało. Sączyli powoli brandy, a kiedy byli już na lekkim rauszu, Justin nauczył Shelby meksykańskiej pijackiej piosenki. Maria i Lopez wrócili do domu z imprezy, potem Justin zawiózł Shelby do domu. Maria nakrzyczała na niego po hiszpańsku, a dopiero po jakimś czasie Shelby dowiedziała się, że Justin uczył ją piosenki, której w żadnym wypadku nie powinna śpiewać publicznie.

Oczekiwała na swój ślub z radością i obawą. Namiętność Justina wprawiała ją w niepokój i poddawała w wątpliwość jej zdolność dorównania mu w tej kwestii.

Nie było jednak powodu do niepokoju, ponieważ podobne gorące chwile więcej się nie powtórzyły. Najodważniejszym posunięciem Justina w ciągu kolejnych dni był całus w policzek, tylko w jego czarnych oczach pojawił się jakiś dziwny wyraz. Shelby uspokoiła się i znowu cieszyła się jego towarzystwem.

Potem, niespodzianie, jej ojciec położył temu kres. Zażądał od niej, by porzuciła Justina, groził, że w innym wypadku doprowadzi go do bankructwa. Uprzedzał, że wtedy Justin ją znienawidzi, oskarży ją o stratę wszystkiego, co posiadał, i ich małżeństwo tak czy owak nie będzie miało żadnej szansy. Zabije je jego urażona duma.

Shelby była wówczas bardzo młoda i bardzo niedoświadczona. Jej ojciec, stary wyga, potrafił dopiąć swego. Zaciągnął do pomocy Toma Wheelora, którego przekonała perspektywa intratnego związku. A Shelby posłuchała ojca i okłamała Justina, przyznając się do romansu z Tomem, do tego, że zależy jej tylko na bogactwie i pozycji.

To już tak dawno temu, myślała teraz. Zrobiła to wszystko, by chronić Justina, by oszczędzić mu utraty tego, na co on sam i jego rodzina pracowali wiele lat. Tym samym poświęciła swoje własne szczęście. I tylko siebie mogła winić za chłód, z jakim Justin ją traktował, a także o to, że nie wyjawiała mu powodu swojego strachu przed zbliżeniem.

I oto teraz Justin poślubi ją z litości, z towarzyszącą mu myślą o zemście. Nie wiedziała, jak ułożyć im się życie, ale z całą pewnością tylko bliskość mogłaby zmienić jego zdanie o niej. Wróciły wszystkie jej wątpliwości. Ale dała już słowo i nie może się wycofać. A zatem postara się, by było możliwie najlepiej, żywiąc nadzieję, że głód zemsty nie jest jedynym powodem, który pchnął Justina do tego małżeństwa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Abby zgodziła się pomóc Shelby w przygotowaniach do ślubu. Shelby zawsze darzyła sympatią podopieczną braci Ballengerów. Poza tym Abby zdawała się doskonale rozumieć, co dzieje się między jej byłym opiekunem i jego byłą narzeczoną.

- Wyobrażam sobie, że Justin niczego ci nie ułatwia - zauważyła, kiedy adresowały koperty z zaproszeniami, odebrane właśnie z drukarni.

Shelby odgarnęła do tyłu opadający kosmyk włosów i cicho westchnęła.

- On się nade mną lituje - rzekła z łagodnym uśmiechem. - A może nawet chce się zemścić. Obawiam się, że to wszystko, co do mnie czuje.

- Dość dobrze sobie radził tamtego wieczoru, kiedy poszliśmy w czwórkę na tańce i Calhoun przetańczył z tobą prawie cały wieczór - przypomniała Abby żartobliwie.

Łatwo było teraz śmiać się z przeszłości, choć i ona, i Justin bardzo to wówczas przeżywali.

- Tak, nagadał mi potem, kiedy w końcu z nim zatańczyłam. I zdaje się, że oberwało się też później Calhounowi, sądząc po jego minie. Justin był po prostu wściekły.

- Wściekły! - Abby roześmiała się. - Poszedł do domu i upił się. Gorzej nawet - wyznała ze wstydem. - Mnie też upił. Kiedy Calhoun odwiózł cię do domu i wrócił, leżeliśmy rozwaleni na kanapie, ale jeszcze usiłowaliśmy wstać i wyrzucić go za drzwi.

W oczach Shelby zjawił się przelotny błysk rozbawienia.

- Abby!

- Nie mówiąc już o tym - ciągnęła Abby - że Justin nauczył mnie tej nieprzyzwoitej hiszpańskiej piosenki.

Shelby zarumieniła się, przypominając sobie, kiedy po raz pierwszy słyszała ów pijacki song.

- Mnie też tego uczył. Tego wieczoru, kiedy się zaręczyliśmy. I właśnie zaczynaliśmy wyc w duecie, kiedy weszła Maria i wpadła w furję.

Abby skończyła adresować kolejną kopertę i włożyła do niej zaproszenie, zaklejając ją automatycznie, zapatrzona na zamyśloną twarz Shelby.

- Justin nigdy nie przestał o tobie myśleć, sama wiesz.

Shelby podniosła wzrok.

- Nigdy nie przestał myśleć o tym, co mu zrobiłam.

Jest taki nieugięty. Nawet nie mogę mieć mu tego za złe, bo w końcu kiedyś boleśnie go zraniłam.

- Niby jak?

- Wydawało mi się, że go ratuję, wiesz? - rzekła cicho Shelby. - Mój ojciec nie życzył sobie mieć kowboja za zięcia. Wybrał dla mnie bogatego faceta, a mnie się to nie podobało. Więc kiedy dowiedział się, że przyjąłem oświadczenia Justina, postanowił za wszelką cenę zniszczyć nasz związek. - Obróciła w dłoniach zaklejoną kopertę. - Do tamtej pory nie miałam pojęcia, że mój własny ojciec potrafi być tak bezwzględny. Zagroził, że doprowadzi Justina do bankructwa, jeśli go nie posłucham. - Wyglądziła kopertę, wspominając gorzko tamtych chwil. - Nie uwierzyłam mu, myślałam, że blefuje. Tymczasem bank odmówił Ballengerom dalszych kredytów i o mary włos nie splajtowali.

- To dawne czasy - powiedziała Abby, dotykając delikatnie jej dłoni. - Teraz świetnie prosperują, wtedy zresztą też nieźle sobie radzili, prawda?

- Mój ojciec obiecał, że jeżeli przyjmę jego propozycję, pociągnie kilka sznurków i przekona kogo trzeba w banku, żeby nie wystawiali majątku Ballengerów na sprzedaż. Justin powiedział mi, jak wygląda postępowanie w wypadku bankructwa - wyjaśniła. - Był kompletnie załamany. Wspomnił nawet o zerwaniu zaręczyn w takiej sytuacji, więc pomyślałam, że pewnie tak czy owak bym go straciła, a nawet, że to może być mu na rękę. Pamiętam - dodała, przywołując jego twarz z tamtych czasów, jego oddalenie i rezerwę - że sądziłam wówczas, że zmienił zdanie i już nie chce się ze mną żenić. Sama byłam dość nieprzystępna... - Zamilkła. Abby nachyliła się ku niej.

- I co zrobił twój ojciec?

- Znalazł Toma Wheelora i zabrał go na spotkanie z Justinem. Oznajmił Justinowi, że spotykałam się z nim jedynie po to, żeby wzbudzić zazdrość Toma i skłonić go do oświadczenia, ponieważ Tom był bogaty, a Justin nie. Udawał, że to wszystko moja wina. A Justin uwierzył mu. Uwierzył, że oszukałam go z premedytacją. Potem ojciec dodał jeszcze, że Tom i ja byliśmy kochankami, a Tom to potwierdził.

Abby podniosła na nią skupiony wzrok.

- Ale nie byliście - stwierdziła z przekonaniem. Shelby posłała jej pełen wdzięczności uśmiech.

- Wielkie dzięki, że rozumiesz, jak było naprawdę. Ale zostałam zmuszona tańczyć, jak zagrał mi ojciec, żeby uratować raczkujący interes Justina. Więc kiedy Justin zadzwonił do mnie i zapytał, jak to właściwie jest, powtórzyłam to, co kazano mi powiedzieć. - Wbiła wzrok w dywan. - Że zależy mi na pieniądzach, że nigdy go naprawdę nie chciałam, że

zabawiałam się z nim, czekając na Toma. - Zamknęła oczy. - Chyba do końca życia nie zapomnę ciszy, która zapadła wtedy w słuchawce, ani tego, jak niepostrzeżenie się rozłączyli. Kilka tygodni później nie było już mowy o bankructwie Ballengerów, pewnie ojciec przekonał bank, że warto w nich inwestować. Spotykałam się z Tomem, po to, żeby uwiarygodnić wszystko przed Justinem. A potem wyjechałam na pół roku do Europy i robiłam wszystko, żeby zabić się na nartach w Szwajcarii. W końcu jednak wróciłam, ale coś we mnie umarło, przez ojca i jego sztuczki. A on chyba wreszcie sobie to uświadomił, zresztą dopiero tuż przed śmiercią. I nawet mnie przeprosił. Ale było już za późno.

- Gdyby tylko Justin tego wysłuchał... - rzekła Abby z westchnieniem.

- Ale nie wysłucha. On mi nie wybaczy. Bo dla niego to było jak publiczna egzekucja. Wszyscy wiedzieli, że go rzuciłam, zostawiłam dla bogatszego. A wiesz, jak on nie znosi plotek.

Abby skrzywiła się.

- Chyba zdawał sobie sprawę, że twój ojciec go nie akceptuje?

- O, to właśnie było piękne. Mój ojciec przyjął Justina z otwartymi ramionami i wygłosił mowę, jaki to jest dumny, że będzie miał takiego syna. - Zaśmiała się cierpko. - Gdy poszedł do niego z Tomem, mało się nie popłakał, że jego własna córka oszukała biednego Justina.

- Ale dlaczego? Tylko po to, żeby połączyć dwa majątki? Nie obchodziło go twoje szczęście?

- Mój ojciec chciał zbudować imperium - wyjaśniła. - Nie mógł pozwolić, żeby cokolwiek mu w tym przeszkodziło, zwłaszcza jego dzieci. Tyler nigdy nie poznał prawdy - dodała. - Byłby wściekły, gdyby się dowiedział, ale to stanowiło część umowy z ojcem.

- A ty nigdy nie powiedziałaś bratu prawdy?

- Tyler jest samotnikiem - odparła Shelby. - Trudno mi się z nim rozmawia, niełatwo się do niego zbliżyć. Chyba dlatego do tej pory się nie ożenił. Nie potrafi otworzyć się przed ludźmi ani na ludzi. Ojciec był dla niego surowy, jeszcze surowszy niż dla mnie. Wyśmiewał się z niego i niemal przez całe dzieciństwo zastraszał go. Tyler wyrósł na twardego faceta, bo musiał taki być, żeby przeżyć w rodzinnym domu.

- Nic o tym nie wiedziałam. Lubię Tylera - przyznała Abby. - Jest taki inny, wyjątkowy.

Shelby odpowiedziała jej uśmiechem. Zachowała dla siebie wiadomość, że Tyler się w niej podkochiwał. I właśnie utrata szansy zdobycia Abby, prócz utraty majątku, zdecydowała

o tym, że postanowił wyjechać. Tyler wyjechał do Arizony i do nowej pracy bez słowa żalu. Shelby życzyła mu, by ta zmiana wyszła mu na dobre.

Pani Simpson przyniosła tymczasem tacę z ciastkami i kawą. Jeszcze długo trzy kobiety siedziały i omawiały przygotowania weselne, aż wreszcie Abby musiała wracać do domu.

Shelby nie przyznała się nikomu, co Justin powiedział na temat jej sukni ślubnej. Następnego dnia wybrała się do Jacobsville, do niewielkiego sklepu, którego właścicielką była jej szkolna koleżanka. Kupiła tam elegancki lniany kostium, oczywiście biały. Była bowiem przekonana, że udowodni Justinowi swe prawo do owej symbolicznej bieli.

Następnie udała się na przedślubne badania. Doktor Sims opiekował się nią od dziecka. Wysoki, siwiejący pan dla większości pacjentów był jak członek rodziny. Jego spokojne wyjaśnienia po zakończeniu badania, po otrzymaniu wyników badania krwi z jego laboratorium, bardzo ją zmartwiły. Protestowała, ale lekarz obstawał przy swoim.

- To naprawdę drobny zabieg - przekonywał. - Prawie nic nie poczujesz. I szczerze mówiąc, Shelby, jeśli się nie zdecydujesz, twoja noc poślubna zamieni się w koszmar. - Wy tłumaczył jej wszystko szczegółowo, a kiedy skończył, dotarło do niej wreszcie, że nie ma wyboru.

Justin może sobie przysięgać, że jej nie tknie, ale to nierealne, skoro zdecydowali się żyć razem. Ten zabieg może ją przynajmniej częściowo uwolnić od bólu. A zatem ostatecznie wyraziła zgodę, nalegając, by lekarz wykonał tylko częściowy zabieg, żeby było absolutnie oczywiste, iż Shelby jest dziewicą. Doktor Sims bąknął coś na temat starych głupich przesądów, ale zrobił, o co go prosiła. Mruknął jeszcze pod nosem, że przez swój upór Shelby naraża się na pewne trudności i w związku z tym zapewne i tak do niego wróci. Nie chciała się z nim spierać, liczyło się wyłącznie to, by Justin jej uwierzył. Posiadała tylko ten jeden jedyny dowód.

Ślub Shelby i Justina stał się wydarzeniem sezonu. Shelby nawet sobie nie wyobrażała, że kościół metodystów w Jacobsville pomieści tyle ludzi, ani też że tyle osób przyjdzie zobaczyć jej ceremonię ślubną. Tak, przybyło o wiele więcej widzów, niż przewidywała przygotowana przez nią lista gości.

Abby i Calhoun zajmowali ławkę należącą do rodziny. Trzymali się za ręce - on, wysoki blondyn, i ona, ciemnowłosa młoda kobieta, tak bardzo zakochani, że wprost promieniowali miłością. Obok nich siedział zielonooki brunet, Tyler, brat Shelby, górując nad wszystkimi poza Calhounem. Poza tym kościół pełen był sąsiadów i znajomych, wśród których nie zabrakło też Misty Davies, przyjaciółki Abby, siedzącej w ławce po drugiej

stronie nawy. Za to długo nie było widać Justina. Shelby przestraszyła się, przypominając sobie jego groźbę, że opuści kościół, jeśli ujrzy ją w bieli.

Niemniej gdy tylko odezwały się pierwsze akordy marsza weselnego, pastor i Justin czekali na nią przy ołtarzu. Musiała mocno przygryźć wargi i równie mocno ścisnąć bukiet stokrotek, by nikt nie zobaczył, jak bardzo drży, idąc nawą.

Postanowili z Justinem, że ślub będzie jak najskromniejszy, zrezygnowali też ze zbędnej ceremonii, ograniczając się do krótkiej mszy. Ołtarz ozdobiło mnóstwo kwiatów i kandelabr z trzema niezapalonymi białymi świecami. Justin miał na sobie czarny garnitur i wyglądał bardzo elegancko. Kiedy Shelby zajęła miejsce u jego boku, spotkali się wzrokiem. Patrzyła na niego wyzywająco, dając mu szansę na spełnienie pogroźek.

Nastąpiła pełna napięcia chwila i przez moment wyglądało nawet na to, że Justin rozważa taką możliwość. Ale ta chwila minęła. Przeniósł swój chłodny wzrok na pastora i powtórzył, co mu kazano, bez cienia emocji w głosie.

Potem wsunął jej na palec cienką złotą obrączkę. Nie miała pierścionka zaręczynowego, nie wspominał nic o jego kupnie. Sam wybrał dla niej obrączkę i nawet nie zapytał jej, czy chciałaby, by i on nosił owo widome świadectwo ślubu. Zresztą raczej nie miał na to ochoty.

Odpowiedzieli na ostatnie pytania pastora i zapalili dwie świece, po czym każde z nich swoją świecą zapaliło tę trzecią, symbolizującą związek dwojga ludzi. Pastor ogłosił ich mężem i żoną i zachęcił Justina do pocałowania panny młodej. Justin odwrócił się do Shelby z nieuchwytnym wyrazem twarzy. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym pochylił głowę i musnął jej wargi zimnym pocałunkiem. Następnie wziął ją za rękę i poprowadził nawą do przedsionka, gdzie w kilka sekund później otoczył ich tłum z życzeniami.

Nie było czasu na rozmowy. Przyjęcie odbywało się w sali parafialnej, podano poncz, ciasto i kanapki, a Shelby i Justina okupowali goście.

Ktoś przyniósł ze sobą aparat fotograficzny i poprosił ich o ustawienie się do zdjęcia. Nie wynajęli fotografa, czego Shelby bardzo żałowała. Chciała zobaczyć ich dwoje razem przynajmniej na fotografii, musiała się więc zadowolić amatorskim zdjęciem.

Gdy tylko zdjęcie zostało zrobione, Justin popatrzył na nią ze złością, mówiąc przez zęby:

- Powiedziałem ci przecież: każdy inny kolor, tylko nie biel.

- Tak, wiem - odparła spokojnie. - Pomyśl tylko, jak byś się czuł, gdybym się upierała, żebyś włożył na ślub niebieski, a nie czarny garnitur.

Zamrugnął nerwowo powiekami, jakby mu się zdawało, że się przesłyszał.

- Biała suknia oznacza... - zaczął z oburzeniem.

- ... pierwszy ślub - dokończyła za niego. - Mój jest pierwszy.

Oczy mu zapłonęły z oburzenia.

- Oboje wiemy, że biały kolor ma jeszcze inne znaczenie, a ty nie masz do tego prawa. Ale podobno możesz mi udowodnić, że jest przeciwnie, tak? - Uśmiechnął się cynicznie. - Więc być może pozwolę ci to zrobić.

Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Przez moment stchórzyła, myśląc o tym, jakie to będzie dla niej przykre, jeśli on potraktuje ją jak dziwkę, za którą ją uważa.

- Nie muszę ci niczego udowadniać.

Zaśmiał się, a brzmiało to, jakby ktoś potrząsnął naczyniem z kostkami lodu.

- Bo nie możesz, prawda? Udawałaś tylko, to była zwykła brawura, żebym się zastanawiał nad tym aż do dnia ślubu.

- Justin...

- Nieważne. - Wyjął papierosa z pudełka i zapalił. - Mówiłem ci już, że będziemy spać osobno. Nie obchodzi mnie, czy jesteś dziewczyną.

Poczuła bolesny smutek i popatrzyła z uwielbieniem na jego porysowaną bruzdami twarz. Był tak piękny. Bo nie przystojny, ale właśnie piękny. Gibkie sprężyste ciało, czarne oczy i gęste czarne włosy, a do tego oliwkowa cera. Uosabia ideał męczyzny, pomyślała.

Zerknął na nią, przyłapując ją na tym zachwycie. Jego papieros zawisł w powietrzu, a on wpatrywał się badawczo w jej oczy, nie pozwalając jej uciec, aż jej serce zaczęło bić mocniej. Przeniosła spojrzenie na jego wargi i nagle zapragnęła ich aż do bólu. Gdyby tylko potrafiła zachować się jak wyzwolona kobieta, którą tak bardzo chciała być! Gdyby mogła wyznać mu prawdę i poprosić, by się tak nie spieszył. Tymczasem trzęsła się na samą myśl o przekazaniu mu tak intymnych informacji.

Co za błogosławieństwo, że Tyler postanowił właśnie pożegnać się z nimi, oszczędzając jej kpiny Justina.

- Muszę zdążyć na samolot do Arizony - powiedział siostrze, pochylając głowę i całując ją przelotnie w policzek. - Moja tymczasowa szefowa sztywnieje ze strachu przed facetami.

Shelby zaświeciły się oczy.

- Co takiego?

Tyler szczerze się zmieszał.

- Denerwuje się, jak jest sama z facetami - wyjaśnił z wahaniem. - Cholera, chowa się za moimi plecami na tańcach, narażonych spotkaniach... To naprawdę wkurzające.

Shelby walczyła ze sobą, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Jej bardzo niezależny brat nie znosił kobiet, które się kleją do facetów, a tu proszę, jakaś damska przylepa dosyć dziwnie na niego działa. Tymczasowa szefowa Tylera była siostrzenicą jego prawdziwego szefa. Mieszkała w Arizonie, gdzie usiłowała sobie jakoś radzić na zadłużonym ranczu. Szef Tylera z Jacobsville wysłał go tam do pomocy. Tyler z początku nie znosił tej roboty, i wciąż chyba za nią nie przepadał. Ale może przypadła mu za to do gustu tajemnicza dama z Arizony.

- Może przy tobie czuje się bezpieczna - zauważyła Shelby.

Brat zgromił ją wzrokiem.

- To się musi skończyć. Czuję się, jakbym był obrośnięty bluszczem.

- A co, brzydka jest? - zainteresowała się.

- Nic nadzwyczajnego, dosyć pospolita - mruknął.

- Ujdzie, jeśli ktoś lubi chłopczyce. Ale to nie w moim guście - dodał z posępną miną.

- To czemu nie rzucisz tej roboty? - spytał z kolei Justin. - Możesz pracować dla Calhouna i dla mnie, zresztą już ci to proponowaliśmy.

- Tak, wiem. Jestem wdzięczny, zwłaszcza po tym, jak się popsulo między naszymi rodzinami - przyznał otwarcie Tyler. - Ale tamta robota to dla mnie wyzwanie i trochę ją lubię.

- W każdym razie przyjeżdżaj, jak się stęsknisz za domem.

Tyler uścisnął jego wyciągniętą rękę.

- Może któregoś dnia... Lubię dzieciaki - dodał.

- Nie przeszkadzałyby mi parę siostrzenic czy siostrzeńców.

Justin zrobił taką minę, jakby sposobił się do najcięższej zbrodni, Shelby zaś spurpurowiała. Tyler zmarszczył czoło. Justin w milczeniu podziękował Bogu za to, że właśnie dołączyli do nich Calhoun i Abby. Nie chciał nawet myśleć o potomstwie. A Shelby na pewno nie chciałyby go za ojca swoich dzieci, biorąc pod uwagę ten jeden jedyny raz, kiedy próbował się do niej zbliżyć. Jeśli uznać to za wskazówkę, Shelby się nim brzydzi.

- No i jaki ładny ślub! - Calhoun zwrócił się do Tylera, obejmując uśmiechniętą radośnie Abby. - A tobie to nie daje do myślenia?

Tyler posłał uśmiech Abby.

- Owszem, daje. Mam chęć natychmiast się przeciw temu zaszczepić - mruknął ponuro.

- Przyjdzie dzień, że z tego wyrośniesz - zapewnił go Calhoun. - W końcu każdemu z nas ktoś kiedyś podcina nogi - dorzucił i zrobił unik, kiedy Abby uderzyła go lekko w pierś. -

Wybacz, kochanie! - Zaśmiał się, muskając jej czoło czułym pocałunkiem. - Wiesz, że żartuję.

- Podrzucić cię na lotnisko, czy wypożyczyłeś sobie pojazd? - spytała Abby.

- Wypożyczyłem, wielkie dzięki. Może mnie odprowadzicie do samochodu? - Pocałował Shelby jeszcze raz. - Bądź szczęśliwa - dodał ciepło.

- Mam nadzieję...

Tyler skinął głową, choć nie wyglądał na przekonanego. Kiedy ruszył za Abby i Calhounem, wychodząc z sali parafialnej, zmarszczył czoło, pogrążony w niewesołych myślach.

Przyjęcie weselne ciągnęło się w nieskończoność. Shelby ucieszyła się, kiedy wreszcie można było iść do domu. Z samego rana Justin wysłał Lopeza do domu pani Simpson, by zabrał stamtąd jej rzeczy.

W jego domu przygotowano dla niej pokój gościnny. Maria protestowała, ale krótko - lodowaty wzrok Justina uciszył ją skutecznie. Rozumiała o wiele więcej, niż mu się zdawało. I podobnie jak wszyscy inni pracownicy Justina, wiedziała, że mimo goryczy on wciąż ma słabość do Shelby. Poza tym Shelby została sama, pozbawiona domu i pieniędzy, nikt więc nie zdziwił się specjalnie temu małżeństwu. A jeśli Justin czuł potrzebę drobnej zemsty, to też nikogo nie dziwiło.

- Dzięki Bogu, że wreszcie jest po wszystkim - rzekł Justin zmęczonym głosem, kiedy znaleźli się w domu.

Zdjął krawat i marynarkę, rozpiął kołnierzyk koszuli i podwinął rękawy. Wyglądał, jakby przybyło mu dziesięć lat.

Shelby odłożyła torebkę na stolik w holu i zrzuciła z ulgą pantofle na wysokich obcasach, myśląc, jak to dobrze stracić parę centymetrów wzrostu.

Justin zerknął na nią i uśmiechnął się pod nosem, ale odwrócił się szybko, by tego nie spostrzegła.

- Chcesz wyjść gdzieś na kolację czy zjemy tutaj?

- Wszystko jedno.

- Chyba wyglądałoby to dość dziwnie, gdybyśmy dziś wieczór wybrali się do restauracji - dodał, zwracając się do niej z kpiącym uśmiechem.

- No, śmiało - mruknęła i spojrzała na niego wrogo. - Możesz zepsuć resztę tego dnia. Żebym tylko nie miała żadnej przyjemności w dniu mojego ślubu.

Ściągnął brwi, a ona zakręciła się i ruszyła na piętro.

- O czym ty mówisz, do diabła?

Nie obejrzała się. Trzymała się poręczy i patrzyła w górę.

- Nie mógłbyś lepiej wyrazić swoich uczuć, nawet gdybyś powiesił sobie na szyi tabliczkę z wypisanymi własną krwią wszystkimi żałami. Wiem, że mnie nie lubisz. Że ożeniłeś się ze mną z litości. Ale wciąż siedzi w tobie coś, co każe ci się zemścić za to, co ci ponoć zrobiłam.

Justin zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Stał wsparty o framugę z poważną miną i zaciekawieniem w oczach.

- Marzenia umierają długo i powoli, kochanie. Nie wiedziałaś o tym? - spytał chłodno.

Odwróciła się, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie tylko ty miałaś marzenia - odrzekła. - Zależało mi na tobie.

- Tak, zależało ci. - Zacisnął zęby. - Dlatego właśnie wymieniłaś mnie na tego bogatego gówniarza.

Shelby z roztargnieniem postukiwała w poręcz.

- Dziwne wobec tego, że za niego nie wyszłam, co? Bardzo dziwne, nie uważasz, jeżeli tak bardzo chciałam jego pieniędzy?

Wsunął papierosa do ust.

- Bo pewnie on cię rzucił, kiedy się dowiedział, że bardziej chodzi ci o forszę niż o niego.

- Nigdy go nie chciałam, ani jego pieniędzy - przyznała uczciwie. - Miałam dosyć własnych.

- Naprawdę?

Czyżby spodziewała się, że on uwierzy w jej kompletną nieświadomość finansowych kłopotów ojca?

- Oczywiście nie chcesz tego słuchać - stwierdziła. - Nigdy nie chciałeś. Próbowałam ci powiedzieć, dlaczego zerwałam zaręczyny...

- Wszystko mi dokładnie wyjaśniłaś. Że nie możesz znieść mojego dotyku. Sam to widziałem. - Jego oczy błyszczały złowieszczo. - Odepchnęłaś mnie - dodał chropawym głosem. - Trzęsłaś się jak osika, a oczy mało ci z orbit nie wyszły. Myślałaś tylko, żeby jak najszybciej uciec.

Shelby otworzyła usta, oddychając ciężko.

- A ty myślałeś, że to ze wstrętu, oczywiście?

- A niby nie? A co to niby było? - rzucił w odpowiedzi. - Przebierz się, zjemy kolację. Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny.

Tak bardzo żałowała, że nie może wyznać mu prawdy. Ogromnie pragnęła to zrobić, ale Justin wytworzył między nimi już taki dystans, że jego obojętność wzbudziła w niej grozę. Odwróciła się z powrotem i z westchnieniem ruszyła odrętwiała na górę, zastanawiając się, jak ma żyć z człowiekiem, z którym nie może nawet porozmawiać o ważnych sprawach.

Kolacja upłynęła im w milczeniu. Maria zastawiła stół i wyszła gdzieś z Lopezem, przedtem składając nowożeńcom krótkie gratulacje.

Skończywszy swój stek i sałatę, Justin rozsiadł się wygodnie, patrząc na Shelby, która skubnęła zaledwie parę kęsów. Czuł się trochę winny, że dzień ich ślubu minął w taki sposób, ale bronił się przed nią. Ukrywał swoje prawdziwe uczucia, swój lęk przed utratą jej po raz drugi. Sześć lat temu kompletnie go to załamało i wypompuowało emocjonalnie. Sądził, że nie zniósłby tego po raz drugi, wołał zatem uważać, by nie stać się bezbronnym. Mimo to widok jej smutnej drobnej twarzy ścisnął go za serce.

- Cholera, Shelby! - warknął. - Nie patrz tak. Podniosła wzrok, w jej oczach ledwie tliło się życie.

- Jestem zmęczona - wyznała spokojnie. - Pozwolisz, że położę się zaraz po kolacji?

- Nie, nie pozwolę. - Rzucił serwetkę na stół i zapalił papierosa. - To nasza noc poślubna.

- No, owszem. Więc jakie masz plany? Zamierzasz dalej komentować moją niechlubną przeszłość?

Zmarszczył lekko czoło. Te słowa nie pasują do Shelby, którą znał. Ten jej ton jest dość niepokojący. Straciła ojca, dom, całe swoje dotychczasowe życie, nawet w pewnym sensie brata. W ciągu ostatnich tygodni straciła dosłownie wszystko, a wyszła za niego za mąż, ponieważ potrzebowała choćby odrobiny poczucia bezpieczeństwa. On natomiast z miejsca zrobił jej piekło, i teraz wygląda na to, jakby ten dzień miał być gwoździem do jej trumny. A przecież nie tak to sobie zaplanował. Nie zamierzał jej krzywdzić. Nagromadziło się jednak tyle słów, tyle ran, że trudno mu przyszło trzymać język za zębami.

Krażył wzrokiem po jej bladej twarzy, przypominając sobie lepsze, szczęśliwsze czasy, kiedy upijał się samym widokiem jej uśmiechu.

- Jesteś pewna, że chcesz dalej pracować? - spytał, żeby zmienić temat.

Shelby wlepiła wzrok w talerz.

- Tak, jestem - odparła. - Lubię swoją pracę. Wcześniej tak naprawdę nie pracowałam, poza jakimś wolontariatem czy działalnością społeczną.

- A Barry Holman? - spytał z wyzywającym uśmiechem.

Shelby wstała. Wciąż miała na sobie swój biały ślubny kostium, wyglądała bardzo kobieco i elegancko, i bardzo ponętnie. Długie włosy opadały jej falami na ramiona. Justin miał ochotę chwycić je w garść i całować.

- Pan Holman jest moim szefem - przypomniała mu - a nie kochankiem. Nie mam kochanka.

Justin wstał także, podchodząc do niej z przymkniętymi oczami. Jego ciało dręczyły lata niespełnionego pożądania.

- Będziesz miała kochanka.

Nie, teraz się nie odsunie. Nie da mu tej satysfakcji. Uniosła dumnie głowę, choć kolana miała miękkie, a serce waliło jej jak po szalonym biegu. Bała się go, bała się jego zemsty. Bała się, bo uważał ją za doświadczoną kochankę, a tymczasem wiedziała, że nawet po zabiegu nie czeka ją jedna z najprzyjemniejszych chwil w życiu. Wbrew pozorom Justin był silny. Znała siłę jego szczupłego ciała i bała się go, kiedy owładnie nim namiętność.

Od razu zrozumiał, o co jej chodzi.

- Grubo się mylisz, kochanie - rzekł cicho. - Nie skrzywdzę cię w łóżku, ani z zemsty, ani z żadnego innego powodu.

Jej wargi zadrżały z powstrzymanego szlochu, łzy zebrały się pod powiekami. Spuściła wzrok, patrząc na szeroką pierś Justina.

- Może nie będziesz potrafił nad tym zapanować... - wyszeptała.

- Shelby, ty naprawdę się mnie boisz? - spytał, lekko zaskoczony.

Wyprostowała swoje szczupłe ramiona.

- Tak, boję się.

- A z nim też się bałaś? - spytał. - Z tym Wheelorem? Otworzyła usta, by coś powiedzieć, i zrezygnowała.

Nie ma sensu tłumaczyć mu tego, czego i tak nie wysłucha. Zaczęła znów wspinać się po schodach.

- Uciezka niczego nie rozwiąże - rzucił za nią, patrząc z mieszanymi uczuciami, jak odchodzi. Przede wszystkim był jednak zły.

- Ani próba rozmowy z tobą - odparowała.

U szczytu schodów odwróciła się. Jej zielone oczy lśniły od skrywanych łez i powracającej odwagi.

- Rób, co chcesz, traktuj mnie najgorzej, jak potrafisz. Zemścij się na mnie. Straciłam wszystko, co było mi drogie. Nie mam absolutnie nic więcej do stracenia, więc uważaj, Justin.

Nie mam najmniejszego zamiaru udawać potulnej żonki. Będę sobą i mogę tylko powiedzieć, że przykro mi, jeśli tym samym rozwiłam twoje dawne złudzenia.

Wysłuchał jej w milczeniu.

- To znaczy? - spytał trochę zdezorientowany.

- Żadnych romansów - odparła, czytając w jego myślach. - Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, nie stęskniłam się za mężczyzną.

- W to akurat uwierzę - rzucił. - Boże mój, kostka lodu ogrzałaby mnie bardziej niż ty kiedykolwiek.

Te słowa zaboląły, jakby ktoś przyłożył jej sztylet do gołej skóry. Powinna była domyślić się, że Justin uważa ją za oziębłą, ale jakoś do tej pory nie wpadło jej to do głowy.

- Może Tom dostał więcej! - rzuciła mu w twarz. Ruszył gwałtownie w jej stronę. Shelby przestraszyła się nie na żarty i po chwili, kiedy się zatrzymał, podziękowała w myślach Bogu.

- Dobranoc, Justin. Dziękuję ci za dach nad głową. Poszła dalej, a on, patrząc za nią, miał przed oczami lata marzeń. Przypomniawszy sobie, jaką rozkoszą była dla niego kiedyś sama jej obecność, i jak zirytowało go, że musiał się wycofać. Wciąż mu na niej zależało. Skłamał, bo poniosła go duma, ale zależało mu na niej, i to bardzo.

I oto znowu ją tracił.

Chciał za nią biec, wołać, że nie oskarża jej o oziębłość. Pragnął jej do szaleństwa, ale ona nic do niego nie czuła. To bolało o wiele bardziej niż zerwane zaręczyny, zwłaszcza kiedy dowiedział się, że Tom Wheelor był jej kochankiem. To go o mały włos nie zabiło. I oto ma ją blisko, a ona trafia go prosto w serce. Zawsze głowił się nad tym, czy przypadkiem nie jest dla niej odstręczający fizycznie. I dlatego właśnie uwierzył, że go nie chce.

Teraz wydawała się inna. Nie była już tamtą introwertyczną istotą, którą znał przed laty. Stała się zaskakująco śmiała, pełna życia, wyzbyta zahamowań. Teraz on nie potrafił powiedzieć jej, co nosi w sercu, ponieważ bał się zaufać jej po raz wtóry. Odprowadzał ją wygłodniałym, stęsknionym spojrzeniem. I ani drgnął, póki nie zniknęła mu z oczu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Żywiła dość bezzasadną nadzieję, że Justin wciąż ją kocha. Że być może nie ożenił się z nią wyłącznie z litości, ale także powodowany miłością. Niestety, dzień ich ślubu pokazał jej, że po latach zgorzknienia Justin kompletnie zobojętniał. Wciąż ją obwinał i wciąż sądził, że to ona jest wobec niego chłodna.

Nie miała pojęcia, jak radzić sobie ze swoim lękiem i z jego złością. Na razie wyglądało na to, że jej małżeństwo będzie równie puste, jak jej dotychczasowe życie. Nie przyjdą na świat żadne dzieci, którymi mogłaby się opiekować. Nie znajdzie się miejsce dla słodkich chwil w ciemnościach nocy ani zachwyty nad codziennym wspólnym bytowaniem. Będą za to oddzielne sypialnie i osobne życie, i nieopuszczająca Justina chęć zemsty.

Ponury nastrój, w jakim położyła się spać w swoją noc poślubną, z czasem jeszcze się pogorszył. Justin tolerował jej obecność, ale częściej niż w domu przebywał poza domem. Podczas posiłków odzywał się do niej tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, i nigdy jej nie dotknął. Zachowywał się jak dobrze wychowany gospodarz, a nie jak mąż, i w rezultacie Shelby poczuła ochotę na odrobinę brawury i ryzyka.

Któregoś weekendu, gdy Justina nie było w domu, wybrała się na wyścig pontonami górską rzeką wraz z przyjaciółką Abby, Misty Davies. Spróbowała też akrobatycznych skoków na spadochronie. Zapisła się na lekcje szermierki. Wróciła do dawnych zwyczajów swoich młodych szalonych dni. Justin nigdy jej naprawdę nie znał. Zdumiewały go te jej wszystkie zajęcia, a raz czy dwa zachował się tak, jakby mu to wręcz przeszkadzało. Cóż, dumiała, czyżby spodziewał się, że jego żona utknie w domu i zajmie się układaniem kwiatów w wazonach? Być może taki właśnie obraz zagościł w jego wyobraźni...

Po ślubie Shelby nie porzuciła pracy, ale Barry Holman nalegał, by wzięła parę dni wolnego. To nie w porządku, twierdził, żeby pracowała podczas całego miodowego miesiąca. Omal nie roześmiała mu się w twarz. Justin wrócił właśnie z kolejnej wyprawy i poszedł prosto do biura, po krótkim i dość chłodnym, choć uprzejmym powitaniu. Po kilku godzinach znudzona Shelby zadzwoniła do biura, by dowiedzieć się, co słyhać. Tam przynajmniej coś było w stanie ją zaabsorbować, i przestawała rozmyślać o swoim małżeństwie i własnej niedoskonałości.

Kiedy więc zadzwoniła, słuchawkę podniosła tymczasowa sekretarka, Tammy Lester, najwyraźniej z trudem dająca sobie radę z niecierpliwym z natury Barrym. Shelby ubrała się

w elegancką białą - czerwoną letnią suknię, włożyła buty na wysokich obcasach i ruszyła do pracy.

Jej stary samochód nawalił w połowie drogi i musiała go odtransportować na parking mechanika i sprzedawcy samochodów, gdzie dokonano naprawy.

Tam też wypatrzyła mały sportowy wóz Abby, wystawiony na sprzedaż. Jego widok przywołał parę wspomnień z dawnych lat. Shelby jeździła podobnym autem przez sześć najczarniejszych miesięcy swojego życia, mieszkając w Szwajcarii po zerwanych zaręczynach. Bardzo lubiła tamten wóz, ale przez nieuwagę go rozbiła. Wypadek ten jednak wcale nie ostudził jej entuzjazmu dla szybkich samochodów.

I teraz właśnie takiego zapragnęła - przemawiał do dzikiej, niepokornej strony jej natury. Nie miało to nic wspólnego z ryzykiem samobójcy. Shelby uwielbiała wyzwania. Lubiała euforię, jaka przepelniała ją podczas szybkiej jazdy.

Justin nie znał jej od tej strony, ponieważ przyjął do wiadomości złudne pozory, i nie zastanawiał się, co się za nimi kryje. Cóż, czeka go zatem niejeden szok, pomyślała.

Sprzedawca samochodów wiedział, że Shelby właśnie wyszła za męża za Justina, i nie poprosił nawet o drugi podpis na fakturze. Sprzedał jej samochód od ręki, na raty, na które było ją stać z własnej pensji.

Zaparkowała nowy nabytek przed biurem, zachwycona jego świeżym lakierem. Abby kazała pomalować go na czerwono, z białymi pasami, jakie mają wyścigowe wozy, a wkrótce potem zdecydowała się wymienić go na jakiś bardziej stateczny pojazd. Nowe kolory odpowiadały Shelby. Cieszyła się, że stać ją na taki zakup i że sama będzie spłacać raty.

Całe życie była uzależniona od pieniędzy ojca, samodzielne utrzymywanie się przynosiło jej zatem wielką satysfakcję. Pożałowała nawet, że ze strachu pośpieszyła się być może ze ślubem. Liczyła bowiem na coś więcej niż dach nad głową, a nie zapowiadało się, by jej oczekiwania miary się spełnić. Justin opiekował się nią, tak jak opiekował się kiedyś Abby, a jeśli nawet jej pożałował, nie okazywał tego. Gdyby tylko tak wszystkiego w sobie nie tłumiała, powiedziała by mu, na czym polega jej problem. Ale to właśnie było beznadziejne. A zatem wszystko musi pozostać tak jak jest, dopóki któreś z nich nie przerwie zakłętą kręgę milczenia.

Kiedy weszła do biura, Barry Holman krążył właśnie po pokoju, a sekretarka zalewała się łzami. Oboje odwrócili się, gdy Shelby schowała torebkę do górnej szuflady biurka.

- Mogę wam w czymś pomóc? - spytała. Kobieta przy biurku rozplakała się jeszcze głośniejsze.

- On krzyczy na mnie! - lamentowała, wskazując palcem Holmana, który wyglądał jak rozwścieczony byk.

- Krzyczę, bo pani jest niekompetentna!

- Zaraz, zaraz - uspokajała Shelby. - Już jestem, zaraz się wszystkim zajmę. Tammy, może zaparzysz panu Holmanowi kawę, a ja zobaczę, co się da zrobić. Potem pokażę ci, jak się aktualizuje dokumenty, i później ty się tym zajmiesz. W porządku?

Tammy uśmiechnęła się od ucha do ucha, jej ciepłe brązowe oczy wyschły w jednej chwili.

- W porządku.

Wstała i ustąpiła miejsca Shelby. Barry Holman zerknął na nią zmieszany.

- Jesteś na urlopie - mruknął. - Nie powinnaś tu siedzieć.

- Dlaczego nie? Justin pracuje, ja też mogę się czymś zająć.

Barry zmarszczył czoło.

- No...

- Proszę mi powiedzieć, co trzeba zrobić, a ja pokażę panu potem mój nowy samochód. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Należał do Abby, sprzedali mi go na raty bez zyrantów.

- No pewnie. Wiedzą, że twój mąż jest wypłacalny - mruknął.

Spojrzała na niego ze złością, ale zignorował to, ciesząc się z jej obecności.

- O proszę, to doprowadziło Tammy do spazmów. Pokazał jej dwie strony zabazgrane notatkami. Chciał je mieć przepisane, i to poprawną angielszczyzną, na dodatek w pięćdziesięciu egzemplarzach z różnymi nagłówkami.

- Proste, prawda? - Zerknął w głąb biura. - A ona wpadła w histerię.

Shelby też miała ochotę się rozplakać. Odczytanie tych bazgrołów to co najmniej godzina pracy. Ale za to potrafiła pisać na komputerze, a Tammy rozłożyła na biurku trzy proste podręczniki, z których żaden nie był w stanie nauczyć posługiwania się programem kogoś, kto nie miał do czynienia z komputerem.

- Spytała mnie, do czego to służy. - Barry westchnął, biorąc do ręki dyskietkę. - Myślała, że to negatywy.

Shelby musiała przygryźć wargi, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Przecież ona nigdy nie uczyła się obsługi komputera - przypomniała mu.

- To nie tłumaczy jej głupoty - odparł rozgorączkowany.

- Panie Holman! - zawołała Tammy z oburzeniem. Stała w drzwiach z tacą i trzema filiżankami kawy. - To było nieuprzejme i niesprawiedliwe.

- A nie mówili ci w agencji, że obsługa komputera jest tu konieczna? - warknął.

- Znam się na komputerze - odparła Tammy wzburzona. - Bez przerwy gram w gry komputerowe na atari mojego brata.

Holman wyglądał, jakby miał za moment wybuchnąć. Zacisnął zęby, poszedł do swojego pokoju i trzasnął za sobą drzwiami.

- No, chyba mu dołożyłam! - Tammy pokazała zęby w złośliwym uśmiechu.

Z pokoju Holmana dobiegł jego rozjuszony głos:

- Jasna cholera!

Kobiety wymieniły spojrzenia.

- Nic mi nie mówili, że trzeba pracować na komputerze - przyznała Tammy. - Spytali tylko, czy znam się na pracy biurowej, a przecież się znam. Piszę na maszynie ponad sto słów na minutę, a jak mi ktoś dyktuje, to dziewięćdziesiąt. Ale nie potrafię czytać w sanskrycie - szepnęła, wskazując na zabazgrane kartki.

Shelby w końcu wybuchnęła śmiechem. Tak dobrze jest się śmiać. Dziękowała Bogu za pracę, która pozwala jej pozostać przy zdrowych zmysłach. Potrząsnęła głową, odkładając na bok podręczniki, i zaczęła uczyć Tammy podstaw komputera.

Po pracy wybrała dłuższą drogę do domu. Holman uspokoił się po lunchu i o wiele lepiej znosił obecność Tammy. Prawdę mówiąc, nawet nie stęknął, kiedy Shelby napomknęła, że przydałyby mu się dwie sekretarki z powodu poważnych zaległości w wypełnianiu dokumentów i uaktualnianiu danych. Poza tym chciał przyjąć współnika, a zatrudnienie Tammy w pełnym wymiarze czasu pozwoliłoby mu na to.

Shelby ostro skrzyła swoim małym autkiem na główną drogę, ciesząc się zębatkową przekładnią kierownicy i łatwością manewrowania. Coraz mocniej naciskała gaz. Kochała taką szybkość, kochała wolność i wiatr we włosach. Jak powiedziała Justinowi, nie ma nic do stracenia. Od tej pory postanowiła cieszyć się życiem. A Justin niech sobie robi, co chce.

Przed nią włókł się jakiś samochód, lecz nawet nie przyhamowała. Śmignęła obok i ledwie wróciła na swój pas, kiedy z naprzeciwka wyminął ją inny samochód. Nie wyglądał obco, ale nie spojrzała w tylne lusterko. Jechał w stronę biura Justina. Minęła zakręt, znowu przyspieszając. Nie była jeszcze gotowa wracać do domowej celi.

Calhoun z duszą na ramieniu i modlitwą na ustach zajeżdżał przed biuro. To był stary samochód Abby, a za kierownicą siedziała Shelby. Ledwo ją poznał w tym ułamku sekundy, kiedy się mijali, kiedy mignęła mu przed oczami jej roześmiana twarz, jej włosy fruujące na wietrze. W porównaniu z nią, Misty Davies jeździ bardzo bezpiecznie.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Justin podniósł na niego wzrok.

- Już prawie czas do domu - zauważył, zerkając na swego roleksa. - Nie spodziewałem się, że wrócisz dzisiaj z Montany.

Calhoun uśmiechnął się szeroko.

- Stęskniłem się za Abby. A skoro już o niej mowa - dodał, przysiadając na skraju biurka brata - właśnie omal nie zostałem rozjechany przez jakąś szaloną kobietę, która gnała jej sportowym wozem.

- To Abby go nie sprzedała?

- Oczywiście, że sprzedała.

- Aha. - Justin uśmiechnął się słabo i siadł wygodnie z palącym się papierosem w dłoni. - Czyli to jakaś inna wariatka prowadziła?

- Można tak powiedzieć. Jechała co najmniej sto trzydzieści na godzinę. - Zmrużył oczy. - Na pewno chcesz, żeby Shelby tak się zachowywała? Nastąpiła chwila pełnej osłupienia ciszy.

- Nie rozumiem, co niby miałbym chcieć? - rzucił Justin. - Chcesz powiedzieć, że to Shelby prowadziła ten wóz?

- Obawiam się, że tak - przyznał cicho Calhoun. - Nie wiedziałeś?

Justin spoważniał. Shelby jest nieszczęśliwa, był tego świadom. Martwiło go jej zachowanie ostatnimi czasy, chociaż nie pozbył się iluzji na jej temat. Ale kupno sportowego samochodu to zdecydowanie krok za daleko. Musi się z nią rozmówić. Unikał dotąd otwartej konfrontacji, pozwalając jej się zadomowić, odnaleźć w nowej sytuacji. Trzymał się na dystans, próbując jakoś dawać sobie radę z cierpieniem spowodowanym obecnością Shelby w jego domu i jej ucieczkami, kiedy wchodził do pokoju, w którym akurat przebywała.

Ale tym razem przesadziła. Nie pozwoli jej się zabić.

Podniósł się zza biurka i nie patrząc nawet na Calhouna, zdjął z wieszaka kapelusz i ruszył do drzwi.

- Jechała w stronę domu?

- W przeciwną. Justin, co się z wami dzieje?

- Moje życie prywatne to nie twój interes. Calhoun skrzyżował ramiona na piersi.

- Abby twierdzi, że Shelby wariuje. A ty nie robisz nic, żeby ją powstrzymać. Czyżbyś aż tak się na nią zawziął?

- Mówisz, jakby chciała popełnić samobójstwo - rzekł beznamiętnie Justin. - Nie ma takiego zamiaru.

- Gdyby była szczęśliwa, nie zachowywałaby się w taki sposób - obstawał przy swoim młodszy z braci.

- Musisz zapomnieć o przeszłości. Najwyższy czas żyć tu i teraz.

- Cholernie łatwo się to mówi - rzucił Justin wzburzony. - Ona mnie zostawiła i sypiała z innym.

Calhoun przyglądał mu się zdumiony.

- Nie znasz wszystkich moich wyczynów, ale nie jesteś ode mnie lepszy, duży bracie.

A może Shelby nie potrafiła zaakceptować tych wszystkich kobiet, które miałeś przed nią?

- Z mężczyznami to inna bajka - stwierdził mocno zirytowany Justin.

- Naprawdę?

- Ona była moja. Robiłem, cholera, co mogłem, byle jej nie nadepnąć na palce. Zaciskałem zęby, żeby jej nie wystraszyć, a ona wrywała się za każdym razem, jak chciałem ją dotknąć. A jednocześnie puszczała się z tym tłustym milionerem. To jak się miałem czuć, twoim zdaniem? - huknął. - A potem mi oznajmiła, że jestem za biedny, żeby zaspokajać jej kosztowne zachcianki, że woli kogoś z grubszą forszą.

- Ale za niego nie wyszła, tak? - odparował Calhoun.

- Wyjechała do Europy i szalała, tak jak szaleje teraz. W Szwajcarii miała wypadek, prowadziła sportowy wóz - dodał, widząc strach w oczach brata. - Taki sam jak ten, którym jechała dzisiaj. Ona wariowała z żalu za tobą.

Justin wetknął papierosa do ust i zapalił.

- Nikt mi o tym nie mówił.

- A czy ty chciałeś o niej słuchać? - gorączkował się Calhoun. - Dopiero niedawno można było przy tobie wymienić nazwisko Jacobsów.

- Pragnąłem jej - jęknął Justin. - Nie wyobrażasz sobie nawet, jak się czułem, kiedy ze mną zerwała.

- Owszem, wyobrażam sobie - odrzekł Calhoun. - Byłem przy tym. Ale jakoś nigdy nie przyszło ci do głowy, że Shelby mogła mieć jakiś poważny powód, żeby odejść? Starala się wyjaśnić ci wszystko, ale ty nawet nie pofatygowałeś się, żeby jej wysłuchać.

- A czego miałem wysłuchiwać? - zniecierpliwił się Justin. - Od razu powiedziała mi całą prawdę.

- Nigdy w to nie uwierzyłem. I ty też byś nie wierzył, gdyby nie to, że zakochałeś się po raz pierwszy w życiu i od początku dręczyłeś się tym, że może cię rzucić. Nawet z mojego powodu. Pamiętasz to jeszcze?

Trudno dyskutować z faktami. Justin wiedział, że był wobec Shelby zaborczy. Do diabła, w dalszym ciągu zżerała go zazdrość. Ale jak ma sobie z tym poradzić? Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego Shelby w ogóle została z nim tak długo.

- Nawet teraz - podjął Calhoun - zdaje mi się, że robisz wszystko, żeby cię opuściła.

Justin zaśmiał się ironicznie, przykrywając tym głębokie rozterki.

- A co mam według ciebie zrobić? Związać ją i zamknąć w piwnicy? - pytał gorączkowo. - Nie zatrzymam jej, jeśli nie zechce zostać. Do diabła z tym, nie mogę jej nawet dotknąć. Jeden jedyny raz, kiedy chciałem się z nią kochać, odepchnęła mnie - wyznał otwarcie. Oczy mu pociemniały, odwrócił wzrok. - Nie umiem się do niej zbliżyć. Ona się mnie boi.

- Interesujące - zauważył Calhoun, starannie dobierając słowa - że taka doświadczona, światowa kobieta, boi się seksu. Dziwne, prawda?

Justin zmarszczył czoło.

- O co ci chodzi?

Calhoun milczał. Uśmiechnął się półgębkiem, kierując się do wyjścia, ale Justin nie widział jego miny.

- Muszę wracać do domu. Na razie, duży bracie. - I zanim Justin mu odpowiedział, zniknął za drzwiami.

Justin starał się pozbierać myśli i zapanować nad emocjami. Wyszedł w ślad za Calhounem, nie mówiąc słowa do swojej sekretarki. Calhoun zatrzymał go i tak zbyt długo. A jeżeli Shelby miała w międzyczasie kraksę?

Pojechał w jedną stronę i z powrotem, ale nigdzie nie widział nawet śladu sportowego wozu. W końcu zawrócił do domu i mało nie padł z ulgą na kolana, znajdując czerwony wóz zaparkowany przed wejściem.

Ręce mu się trzęsły, ale wymusił na sobie pozory spokoju. Wszedł do domu, rzucił kapelusz na wieszak i skierował się prosto do jadalni, gdzie Shelby siedziała już na krześle w połowie długości stołu z czereśniowego drewna, rozmawiając z Marią o jakimś nowym przepisie.

Przeniosła spojrzenie na drzwi, a kiedy go zobaczyła, jej śmiech i żywe gesty zniknęły jak nagle wyłączone światło. Włosy opadały na jej ramiona lekko zwichrzonymi falami. To wiatr, pomyślał Justin, przewiał jej włosy w odkrytym wozie.

- Zamieniłam swój stary samochód na nowy - oznajmiła wyzywającym tonem. - Podoba ci się? Należał do Abby. Nie potrzebowałam nawet twojego podpisu, sama będę go spłacać. Z pensji.

Justin zerknął kątem oka na Marię, która dobrze znała to spojrzenie i natychmiast się wycofała. Usiadł, zapalił papierosa i wbił wzrok w Shelby.

- Sportowy samochód to ostatnia rzecz, jaka jest ci potrzebna. I tak jeździsz cholernie szybko.

Zajrzała w jego ciemne oczy, odnajdując w nich kiepsko zakamuflowaną troskę.

- Ktoś mnie dziś po południu widział w tym samochodzie - domyśliła się szybko.

- Calhoun.

- Tak myślałam. - Spuściła wzrok na swoje ręce złożone na kolanach, kręcąc złotą obrączką na palcu. - Lubię szybką jazdę.

- A ja nie lubię pogrzebów - odparował równie zawzięcie. - I nie wybieram się na twój pogrzeb. Jutro odstawisz ten wóz z powrotem albo ja to zrobię.

- To mój samochód! - krzyknęła ze złością. - I nigdzie go nie odstawię.

Justin zaciągnął się głęboko. Kiedy tak siedział, jego biała jedwabna koszula opinała jego ciało. Był bez marynarki, podwinął rękawy koszuli. Miał lekko potargane włosy, wargami ugniatał papierosa.

- Nie będę z tobą na ten temat dyskutował. - Popatrzył na nią przez welon dymu. - Calhoun powiedział mi, że za granicą rozbiłaś samochód.

Mimowolnie natychmiast się zaczerwieniła.

- To był wypadek.

- Nie dopuszczę do tego, żebyś się zabiła - rzekł twardo.

- Na Boga, Justin. Nie mam skłonności samobójczych - zaprotestowała. Podniosła filiżankę z kawą do ust i wypila wzmacniający łyk czarnego płynu.

- Tego nie powiedziałem - zgodził się. Przesunął popielniczkę na obrusie, patrząc, jak się zakręciła w kółko. - Ale potrzebujesz twardszej ręki, niż miałaś dotychczas.

- Nie jestem Abby - oznajmiła, patrząc na niego ze ściągniętą twarzą. - Nie potrzebuję anioła stróża.

Justin popatrywał na nią w milczeniu.

- A propos, nie podoba mi się, że pracujesz u Holmana - dodał w końcu.

Shelby zamrugła nerwowo. Raptem poczuła, że traci panowanie nad swoim własnym życiem.

- Nie pytałam cię, czy ci się to podoba, czy nie. Poinformowałam cię przed ślubem, że nie zamierzam rezygnować z pracy.

- Tutaj jest dosyć roboty - odrzekł, strzepując popiół do popielniczki. - Możesz zająć się domem.

- Maria i Lopez świetnie sobie radzą. Nie chcę w jedwabnych piżamach obijać się o ściany i przyjmować gości. Dość się już naukładałam kwiatów.

Patrzył na papierosa, nie na nią.

- Myślałem, że ci tego brakuje. Dawniej nie musiałaś nawet palcem kiwnąć.

Wlepiła wzrok w swoje dłonie na kolanach, mnąc cienki jedwab biało - czerwonej sukni.

- Mój ojciec widział we mnie tylko dekorację salonu - powiedziała z napięciem. - Byłby wściekły, gdybym próbowała zmienić ten wizerunek.

Justin ściągnął lekko brwi.

- Bałaś się go?

- Uważał mnie za swoją własność. - Spotkała się z jego zaciekawieniem, które ją zdumiało, lecz uznała, że to jest z pewnością lepsze niż kłótnia. - Nie należał do ludzi, z którymi łatwo się żyje, i miał swoje przerażające sposoby, kiedy Tyler albo ja postąpiliśmy wbrew jego woli.

- Nie puszczał cię daleko od domu - wspomniał Justin. - Chociaż mnie zaufał i pozwolił ci spotykać się ze mną.

- Doprawdy? - Roześmiała się głucho. - Byłeś drugim mężczyzną, z którym się umawiałam na randki, i pierwszym, z którym wyszłam sama. Aż tak cię to dziwi? Sądziłeś, że ojciec pozwalał mi się bawić? Umierał ze strachu, że uwiedzie mnie jakiś łowca fortun. Dopóki on żył, ja żyłam jak pustelnik.

Justin nie był pewny, czy dobrze wszystko rozumie. Przechylił nieco głowę i przymrużył oczy.

- Mogłabyś to powtórzyć? - poprosił. - Nie byłaś sam na sam z mężczyzną, póki mnie nie poznałaś?

- Tak - przyznała. - Ojciec nie spuszczał ze mnie oka i uciekłam mu dopiero, kiedy wyjechałam do Szwajcarii. - Uśmiechnęła się smutno. - No i chyba oszołomiła mnie ta wolność, bo dosłownie oszalałam. Samochód sportowy był tylko po to, żeby dać temu ujście. Był sposobem na świętowanie wolności. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się rozbijać.

- Byłaś poważnie ranna?

- Złamałam nogę i pękły mi żebra. Podobno miałam wielkie szczęście.

Papieros się wypalił, Justin zgniótł go w popielniczkę.

- Nie wiedziałem... - Powoli zaczynało do niego docierać, że dopiero z nim poznała przedsmak intymnej zażyłości. Pomyślał o tym i poczuł napięcie w całym ciele. Przypuszczał, że miała wówczas jakieś doświadczenie, mimo tego, że wedle jego wiedzy była wciąż dziewicą. Ale jeśli się mylił, łatwo w takim wypadku zrozumieć, dlaczego jego namiętność tak ją przeraziła.

- Nie potrafiłam wtedy rozmawiać z tobą na takie tematy - przyznała. - Byłam bardzo młoda i beznadziejnie naiwna.

Przyglądał się jej przenikliwie.

- Więc pewnie bardzo cię przestraszyłem tamtego wieczoru? To dlatego mnie odepchnęłaś, a nie z powodu wstrętu?

Shelby ledwie złapała oddech.

- Nigdy nie czułam do ciebie wstrętu! - zawołała poruszona. - Och, Justin! Chyba tak nie myślałeś?

- Zdaje się, że bardzo mało wiemy o sobie, Shelby - stwierdził przytłumionym głosem. - Sądzę, że oboje się myliliśmy. Ja widziałem w tobie kobietę z towarzystwa. Gdybym wiedział wówczas to, co mi teraz mówisz, zachowywałbym się zupełnie inaczej.

Shelby poczerwieniała i odwróciła wzrok. Nie znajdowała właściwych słów. Zdumiewające, że chociaż są małżeństwem, a ona skończyła już dwadzieścia siedem lat, tego rodzaju rozmowa wciąż ją krępuje.

- Bałam się, że nie przestaniesz we właściwym momencie - mruknęła wymijająco.

Justin westchnął i podniósł filiżankę do ust, opróżniając do dna.

- Ja też - wyznał. - Tak, mogło się tak zdarzyć. Dość długo żyłem bez kobiety.

- Społeczeństwo jest teraz bardziej tolerancyjne i w ogóle...

- Społeczeństwo może sobie być tolerancyjne, aleja nie jestem - oznajmił, zerkając w jej stronę. - I nigdy taki nie byłem. Dżentelmen nie uwodzi dziewczyc ani nie wykorzystuje kobiet. Zostają mu tak zwane panienki.

- Trzymał filiżankę w dłoni, gładząc ją kciukiem.

- A prawdę powiedziawszy, mnie ten typ nigdy nie ruszał.

Przesuwała wzrok po jego twardych rysach, zawieszając spojrzenie na ładnie wykrojonych ustach.

- Ale na pewno nie mogłeś się uskarżać na brak kandydatek - powiedziała, spuszcżając znowu wzrok na kolana.

- Jestem bogaty. - W tych słowach usłyszała chłodny cynizm. - Pewnie, że nie brakowało. Jeśli mam być szczery, to miałem jedną w zeszłym tygodniu, kiedy byłem w Nowym Meksyku załatwić coś i kupić ci obrączkę.

Shelby nerwowo zacisnęła zęby. Nie chciała mu pokazać, że ją to dotknęło, ale trudno było jej ukryć prawdę.

- Ach tak?

Justin odstawił filiżankę.

- Jesteś o mnie tak samo zazdrosna, jak ja o ciebie - stwierdził, patrząc jej prosto w oczy. - Nie podoba ci się, że inne kobiety się mną interesują, co?

- Nie - odparła wprost.

Uśmiechnął się kpiąco i zapalił kolejnego papierosa.

- No cóż, jeśli cię to pocieszy, odstawiłem ją. Nie będę cię oszukiwał, kochanie.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ja też nie zamierzam cię oszukiwać.

- To byłby ósmy cud świata - zauważył. - Jesteśmy po ślubie prawie od dwu tygodni, a za każdym razem, kiedy się do ciebie zbliżam, wyglądasz jak jagnię przeznaczone na ofiarę.

Shelby wzięła głęboki oddech, po czym powiedziała:

- Tak, wiem. Znam swoje wady. Pewnie mi nie uwierzysz, ale mam do siebie taki sam żal, jak ty masz do mnie.

Przez chwilę Justin wyglądał na swoje lata. Siedział przygnębiony, z przygaszonym wzrokiem.

- Brutalnie zraniłaś moją dumę, Shelby. Potrzebowałem sporo czasu, żeby się z tego podźwignąć. I chyba dotąd mi się nie udało.

- Ja też... - zaczęła, kuląc ramiona. - Ja też cierpiałam przez swoje własne zachowanie.

- Zamknęła oczy. - Ale zrobiłam to dla ciebie.

- No, to coś nowego! - rzekł zirytowany. Zgasił na pół wypalonego papierosa i poderwał się na nogi.

- Muszę skończyć robotę papierkową, zanim Maria poda kolację. - Zatrzymał się obok jej krzesła, patrząc, jak Shelby sztywnieje. Chwycił w garść pasmo jej włosów, pociągając tak, żeby musiała spojrzeć mu w oczy.

- Strach! - warknął. - Tylko to widzę, kiedy się do ciebie zbliżam. No, tylko się nie poć ze strachu, kochanie. Nikt nie wezwie cię dziś do największego poświęcenia. Nie jestem aż tak zdesperowany!

Puścił ją i odszedł, nie oglądając się za siebie. Wprost emanował złością.

Shelby poczuła napływające do oczu łzy i nie była w stanie ich zatrzymać. Justin nie wie, czego ona się boi, a ona nie umie mu tego powiedzieć. Założył więc, że go nie chce. Nic dalszego od prawdy. Pragnęła go, i to bardzo. Ale pragnęła go delikatnego i panującego nad pożądaniem, a pamiętała dobrze, że taki właśnie nie jest.

Wstała od stołu i udała się do swojego pokoju, by spędzić tam kilka chwil przed kolacją, kiedy znowu znajdą się razem. Tak trudno było jej podjąć z nim jakąkolwiek rozmowę i pokonać jego zniecierpliwienie. Tak bardzo bała się, że jego oczekiwania ją przerosną.

Gdyby tylko mogła mu to wszystko wyjaśnić. Gdyby nie jej wychowanie, przez które pewne tematy stanowiły dla niej tabu. Dopóki nie znajdzie sposobu, żeby Justin ją zrozumiał, będzie to powód dodatkowych napięć w ich małżeństwie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jeśli Shelby miała nadzieję, że Justin przyjdzie na kolację w lepszym humorze, to się pomyliła. Siedział u szczytu stołu jak postać z kamienia, prawie się nie odzywając podczas posiłku.

Potem wyszedł bez słowa, a Shelby ogarnęła bezdenne rozpacz. Gdyby mogła pójść za nim, objąć go i wyjaśnić, co czuje! Tylko czy on uwierzyłby jej, mając na uwadze doświadczenia przeszłości?

Ból otulił ją szczelnie jak koc. Shelby wzięła torebkę i ruszyła do samochodu. Jeżeli Justin spodziewa się, że będzie czekała, co przyniesie jej wieczór, to bardzo się myli.

Zapaliła silnik swojego nowego samochodu i z impetem wyjechała na drogę. Ten mały pojazd dawał jej cudowne poczucie kontrolowanej szybkości. Lubiła pędzić przed siebie prostą drogą, kochała tę wolność z wiatrem we włosach, radość z bycia samej ze swoimi myślami.

Justin jej nienawidzi, ale to nic nowego. Skrzywdziła go, a on ani myśli jej wybaczyć. Dlaczego w ogóle przystała na to małżeństwo, z którego nic nie wyjdzie? Była głupia, ale może winić tylko siebie.

Tak się głęboko zamyśliła, że nie zauważyła znaku stop, dopóki na niego nie wpadła. Głośny baryton klaksonu ciężarówki zmroził jej krew w żyłach.

Ogromna ciężarówka puła szosą z naprzeciwka. Mały samochód Shelby jechał za szybko, by śmignąć przed nią na skrzyżowaniu, i nie było pewności, czy odległość nie jest zbyt mała, by się przed skrzyżowaniem zatrzymać.

Z sercem w gardle, odrętwiała i przekonana, że zbliża się jej koniec, Shelby nacisnęła hamulec. Samochód zatańczył, przerażający pisk opon poniósł się echem w przedwieczornej ciszy. Twarz Shelby zastygła w przerażeniu, kiedy straciła panowanie nad kierownicą i niebo nad jej głową zawirowało...

Samochód wylądował w głębokim rowie, chwiejąc się na boki, ale o dziwo nie przewrócił się kołami do góry. Shelby siedziała w szoku, czując tylko napływ mdłości i zawroty głowy. Gdzieś obok jakiś inny samochód zahamował z piskiem opon. Ktoś biegł, a potem rozległ się krzyk mężczyzny.

- Shelby! - Twarz mężczyzny była jej znajoma, a równocześnie obca. A on krzychał schrypnięty i przerażony: - Odpowiedz mi, cholera jasna, nic ci nie jest?

Czuła, jak ktoś odpina jej pas trzęsącymi się rękami. Czuła, jak te same ręce dotykają jej ciała w poszukiwaniu krwi czy połamanych kości.

- Nic ci nie jest? - denerwował się Justin. - Nic sobie nie zrobiłaś? Na Boga, kochanie, odezwij się do mnie!

- Nic... nic mi nie jest - szepnęła zeszywniała. - Drzwi... ?

- Nie dają się otworzyć. A teraz powolutku... Ostrożnie wziął ją pod ręce i wyciągnął z auta, po czym wyniósł z rowu. Kierowca ciężarówki zatrzymał się także i szedł właśnie w ich kierunku, ale Justin chyba wcale go nie widział. Jego twarz stężała z napięcia, nie był w stanie zapanować nad drżeniem rąk, na których trzymał kruche ciało swojej żony.

W końcu cała ta sytuacja zaczęła docierać od świadomości Shelby. Podniosła wzrok, zobaczyła twarz Justina, i zabrakło jej tchu. Był śmiertelnie blady, tylko oczy zachowały błysk życia i świeciły w półmroku na jego udręczonej twarzy.

- Ty głuptasie... - zaczął z trudem.

Wiedziała, że do końca życia nie zapomni przerażenia w jego oczach. Wyciągnęła ręce, by go objąć, pragnęła tylko zetrzeć ten strach z jego oczu.

- Wszystko w porządku - powiedziała. Nigdy jeszcze nie widziała go tak wstrząśniętego. Poczuła, że musi się nim zaopiekować. - Nic mi nie jest - szeptała. Dotknęła jego warg, pieściła je koniuszkami palców, które przeniosły się po chwili na jego włosy. - Kochanie, naprawdę nic mi nie jest.

Dotknęła wargami jego warg, ciesząc się, że pozwolił jej się pocałować, nawet jeśli było to jedynie następstwo szoku. Przez kilka sekund rozkoszowała się tym nowym odczuciem. Od lat się nie całowali. Pojękiwała cichutko, a on z wolna wychodził z szoku. Najpierw mamrotał coś niezrozumiale i całował ją tak mocno, aż bolało. Potem nagle oderwał się od niej z niechęcią, gdy dotarł do nich kierowca ciężarówki.

- I jak, nic jej się nie stało? - Mężczyzna z trudem łapał oddech. - Mój Boże, byłem pewny, że się zderzymy...

- Z nią wszystko w porządku - odparł Justin. - Tylko ten cholerny samochód na pewno nie będzie w porządku, kiedy się nim zajmę.

Kierowca odetchnął z ulgą.

- Do diabła, pani to ma nerwy - rzekł z podziwem.

- Gdyby pani straciła panowanie, już by było po pani, a ja wylądowałbym u czubków.

- Przepraszam. - Shelby rozplakała się. Nerwy jej puściły na skutek mieszanki wybuchowej, którą stanowiła wizja śmierci w połączeniu z namiętnością Justina.

- Bardzo przepraszam, nawet pana nie zauważyłam.

Kierowca, młody rudzielec, pokręcił tylko głową, z trudem odzyskując równowagę.

- Jest pani pewna, że nic pani nie jest?

- Jestem pewna - powiedziała, przywołując na wargi drżący uśmiech. - Dziękuję, że pan się zatrzymał. To nie pana wina.

- Wcale by mnie to nie pocieszyło - odparł. - No ale skoro jest pani pewna, to muszę lecieć. - Spojrzał na Justina i już chciał zaoferować pomoc, ale jakiś błysk w tych czarnych oczach zniechęcił go do tego.

- Ja też dziękuję w imieniu żony, że pan się zatrzymał - dodał Justin.

Mężczyzna skinął głową, uśmiechnął się i odszedł, dziwiąc się, że taka ładna kobieta poślubiła takiego desperata. Cieszył się, że nic sobie nie zrobiła. W innym wypadku perspektywa stanięcia twarzą w twarz z tym facetem o spojrzeniu rozjuszonego byka, i to bez broni, nie napawała go entuzjazmem.

Justin nie powiedział już słowa więcej. Obrócił się, niosąc Shelby do swojego auta.

- A co z moim wozem? - spytała.

- Do cholery z nim! - Trzasnął drzwiami i okrążył swój samochód, by sięgnąć za kierownicą. Ale nie od razu zapalił silnik. Siedział tak, ściskając z całych sił kierownicę, aż mu palce zbieleły, a Shelby czekała na nieunikniony jej zdaniem wybuch. Teraz, kiedy Justin przekonał się, że nic jej nie jest, wyobrażała sobie, że za moment się na niej wyładuje.

- No dalej, zrób mi piekło - powiedziała ze łzami w oczach, szukając chusteczek w przegródce na rękawiczki. - Jechałam za szybko i nie uważałam. Zasłużyłam sobie na wykład.

- Wytarła nos. - Jak tu dotarłeś tak szybko?

Justin wciąż milczał. Po chwili usiadł wygodniej i wygrzebał papierosa z kieszeni. Zapalił go drżącą ręką, wbijając wzrok przed siebie.

- Jechałem za tobą - rzucił szorstko. - Kiedy usłyszałem, jak ruszasz z podjazdu, przestraszyłem się, że zechcesz wyżyć się na autostradzie. - Obrócił ku niej twarz. - Mój Boże, zapłaciłem za grzechy, których nie popełniłem, kiedy zobaczyłem, jak lądujesz w rowie.

Wyobrażała sobie, co musiał przeżyć, patrząc na ten drobny w rezultacie wypadek, i to nawet jeżeli jej nie kocha.

- Przykro mi. - Splotła drżące ręce na piersi. Justin oddychał nierówno. Był wyraźnie wzburzony.

- Naprawdę? - Opanował się już i znowu miał na twarzy ten chłodny uśmiech, który doprowadzał ją do szału. - No więc możesz się pożegnać z tym cholernym sportowym cudem. Jutro pojedę z tobą do miasta i wybierzemy coś bezpieczniejszego.

- A co masz na myśli? Czołg?

- Rower, jeśli będziesz jeździć jak wariatka - poprawił ją ze złością. - Już ci kiedyś mówiłem, że koniec z twoimi niebezpiecznymi zabawami.

- Nie będziesz mi rozkazywał! - krzyknęła. - Nie jestem twoją podopieczną.

- Nie - zgodził się z kpiącym uśmiechem. - Jesteś moją żoną. Moją świętą żoną, która pozwala się dotykać wszystkim, tylko nie swojemu mężowi.

Tego było za wiele. Shelby zalała się łzami, odwracając twarz do okna i przykrywając oczy mokrą już chusteczką.

- Przestań! - warknął. - Przestań, na Boga. Nie znoszę łez.

- To nie patrz na mnie, cholera! - szepnęła, tupiąc nogą.

Justin zaklął i wsadził rękę do kieszeni w poszukiwaniu swojej chusteczki. Wcisnął ją w drżące dłonie Shelby, czując się tak, jakby ktoś dał mu kopniaka.

- Przestań, bo się rozchorujesz. Niewiele brakowało, ale nic się nie stało, prawda? - spytał łagodniejszym głosem. Zmarszczył czoło, bo właśnie przypomniał sobie coś, co panika na moment odsunęła z jego myśli. Jak to było? Shelby dotknęła jego twarzy, szepnęła coś i musnęła wargami jego wargi, żeby go uspokoić. Co ona takiego powiedziała... ?

- Powiedziałaś do mnie: kochanie - rzekł na głos. Shelby poruszyła się nerwowo.

- Tak? Chyba straciłam na chwilę rozum, co? - Pociągnęła nosem i wytarła twarz. - Możemy już jechać do domu? Napiłabym się czegoś.

- Mnie też przyda się trochę whisky. - Patrzył na jej bladą, posmutniałą twarz. - Na pewno nic ci się nie stało?

- Jestem twarda - mruknęła.

- Twarda - przyznał. - I bezmyślna, głupia, impulsywna...

- Dosyć!

- Pocałowałaś mnie.

Jej bladość przeszła w różaną czerwień.

- Bardzo się zdenerwowałeś.

- Nie pierwszy raz, ale nigdy mnie dotąd nie całowałaś. - Zmrużył oczy, zapalając silnik. - Po raz pierwszy, odkąd się znamy, zrobiłaś dobrowolnie jakiś gest w moją stronę.

Shelby oparła się o fotel, splatając ręce.

- Moja torebka została w samochodzie - zmieniła temat.

Justin pochylił się, podniósł z podłogi jej torebkę i położył ją na jej kolanach.

- Złapałaś ją, kiedy cię stamtąd wyciągałem.

- Chyba nie masz serio zamiaru wyżywać się na tym samochodzie Abby?

Justin cofnął się i zawrócił do domu.

- To i tak byłoby mało - mruknął.

- Justin! To nie była wina samochodu.

- Siedź i uspokój się, za chwilę będziemy w domu. Pędził drogą wcale nie wolniej, niż ona jechała przed chwilą.

- Przekroczyłeś setkę!

- To duży wóz.

- A co to ma do rzeczy?

Palił papierosa, zbierając myśli. Jeszcze dziesięć minut temu w jego głowie panował względny ład, a teraz zaczął się zastanawiać, czy czegoś nie pokręcił. Zakładał, że Shelby odrzucała go przez te wszystkie lata i że wciąż czuje do niego niechęć. Ale jej wargi były ciepłe i chętne. Oczywiście, przeżyła szok, a takie emocje wywołują rozmaite nieprzewidziane reakcje. Ale jeżeli zmartwiło ją, że on się zdenerwował, to znaczy, że trochę jej na nim zależy.

Zajechał przed dom i mimo jej protestów, zaniósł ją na rękach do drzwi, gdzie trzymał się chwilę, zanim je otworzył.

- Nie będziemy niepokoić Marii - zaczął, ale gdy tylko wypowiedział te słowa, Maria już biegła ku nim.

Widząc bladą twarz Shelby, wyrzuciła z siebie potok hiszpańskich słów.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Shelby.

- Samochód wpadł do rowu, ale ja jestem cała.

Maria przeniosła wzrok na Justina. Czowała, że nie mówią jej prawdy, ale wiedziała też, że dociekliwość nie jest zbyt wskazana.

- Co mam zrobić, *señor* Justin? - spytała tylko.

- Nalej mi czystej whisky, a dla Shelby brandy, i przynieś nam na górę, dobrze?

- *Si, señor.*

- A czemu ja nie mogę się napić czystej whisky?

- spytała Shelby.

Justin przytulił ją mocniej, idąc po schodach z ciężarem skulonym w jego ramionach.

- Jesteś jeszcze smarkata.

- Mam dwadzieścia siedem lat - przypomniała mu.

- A ja trzydzieści siedem. A zatem mam nad tobą dziesięć lat przewagi, kochanie.

Czułe słowa przyprawiły ją o rumieniec. Spuściła wzrok na jego koszulę, która pachniała proszkiem do prania, dymem papierosowym i wodą kolońską. Shelby czuła się cudownie w jego objęciach. Gdyby jeszcze mogła mu wytłumaczyć, dlaczego się go boi...

Zaniósł ją do jej pokoju i położył na łóżku, wodząc stęsknionym wzrokiem po biało - czerwonej sukni, która przyklejała się do ciała we właściwych miejscach. Nie była wydekoltowana, ale eksponowała piersi w najlepszy możliwy sposób.

Patrząc na minę Justina, Shelby zmarszczyła czoło.

- O co chodzi? - spytała zmęczonym głosem. Justin ocknął się.

- O nic. Zaraz przyślę tu Marię z brandy. A ty lepiej weź gorącą kąpiel, potem zawiozę cię do lekarza, żebyśmy mieli absolutną pewność, że nie masz żadnych obrażeń.

Shelby usiadła, wytrzeszczając oczy.

- Justin, nic mi nie jest, nie słyszałeś?

- Nie jesteś lekarzem, ja też nie. Przeżyłaś wstrząs, byłaś bliska szoku. Pośpiesz się i przebierz. Włóż coś - zawahał się - mniej seksownego.

Shelby uniosła brwi.

- Słucham?

- Zadzwoń od lekarza, a ty się wykąp. Patrzyła za nim osłupiała.

Zamknął drzwi, nie zwracając uwagi na jej protesty. No tak, jak zwykle on rządzi. Miała ochotę rzucić czymś o ścianę. Wybuchnęła płaczem, zdesperowana i bezradna, i podreptała do łazienki. Czuła się, jakby ktoś jej podciął nogi.

Po kąpieli wysuszyła włosy i włożyła białą bluzkę i popielatą spódnicę, które rozjaśniła szaro - czerwona apaszka. Zastanawiała się, dlaczego Justin kazał jej założyć coś mniej seksownego, i po chwili zdała sobie sprawę, że widocznie wygląda dla niego seksownie w biało - czerwonej sukni. Uśmiechnęła się z fałszywą skromnością. Po raz pierwszy od dnia ich ślubu jej mąż przyznał, że uważają za atrakcyjną.

Sięgnęła po kieliszek z odrobiną brandy, którą Maria zostawiła dla niej na stoliku, i sączyła ją w milczeniu. Pocałowała go, a on będzie się szarpał z tego powodu do końca życia. Czuła wciąż niebezpieczną, szorstką słodycz jego warg. Pozwolił jej przecież na to. Nie pozbawił jej chwilowej władzy. Ściągnęła znowu brwi w namyśle.

Pukanie do drzwi przerwało jej te roztrząsania. Gdy otworzyła, Justin był już zniecierpliwiony.

- Lekarz czeka, chodźmy. - Odebrał jej kieliszek, odstawił na toaletkę i wyprowadził Shelby z pokoju.

Lekarz, z którym umówił się Justin, czekał na nich na oddziale nagłych wypadków. Shelby denerwowała się, ponieważ od wypadku w Szwajcarii nie była w szpitalu, poza jedną wizytą u doktora Simsa, by zrobić badania przedmażeńskie. Ale to nie był doktor Sims. Stał przed nią młody lekarz o nazwisku Hays, uprzejmy i bezpośredni, i wyraźnie odrobinę rozbawiony irytacją i niepokojem Justina.

- Przez kilka dni będzie pani trochę sztywna, ale na pewno mąż usłyszy z ulgą, że nie odniosła pani żadnych trwałych obrażeń - poinformował, skończywszy badanie i zadawszy jej wiele pytań. - Jeszcze jedno, czy to możliwe, żeby była pani w ciąży? - spytał cicho, a jego zainteresowanie wzrosło, gdy Shelby zaczerwieniła się, a Justin odwrócił twarz. - Podobne doświadczenie mogłoby okazać się ryzykowne...

- Nie jestem w ciąży - odparła natychmiast.

- No to świetnie. Dam pani jakiś środek na rozluźnienie mięśni. Proszę go zażyć, gdyby czuła pani taką potrzebę. Może pani też wziąć środek przeciwbólowy bez aspiryny, i przyda się pani jutro więcej odpoczynku. Oczywiście, jeśli pojawią się jakieś problemy, proszę się ze mną skontaktować.

Shelby podziękowała lekarzowi, Justin burknął coś pod nosem i wyszli z gabinetu, by zapłacić rachunek. Kiedy siedzieli już w samochodzie, dochodziła ósma i zrobiło się ciemno.

Justin nie odzywał się przez całą drogę. Shelby domyślała się powodu jego milczenia. Było to naturalnie pytanie lekarza o jej ewentualną ciążę. Justin poczuł się zażenowany i zapewne także zły, ponieważ to właśnie ta sfera życia stanowiła kość niezgody między nimi.

- Szkoda, że mu nie powiedziałaś, że zasłużyłabyś sobie na wpis do *Księgi rekordów Guinnessa*, gdybyś zaszła w ciążę - rzucił naraz przez zęby, parkując samochód na podjeździe.

Shelby ścisnęła torebkę. Teraz, kiedy napięcie po wypadku opadło, czuła jedynie zmęczenie i ból.

- Co zrobiłeś z moim samochodem? Nie widziałam go na drodze, kiedy mijaliśmy skrzyżowanie.

- Chyba nie chcesz o tym rozmawiać.

- To o czym mamy rozmawiać? Że jestem oziębła? A może chcesz rozwodu?

- Chcę mieć żonę - odparł szorstko. - I dzieci.

- Włożył papierosa do ust. - Bardzo chcę mieć dzieci, Shelby - powtórzył nieco łagodniejszym tonem.

Nigdy dotąd nie poruszali tej kwestii, może poza początkiem ich znajomości. Shelby oparła głowę o fotel, wlepiając wzrok w torebkę na kolanach.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja też chcę mieć dzieci.

Justin obrócił się ku niej, napotykając jej przygnębiony wzrok. Jego oczy miary w sobie ciszę.

- I jak zamierzasz to osiągnąć bez niczyjej pomocy?

- Boję się - oznajmiła, bo była tym razem za bardzo zmęczona, by coś wymyślać, by szukać jakichś wymówek czy usprawiedliwień.

Zapadło milczenie, i to na dłuższą chwilę.

- Rodzenie dzieci nie jest już tak straszne jak dawniej - powiedział, zaczynając od złego końca. - Są lekarstwa, które uśmierzają ból. Zresztą to nie musi być od razu - dodał, przenosząc wzrok za okno, jakby był zażenowany tematem rozmowy.

I pewnie tak było. Shelby pamiętała, że zawsze z trudem przychodziło mu rozmawiać o takich rzeczach jak ciąża. Nigdy też nie podejmował podobnych tematów w mieszanym towarzystwie. Na swój sposób był równie powściągliwy jak ona. I za to właśnie między innymi tak bardzo go kochała.

Kiedy Justin zaciągnął się i wypuścił dym, na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy.

- Możesz porozmawiać z lekarzem, żeby coś brać - dodał, spięty do niemożliwości. - Albo ja coś zrobię. Nie musisz zająć w ciążę, jeśli nie chcesz. Nie będę cię zmuszał do rodzenia.

Poczerwieniała jak piwonia i uciekła spojrzeniem za okno. Ręce jej się trzęsły, były zimne jak lód, kiedy wreszcie uprzytomniła sobie, o czym Justin mówi. Zakaszła, żeby zyskać na czasie.

- Ja... możemy już wejść do środka? - spytała szeptem. - Jestem zmęczona i wszystko mnie boli.

- Dla mnie to też nie jest łatwy temat - przyznał cicho. - Ale chciałem, żebyś wiedziała. Żebyś sobie przemyślała. Jeśli to dlatego nie pozwalasz mi się dotknąć...

- Och, dosyć już! - Schowała twarz w dłoniach.

- Wybacz. Nie powinienem był nic mówić. - Wsiadł z samochodu i okrążył go, żeby jej otworzyć drzwi.

Szła obok niego po stopniach ganku, zażenowana z powodu swojej reakcji.

- Idź od razu na górę i wyśpij się dobrze - powiedział obojętnie, jakby zwracał się do obcej osoby. - Poproszę Marię, żeby ci przyniosła gorącą czekoladę. Masz ochotę coś zjeść?

- Nie, dziękuję. - Przystanąła u stóp schodów i pogłaskała balustradę. Nie miała jeszcze ochoty rozstawać się z Justinem. Popatrzyła na niego z beznadziejną tęsknotą w oczach i dotkliwym wstydem w sercu.

- Zrobiłam błąd, zgadzając się na ten ślub. Nie chciałam cię unieszczęśliwić.

Justin zacisnął zęby.

- Ja też nie chciałem cię unieszczęśliwić, ale tak się stało...

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co zrobiłeś z moim samochodem - zauważyła po chwili wahania. - Mogę go dostać z powrotem?

- Jasne - rzekł, podnosząc głowę. - Możemy go wykorzystać jako popielniczkę albo nowoczesną rzeźbę.

Shelby uniosła brwi.

- Nie rozumiem.

- Ten kawał metalu ma teraz około dwunastu centymetrów grubości i metr dwadzieścia długości. Trochę za duży na popielniczkę, ale może służyć jako oryginalna dekoracja na ścianę.

- O czym ty mówisz? Co z nim zrobiłeś?

- Dałem go staremu Doyle'owi.

Shelby lekko przechyliła głowę, kiedy uprzytomniła sobie w końcu, co to znaczy.

- Doyle to właściciel złomowiska.

Na twarz Justina wypłynął słaby uśmiech.

- No. I ma nowiutki zgniatacz, taką wielką maszynę, która zamienia stare wozy w metalowe bloki.

Shelby poczerwieniała.

- Zrobiłeś to celowo?

- Masz świętą rację - przyznał z wyzywającym błyskiem w oku. - Gdybym go odstawił z powrotem na parking, nie miałbym pewności, czy nie polecisz tam rano i znowu go nie kupisz. A w ten sposób - dodał, naciągając kapelusz na oczy - mam absolutną pewność.

- Ja i tak muszę im zapłacić! To mnóstwo pieniędzy!

- Na pewno jakoś się wytłumaczysz towarzystwu ubezpieczeniowemu. - Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. - Ciśnienie atmosferyczne było nie takie? Atak termitów?

Już miała mu odpowiedzieć, kiedy zakręcił się na pięcie i poszedł do kuchni.

Ruszyła więc na górę, wręcz płonąć nienawiścią. Głowa jej pękała od pytań i zmartwień.

Początkowo nie chciała wziąć tabletki, ale z upływem nocy ból się wzmagał. W końcu więc poddała się, popijając lekarstwo łykiem wystygłej czekolady. Włożyła popielatą satynową piżamę i schowała się pod kołdrę. Po kilku minutach wreszcie spała.

Ale zaraz potem napłynęły sny, a w nich wielokrotnie powracał obraz jej samej w sportowym samochodzie. Gnała płynnie jakąś alpejską drogą w Szwajcarii, aż dotarła niemal na sam wierzchołek góry. I wtedy trafiła na zamrożoną kałużę i całe jej doświadczenie kierowcy okazało się nic niewarte. Samochód tym razem koziołkował. Toczył się i toczył. A ona spadała w dół z białej góry, z niebem i śniegiem w złowieszczym tle, krzycząc wniebogłosy...

Wtem czyjeś ręce uniosły ją z poduszki i delikatnie, choć zdecydowanie nią potrząsnęły.

- Wszystko w porządku - mówił ktoś. - Obudź się, Shelby. Coś ci się śniło.

Przebudziła się, jakby ktoś zapalił lampkę w jej głowie. Justin trzymał ją za ramiona, patrząc na nią zaniepokojony.

- Samochód... - wyszeptała półprzytomnie. - Spadał z góry...

- To był tylko sen, maleńka... - Poglaskał jej splątane włosy, odgarniając je z rozpalonych policzków. - To tylko sen, jesteś bezpieczna.

- Zawsze byłem z tobą bezpieczna - wyrwało jej się, kiedy oparła głowę o jego ramię.

Westchnęła ciężko. Jej policzek przesunął się w dół. Justin zamarł, a ona uświadomiła sobie, że przytula się do jego nagiej skóry.

W pokoju paliło się światło. Justin ze zwichrzonymi włosami siedział na brzegu łóżka. Omal nie straciła przytomności, kiedy oderwała policzek od jego piersi, ale zaraz przekonała się, że Justin jest nagi tylko od pasa w górę. Nie musiała się jednak dokładnie przyglądać, by wiedzieć, że nie ma nic pod spodniami od piżamy, i od razu poczuła się zagrożona.

- Wzięłaś te tabletki, które dał ci lekarz? - spytał cicho.

- Tak. Przestało mnie boleć, za to miałam koszmary. - Zaśmiała się nerwowo. Odgarnęła do tyłu włosy, patrząc z lękiem na Justina. - Obudziłam cię?

- Niezupełnie. - Westchnął. - Ostatnio kiepsko sypiam. Usłyszałem twój krzyk.

Ona też nie spała najlepiej, i zapewne z tego samego powodu. Objęła kolana ramionami, przyciągając je, żeby położyć na nich czoło.

- Dzisiejszy wypadek przypomniał mi tamten wypadek w Szwajcarii - mruknęła sennie. - Miałam wtedy wstrząs mózgu i to traciłam, to odzyskiwałam przytomność. - Potarła czoło o miękką satynę piżamy. - Powiedzieli mi potem, że jak mnie przywieźli do szpitala, to dzień i noc cię wzywałam - wyznała, zupełnie tego nie planując.

- Mnie, a nie swojego kochanka?

- Nigdy nie miałam kochanka - odpowiedziała automatycznie.

- Pewnie. A ja jestem chińskim cesarzem. - Wstał, patrząc na nią ze złością.

Wyglądała ślicznie. Nigdy się jakoś nie zastanawiał, w czym sypia, ale teraz był pewny, że nic innego by dla niej nie wybrał. Bluzka miała głęboki dekolt, pozwalając mu zerknąć na jej pełne piersi, zanim się całkiem obudziła. Nie były duże, ale o idealnym kształcie, jeśli sądzić po wypukłości pod bluzką. Odwrócił szybko głowę.

- No to chyba wrócę już do siebie i spróbuję zasnąć. Mam jutro wcześniej rano spotkanie w banku.

Odprowadzała go głęboko zasmuconym wzrokiem. Dziеляcy ich dystans rósł dosłownie z każdą chwilą, a ona miała wrażenie, że z każdym dniem bardziej unieszczęśliwia Justina.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała. Przystanął z ręką na klamce.

- Wiem, że prędzej byś umarła - zaczął powoli - ale jeśli jeszcze raz się tak przestraszysz, możesz spać ze mną. - Zaśmiał się cierpko. - Nic ci nie grozi z mojej strony, jeśli to cię niepokoi. Nie będę narażał mojego ego po raz drugi.

Wyszedł, zanim zaprotestowała. Chyba nie czuła się jeszcze tak fatalnie.

A przecież wystarczyłoby dopuścić go do swojego sekretu. Na Boga, ma dwadzieścia siedem lat! Tak, była obsesyjnie chroniona przez swojego zaborczego ojca. Nigdy, aż do dnia zaręczyn, nikt jej naprawdę nie całował. Ciekawe, czy Justin to wie?

Zapewne nie, uznała. Wstała z łóżka, zapaliła światło, które Justin zgasił, wychodząc, i ruszyła do drzwi. Może nadszedł czas, by się wreszcie dowiedział.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie przyszło jej tylko do głowy, że trzecia nad ranem to nie jest najlepsza pora na dzielenie się sekretami z mężczyzną, który od dnia ślubu usycha z fizycznej tęsknoty. Uprzytomniła to sobie dopiero, stając na bosaka w holu, przed drzwiami Justina. Zawahała się. W jego sypialni wciąż paliło się światło, ale panowała tam kompletna cisza.

Ściągnęła brwi, rozważając co dalej, i z westchnieniem odsunęła do tyłu samowolne kosmyki.

- Nie ma go tam - szepnął ktoś rozbawiony za jej plecami.

Obróciła się i zobaczyła przed sobą Justina z małą metalową miarką whisky.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Siedzę, jak grasujesz po domu. Jakie miałaś plany? Wtargnąć tam i zgwałcić mnie?

Shelby wybuchnęła śmiechem, który wydostawał się radośnie z jakiegoś nieznanego jej miejsca, a jej oczy skrzyły się.

- Nie wiem - przyznała.

Taka była ładna, kiedy się śmiała. Zresztą zawsze, w ogóle jest ładna. Uniósł z żalem miarkę z alkoholem.

- Myślałem, że pomoże mi zasnąć.

- Obawiam się, że mnie nic nie pomoże. - Przeszepowała z nogi na nogę, z pełną świadomością, że Justin się jej przygląda, a jej serce wali jak przysłowiowy dzwon.

- Chcesz spać ze mną? - spytał.

- To nie jest jedyny powód, dla którego tu przyszłam. - Podniosła wzrok, zaczerwieniona, i zaraz znowu wbiła go w swoje białe stopy. - Czy wiesz, że nikt przed tobą nie całował mnie tak... zmysłowo?

- Zeszłaś na dół o trzeciej w nocy, żeby przekazać mi tę informację?

Wzruszyła ramionami.

- Dla mnie to ważne. - Spojrzała na niego ze smutkiem. Jej oczy wodziły po jego twarzy, jego wargach, szerokiej klatce piersiowej. - Niebywałe - mruknęła zafascynowana.

- Co? - Zmarszczył czoło, widząc, jak jej spojrzenie ślizga się po nim. Zaczęło go to denerwować.

- Że nie musisz przeganiać kobiet ze swojej sypialni kijem od szczotki - dokończyła matowym głosem.

- Zaglądałaś może do karafki z brandy?

- Pewnie na to wygląda, co? - Podniosła wzrok, patrząc mu w oczy. - To mogę z tobą spać? Jestem taka roztrzęsiona. Jeżeli... - Odkasznęła i odwróciła wzrok.

- Jeżeli ci to nie przeszkadza, oczywiście. Nie chciałabym jeszcze bardziej pogarszać sytuacji.

- Chyba nie może być gorzej - odparł spokojnie.

- Dobra. Właż.

Nigdy dotąd nie była w jego sypialni, chociaż mijala ją wiele razy i zaglądała przez drzwi zaciekawiona.

Pokój umeblowany był antykami, tak jak pokoje w jej rodzinnym domu. Była ciekawa, czy pochodzą od jego dalekich przodków, czy odziedziczył je po rodzicach. Poglądziła wysoką kolumnę podtrzymującą baldachim łóżka, podziwiając wypolerowane drewno i pościel w brązowo - beżowe paski.

- Nie wiedziałam, że masz kolorową pościel - zauważyła mimochodem. - Maria mówiła, że nie lubisz takiej.

- Nie znoszę - rzucił krótko. - To Maria lubi kolorową pościel. Zaklina się, że pogubiła wszystkie białe poszwy i prześcieradła i musiała je czymś zastąpić. Wskakuj.

Odchylił kóldrę, potem zgasił światło i wrócił do łóżka. Materac zapadł się pod jego ciężarem, kiedy siadł, kończąc whisky.

- Justin, hm, śpisz w spodniach od piżamy? - spytała, wdzięczna za ciemność, która kryła jej rumieńce.

- O mój Boże! - Justin zaśmiał się.

- Nie musisz się od razu ze mnie śmiać - mruknęła, poprawiając poduszkę.

- Zawsze sądziłem, że jesteś wyzwoloną dziewczyną, która ciągnie za sobą łańcuszek mężczyzn, pije szampana i nosi brylanty.

- No to przeżyjesz szok - mruknęła. - Zanim cię poznałam, spotykałam się z jednym chłopakiem, który raz odważył się chwycić mnie w pasie i dostał za to po łapach. Mój ojciec miał obsesję, żebym zachowała dziewictwo, dopóki nie uda mu się sprzedać mnie z zyskiem. Ale ty, oczywiście, uważasz go za jakiegoś świętego.

Justin zapalił światło. Jego oczy przybrały najciemniejszy z możliwych odcień czerni i zatrzymały się na jej rozpalonych policzkach.

- Zgaś, proszę, jeśli mam mówić o takich rzeczach. Nie jestem w stanie na ciebie patrzeć.

- Świętoszka - oskarżył ją żartobliwie.

- I kto to mówi!

Wyłączył światło. Shelby poczuła pod sobą ruch materaca, Justin położył się w końcu i naciągnął kołdrę na biodra.

- No dobra. Mów, skoro chcesz pogadać.

- Ojciec nigdy nie chciał mnie wydać za ciebie, odgrywał tylko przed tobą przyszłego szczęśliwego teścia - oznajmiła. - Chciał, żebym poślubiła stajnie wyścigowe Toma Wheelora, żeby mógł połączyć je ze swoimi i wyjść z długów.

- To gorzka pigułka do przełknięcia, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co wiem o twoim ojcu. - Pamiętał, że to pieniądze ojca Shelby uratowały rodzinny interes Ballenegerów. Ciekaw był, czy Shelby o tym wie, i mało brakowało, a powiedziała by jej to teraz, słysząc jej westchnienie.

- Tak czy inaczej, to fakt. Ojciec był gotów zrujnować cię, gdybyś nie poszedł mu na rękę, kiedy wymyślił tę historyjkę z Tomem Wheelorem.

- Sama przyznałaś, że z nim spałaś - przypomniał jej i spoważniał. - A ja wiem, jak bardzo nie chciałaś tego zrobić ze mną.

- Ale nie z powodu wstępu.

- Czyżby?

Zanim spróbowała go przekonać, Justin przesunął się i przyciągnął ją do siebie. Odszukał w ciemności jej usta i całował je, zapominając o całym świecie. Jej usta domagały się rzeczy, które ją samą przerażały. Lecz gdy Justin wsunął kolano między jej nogi, natychmiast zeszytywniała i odepchnęła go z całej siły.

Puścił ją bez słowa i zerwał się z łóżka. Zapalił światło. A gdy się odwrócił, jego oczy płonęły.

- Wynoś się!

Zrozumiała, że nie czas się tłumaczyć, że nie potrafi powiedzieć nic, co by go uspokoiło. Gdyby zaczęła teraz dyskusję albo próbowała załagodzić sytuację, mogłaby najwyżej wywołać coś gorszego, co okaleczyłoby ją o wiele bardziej niż jego pożądanie.

Podniosła się z łóżka z oczami pełnymi łez i wyszła z jego sypialni. Nie oglądała się za siebie. Zamknęła cicho drzwi i nie ustając w płaczu, powlokła się po schodach na dół.

Gabinet Justina był pusty. Zapaliła tam światło, podeszła do barku i trzęsącymi się rękami wyciągnęła karafkę z brandy. Nalała sobie i zakręciła płynem w kieliszku. Miała ochotę skoczyć z dachu, ale może to jej wystarczy.

Dom odpoczywał w ciszy, a jej głowa pękała. Dlaczego Justin nie potrafi zrozumieć, że przeraża ją takie gwałtowne zbliżenie? Dlaczego jej nie słucha?

Odrzuciła go, oto dlaczego. Ale gdyby tego nie zrobiła... Zamknęła oczy, drżąc na całym ciele. Sama myśl o tym wywoływała w niej paniczny lęk.

Na niepewnych nogach doczłapała się do sofy i klapnęła na niej zgarbiona, opierając czoło o brzeg kieliszka. Łzy kompletnie ją oślepiły. Piła i piła, aż wreszcie alkohol zaczął usypiać jej nerwy.

Kiedy zdała sobie sprawę, że nie jest już sama, nawet nie podniosła głowy.

- Wiem, nienawidzisz mnie - powiedziała głucho.

- Nie musiałeś się fatygować, żeby mi to oświadczyć.

Justin skrzywił się, widząc łzy na jej twarzy. Jego duma po raz wtóry doznała uszczerbku, mimo to jej łzy także go raniły.

Nalał sobie whisky i przycupnął na skraju stolika naprzeciwko Shelby.

- Siedziałem tam i wyzywałem cię od najgorszych - odezwał się po chwili. - Aż dotarło do mnie, co powiedziałaś, że nigdy żaden facet przede mną nie całował cię w taki sposób.

- I tak dla ciebie jestem dziwką - stwierdziła z goryczą. - Bo spałam z Tomem, i nawet ci o tym powiedziałam.

- Przecież dopiero co twierdziłaś, że twój ojciec mnie okłamał. - Zmrużył oczy, pociągnął łyk whisky i odstawił szklanekę. Przyklęknął przed Shelby, patrząc jej w oczy. - Pocałowałaś mnie, zaraz po wypadku. Nie bałaś się mnie wtedy. I nie czułaś odrazy. Shelby, zrobiłaś to sama, z własnej woli, pamiętasz?

A więc nareszcie zaczynał pojmować. Westchnęła przygnębiona.

- Tak - rzekła w końcu. - Wtedy się nie bałam.

- Ale wcześniej - ciągnął, a w jego oczach zjawily się błyski zrozumienia - zachowywałem się zbyt porywco, kiedy chciałem się z tobą kochać.

Poczerwieniała, uciekając wzrokiem w bok.

- Tak.

- A więc bałaś się samego zbliżenia, a nie ciąży.

- Zdobył pan sto punktów na sto możliwych - mruknęła z wymuszonym rozbawieniem.

Justin westchnął, patrząc, jak Shelby ściska swój kieliszek. Zabrał go z jej rąk i postawił na stoliku.

- Wstań.

Przestraszyła się, czując, że Justin ją podnosi. Przesunął ją na bok i sam wyciągnął się na poduszkach.

- A teraz usiądź.

Posłuchała go z ociąganiem, ponieważ nie skojarzyła zupełnie, do czego on zmierza. Justin tymczasem wziął ją za rękę i przyłożył jej dłoń do swojej piersi.

- Pomyśl sobie, że jestem królikiem doświadczalnym, który dobrowolnie się poświęca. Zrobimy miłowy krok w procesie edukacyjnym.

Otworzyła usta, zdając sobie nagle sprawę, co planuje jej mąż. Spojrzała na niego z zaciekawieniem i wstydem.

- Ale ty... ty tego nie lubisz - zauważyła trafnie, bo w przeszłości to on zawsze prowadził i nie zachęcał jej do samodzielności w tej sztuce.

- Chcę się tego nauczyć - wyznał szczerze. - Jeśli dzięki temu zbliżysz się do mnie, z wielką chęcią oddam ci kierownicę.

Łzy cisnęły się jej znów do oczu.

- Odpowiada ci to? - spytał z przepelnionym czułością wzrokiem. - Będziesz się ze mną kochać?

Łzy wylały się ostatecznie z jej oczu i potoczyły wartko po policzkach.

- Chciałam ci powiedzieć - łkała - ale tak się wstydziłam...

- Wszystko w porządku. - Przykrył swoją dużą dłonią jej rękę, gładząc błękitne żyłki przeświecające przez jej jasną skórę. - Powinno to wcześniej do mnie dotrzeć. Nie zrobię ci krzywdy. Nigdy nie zrobię ci krzywdy.

Roześmiała się raptem przez łzy. Była zdumiona, że Justin w końcu sam odkrył prawdę. Z mokrym uśmiechem pochyliła się nad jego gorącymi wargami i dotknęła ich swoimi.

Justinowi zdawało się, że serce mu pęknie. Bóg jeden wie, dlaczego wcześniej nie potrafił jej zrozumieć. Widocznie Wheelor ją skrzywdził, a to odrzuciło ją od ponownych prób zbliżenia. Co prawda myślał, że to inny mężczyzna był jej pierwszym, bardzo mu doskwierała, ale nie mógł przecież stać z boku i przypatrywać się, jak Shelby wykańcza się psychicznie. Muszą zacząć od czegoś budować wspólne życie, a to jest chyba najlepszy fundament.

Jej miękkie wstydlive wargi zaskakiwały go miło. Nie była mistrzynią całowania, on zaś dość długo był sam, lecz dawniej, kiedy był młodszy, brak urody amanta nie przeszkodził mu w zdobyciu niejakiego doświadczenia. Wiedział, co należy robić z kobietą, chociaż rozmowy na ten temat krępowały go.

Nie dotykał jej. Tak jak obiecał, leżał, znosząc męczarnie i pozwalając jej ustom bawić się jego wargami.

- Przytul się do mnie - wyszeptał. - Jesteś bezpieczna, nie bój się.

- Czy to cię boli?

- Jak mnie zaboli, na pewno ci powiem - obiecał. Skłamał, bo już go wszystko bolało.

Shelby zmieniła pozycję, jej piersi spoczęły na jego klatce piersiowej, ale nogi trzymała skromnie obok jego nóg.

Teraz poznawała wargami jego twarz, a jej dłonie dotykały jego włosów. Śmiała się z czystej radości, jaką dawała jej ta nowa wolność. Wolność dotykania go tak, jak marzyła po tylu samotnych latach.

Justin otworzył oczy i patrzył na nią zaintrygowany.

- I po co to wszystko było?

- Gdybyś wiedział - zaczęła - jak długo o tym marzyłam.

- Mogłaś mi przecież powiedzieć.

- Nie mogłam. - Dotknęła jego piersi. - Peszy mnie to. - Idąc za nagłym impulsem, pochyliła się i musnęła wargami jego pierś. - Justin, tak potwornie za tobą tęskniłam.

- Ja też za tobą tęskniłem - rzekł ochryłym głosem. - Boże, Shelby, nie mogę... - Zacisnął zęby.

Spojrzała na niego uważnie.

- To dla ciebie za mało, prawda? - spytała z wahaniem. - Pewnie jestem dosyć zielona.

- Chcę cię dotykać - wydyszał. - Chcę położyć cię na plecach i zrzucić z ciebie tę bluzkę, która mi stoi na drodze.

Shelby spłoszyła się.

- Jeśli nad sobą nie zapanujesz, znowu będzie tak samo jak na górze - oznajmiła. - Znowu będę się bała.

- Przysięgam na Boga, że do niczego nie dojdzie. Nawet gdybym musiał wybiec w noc z głośnym krzykiem.

Uwierzyła mu, zdała się na niego. Była to prawdopodobnie najtrudniejsza decyzja w jej życiu. Przełknęła głośno ślinę i ostrożnie przemieściła się, kładąc się na plecy. Pilnie obserwowała przy tym jego ruchy.

- Zaufanie nie przychodzi ci łatwo? - spytał.

- To prawda. - Patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu. - Mogłam dziś po południu zginąć. Nie wychodzi mi to z głowy. W obliczu śmierci wszystko staje się takie nieważne. Myślałam tylko o tobie, o tym, że zostawiam cię z takim ponurym wspomnieniem.

- Studiowała opuszkami palców jego wargi. - Pragnęłam cię, kiedy pozwoliłeś mi się pocałować. Chciałam wiedzieć, czy potrafię przestać się bać. Ale tam na górze, kiedy mnie tak mocno chwyciłeś, dosłownie rozpadłam się na kawałki.

- Teraz już tego nie zrobię. - Pochylił się, muskając jej usta. Potem lekko je przygryzł, aż powoli zaczęła powtarzać za nim to samo. Czuł jej przyspieszony oddech. I wtedy jego palce zaczęły śledzić wzór na jej bluzie od pizamy. Początkowo zamarła, ale był taki delikatny, i niczego nie żądał.

- W porządku? - spytał, dodając jej otuchy.

To było coś nowego. Jej oczy uśmiechnęły się do niego.

- W porządku.

Spuścił wzrok na jej piersi. Kiedy położył palec na jednej z nich, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Podobało mu się to. A więc zrobił to raz jeszcze. Tym razem Shelby uniosła się do góry.

- Pięknie - powiedział zachęcająco, nie pozwalając jej uciec spojrzeniem. - Powtórz to. Posłuchała go, ale tylko dlatego, że nie mogła mu się oprzeć.

- Czuję się... dziwnie - szepnęła. - Jakbym miała gorączkę.

- Ja też. - Połaskotał wargami jej usta, które się zaraz rozchyliły. - Powiedzieć ci, co teraz zrobię?

- Tak - poprosiła z ustami przy jego ustach.

- Teraz rozepnę twoją bluzkę od pizamy.

Kiedy poczuła jego palce wyłuskujące guziki z dziurek, przestała na moment oddychać. Zaraz potem materiał rozchylił się i Justin powoli zsunął jej bluzkę z ramion. Ściągnął ją do wysokości jej piersi i zajął Shelby w oczy, zauważając w nich przelotny wstyd wywołany podnieceniem, którego nie zdołała przed nim ukryć.

- Jesteś taka drobna - stwierdził, wodząc palcem po jej skórze. - Lubię, kiedy kobieta jest taka drobna.

Zadrzała, słysząc, jak to powiedział, czując jego dłonie, które przemieszczały się w górę i w dół, zatrzymując się przelotnie tuż obok twardego bolesnego wznórka. A gdy go dotknął, zadrzała jeszcze mocniej. Zrobił to znowu, a ona jęknęła. Potem muskał nosem czubek jej nosa. Ich oddechy wymieszały się, jego oddech pachniał tytoniowym dymem.

- Chcesz tego, prawda? - spytał.

Zaczął ją na nowo głaskać. Shelby krzyknęła. Przestraszyła się swojego krzyku, przełknęła głośno i zwilżyła wargi językiem.

- Zachowujesz się - szepnął jej do ucha, odsuwając zmysłowym ruchem na bok pory jej bluzki - jak dziewczica ze swoim pierwszym mężczyzną. - Ściągnął z niej satynowy materiał i gdy spojrział w dół, zabrakło mu tchu.

- Naprawdę ci nie przeszkadza... że jestem szczupła? - usłyszała swój własny szept.

- Boże mój, nie - odparł. Patrzył jej w oczy, a jego palce pomykały po jej gładkiej skórze. - Czy pozwolisz, że dotknę ich wargami?

- Tak.

Z uśmiechem na twarzy pochylił nad nią głowę. Wygięła się w łuk przy jego pierwszym muśnięciu. Przez całe życie nie wyobrażała sobie nawet, że dotyk może sprawić taką rozkosz. Wplotła palce w jego gęste włosy i trzymała go mocno przy sobie.

Justin czuł i widział jej reakcje, i chyba nawet je rozumiał. To była właśnie nagroda, na którą tak długo czekał. Jego dłonie gładziły jej biodra i płaski brzuch, jakby ta kobieta zawsze do niego należała. A ona uwielbiała tę powolną czułość jego szorstkich rąk na swoim ciele.

Gdy ją pieścił, bezradnie ścisnęła jego ramiona. Szeptwała jakieś kompletnie nieodgadnione słowa, błagając go sama nie wiedząc o co. Wreszcie wbiła lekko zęby w jego ramię. Kiedy uniósł głowę, ledwie go widziała. Zdawało jej się, że miał uśmiech na twarzy, i zaraz zaczął ją całować. Potem poczuła w ustach jego język. Objęła go za szyję, przylepiona do niego całym ciałem. Jak przez mgłę zauważyła, że zniknęły gdzieś jego spodnie od pizamy, ale mimo to nie poprosiła, by przestał.

- To się teraz stanie - szepnął jej do ucha, a jego kolano wsunęło się między jej nogi. - Nie zrobię ci krzywdy. Nie będę się spieszył. Możesz powstrzymać mnie, jeśli chcesz. Zrobimy to tak delikatnie, żebyś się mnie nie bała. A teraz leż spokojnie i zaufaj mi... jeszcze przez kilka sekund.

Wstrząsana dreszczami, tak jak on zresztą, niczego tak nie pragnęła, jak tego, by mu się oddać. To Justin, jej mąż, a ona kocha go nad życie. Chciała dać mu wszystko, swoje ciało wraz ze swoim sercem.

- Justin - szepnęła, patrząc, jak jego twarz tężeje. Poczowała jego pierwsze dotknięcie i przez moment chciała uciec.

- Cii - szepnął. - Będę na ciebie patrzył. I jeśli sprawię ci choć najmniejszy ból, zaraz to zobaczę.

Światło wciąż się paliło. Ale ona nie widziała nic prócz jego twarzy. Czowała wyłącznie jego szybki oddech na policzkach. Mimo to nie bała się ciężaru jego ciała, choć przygniatał ją do poduszek. Należał do niej, i właśnie...

Poczuła ból, jakby ktoś wbił w nią rozpalony nóż. Wczepiła się w Justina, wytrzeszczając oczy, i zapłakała głośno.

Oczy Justina pociemniały, zamarł nad nią niczym postać z brązu. Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Poruszył się w niej znowu i patrzył, jak Shelby marszczy twarz.

- Wybacz - szepnęła. - Nie przestawaj - prosiła. - Wszystko jest dobrze, myślę, że mogę... to znieść...

- Mój Boże!

Justin poderwał się i usiadł plecami do niej.

- Mój Boże, Shelby!

- Justin, nie musisz... nie musisz przerywać - szeptała, przygryzając wargi.

Nie słuchał jej już. Schował głowę w dłoniach. Zaraz potem sięgnął po szklanekę, w której uchował się jeszcze ryk alkoholu, i o mały włos nie wylał go, zanim trafił do ust. Wreszcie podniósł się, a Shelby poczerwieniała i odwróciła głowę, by nie patrzeć na jego męskość.

- Przepraszam. - Wkładał niezdarnie spodnie od pizamy. Stał potem zapatrzony w nią, aż miała ochotę zniknąć.

Nie pozwolił jej na to. Wyciągnął się, żeby wziąć ją na ręce. Utulił ją i usiadł z nią na fotelu, szepcząc czułe słowa do jej ucha. A ona nic tylko wylewała łzy.

Kiedy wreszcie przestała, osuszył jej oczy chusteczką. Przytuliła policzek do jego piersi.

- Jesteś moją żoną - powiedział, komentując jej zażenowanie. - To normalne, że widzę cię nago.

Skuliła się i przylgnęła do niego jeszcze bardziej.

- Tak, chyba tak. Tylko to dla mnie takie... nowe.

- Mój Boże, wiem, wiem.

Rozpoznała w jego głosie nieomylną nutę. Podniosła głowę, odsłaniając piersi. Justin zmusił się, żeby patrzeć jej w oczy i nie spuszczać wzroku.

- Moja niewinna panna młoda - powtarzał lekko schrypniętym głosem. Z wahaniem, nieledwie z szacunkiem dotknął jej piersi. - Och, Shelby, Shelby!

- Ja... doktor Sims zrobił mi drobny zabieg, ale marudził, że tylko na tyle się zgodziłam - przyznała, kryjąc przed nim wzrok. - Pewnie to było jednak za mało... - Jej twarz spurpurowiała.

- To dlaczego nie pozwoliłaś mu zrobić, jak uważał?

- Żebym mogła ci udowodnić, że nie spałam z Tomem - odparła po prostu.

- Mój ty głuptasie! - Uniósł jej głowę, patrząc jej w oczy. - Gdybym nie poszedł za tobą, albo gdybym nie stracił głowy... Boże, nawet nie mogę o tym myśleć!

- Justin, to zmniejszyłoby ból... - zaczęła onieśmiewiona.

- I to jak by zmniejszyło. - Odchylił się z głośnym westchnieniem. - Wiem, że jestem zwiastunem złych wiadomości, kochanie, ale powinnaś wrócić do doktora Simsa, żeby dokończył zabieg.

- Ale...

- Niewielki ból to jedno, ale ty tam masz całkiem solidny dowód - oświadczył. Poruszył się zakłopotany o wiele bardziej niż ona, próbując jej to wyjaśnić. Przytulił jej głowę do swojej piersi i pochylił się, żeby ją pocałować. - Ubierz się, a ja naleję ci brandy.

Nieporadnie wkładała z powrotem piżamę, a on napełniał jej kieliszek brandy, a swoją szklanekę whisky, a następnie zaczął szukać papierosów.

Shelby wiedziała, że jej twarz jest czerwona, i nic nie mogła na to poradzić. Nigdy nie wyobrażała sobie, że intymność jest tak... intymna. Ale wraz ze wstydem szło podniecenie wywołane jej nowym odkryciem. Tym razem Justin nie stracił kontroli, nie pozwolił zmysłom zapanować nad sobą. Był cierpliwy i rozważny, tak jak jej obiecał.

- Kto ci powiedział, że mężczyźni wpadają w szal i robią kobietom krzywdę w czasie zbliżenia? - spytał swobodnym tonem. - Bo zdaje się, że właśnie tego się spodziewałaś.

Shelby wzięła od niego kieliszek i patrzyła, jak Justin podchodzi do fotela i siada z nieodłącznym papierosem, przysuwając bliżej popielniczkę.

- Ty - powiedziała w końcu. - Tamtego wieczoru, kiedy się zaręczyliśmy, a ty zupełnie przestałeś nad sobą panować.

Uniósł brwi zaskoczony.

- Czyżbym się wtedy aż tak bardzo zapomniał?

- Tak to odebrałam w każdym razie. - Przeniosła spojrzenie na swoją szklanekę. - Pamiętałam też, jaki mam problem, uprzedzano mnie, że powinnam się poddać operacji przed pierwszym razem. - Wzruszyła ramionami. - Bałam się tego od moich piętnastych urodzin, kiedy lekarz badał mnie z związku z jakimiś kobiecymi kłopotami. Niektóre kobiety czują pewien dyskomfort, ale on wyraził się wówczas wprost, że nie zniosę tego bez wcześniejszej operacji. Więc kiedy tak napierałeś...

- Nic mi o tym nie wspomniałaś - rzekł z pretensją.

- Niby jak miałam to zrobić? - Westchnęła żałośnie. - Skończyłam dwadzieścia siedem lat i jestem kompletnie zielona. Nie potrafię nawet mówić o tym i się nie rumienić.

- A ja uważałem, że się mnie brzydzisz - rzekł głosem, w którym słyszała pamięć tamtego bólu. - Nigdy do głowy mi nie przyszło... A potem mi powiedziałaś o swoim związku z Wheelorem, i moje ego zostało ugodzone. - Oddychał głośno. - Przecież nie byłbym taki gwałtowny, gdybym znał prawdę. Ale tak cholernie mi dopiekło, że przespałaś się z innym, byłem dosłownie chory.

- No to przynajmniej teraz już wiesz, dlaczego cię wtedy odepchnęłam.

Justin zaciągnął się papierosem.

- Cholernie cię pragnę - wyznał po prostu. Shelby wbiła zakłopotany wzrok w dywan.

- Ja też cię pragnę.

- No to zrób coś z tym. Idź jak najszybciej do doktora Simsa. Niech to będzie normalne, prawdziwe małżeństwo. Takie, kiedy dwoje ludzi sypia ze sobą, ma dzieci.

Podniosła twarz z zaczerwienionymi policzkami.

- Bardzo chcesz mieć dzieci, prawda?

- Chcę mieć dzieci z tobą - odparł. - Nigdy nie chciałem mieć dzieci z inną kobietą.

- To nie będę musiała... niczego zażywać.

- Nie.

Shelby wstała, na nowo przejęta i zawstydzona.

- Chyba nie powinniśmy dzisiaj spać razem? - spytała, nie zdając sobie sprawy, z jakim zalem to mówi.

Justin podniósł się z fotela i podszedł do niej.

- Chyba nie, ale będziemy. Nawet jeśli nie możemy się kochać. Przytulę cię tylko.

Shelby wstrzymała oddech.

- Przepraszam cię za to wszystko.

- Ja też cię przepraszam, ale nie da się cofnąć czasu, niestety. - Pochylił się i pocałował ją. - Nie będę cię poganiał, wszystko w swoim czasie.

- Dziękuję.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, ale już bez słowa. Odstawił szklanekę i wrócił do niej, gasząc po drodze światło. Wciąż trzymał tłące się papierosa, gdy szli razem na górę.

- Dobrze się czujesz? - spytał, kiedy położyli się do łóżka. - Nie bolało cię bardzo?

- Nie - szepnęła, wtulona w niego w kryjówce ciemności.

- I nie przestraszyłaś się? - dopytywał się, jakby miało to dla niego kolosalne znaczenie.

- Wcale - zapewniła go, wtulając się mocniej. Był taki ciepły, czuła się dobrze i bezpiecznie. - Ani trochę. - Otarła twarz o jego policzek.

- I tak właśnie powinno być - rzekł cicho. - Ale jestem trochę szorstki, pani Ballenger.
Dość długo żyłem bez kobiety.

- Kilka miesięcy?

- Hm, niezupełnie. - Dotknął jej czoła wargami i przyznał po chwili: - Koło sześciu lat.
Shelby nie wierzyła własnym uszom.

- Mój Boże, nie miałam pojęcia!

- No i dobrze - mruknął. - Pewnie wiałabyś przede mną z krzykiem z obawy, że taki
wygłodniały facet zachowa się jak dzikie zwierzę.

- Nie byłeś taki.

- Bo ty potrzebujesz czułości, więc ją otrzymałaś. Na pewno nie zawsze tak będzie,
kiedy się już lepiej poznamy - uprzedził. - Nie lubię rutyny, nie chcę kochać się zawsze tak
samo.

Zaczęła natychmiast kombinować, co lubi jej mąż.

- Justin...

- Cicho. - Pocałował jej usta. - Śpij już. Podniecasz mnie.

- Przepraszam.

Pocałował ją jeszcze raz i przewrócił się na brzuch z przeciągłym westchnieniem.

- Dobranoc, lalczko.

- Dobranoc, Justin.

Długo jednak nie mogła zasnąć. W jej głowie roiło się od pytań, a znała tylko kilka
odpowiedzi. Co prawda pokonała przynajmniej jedną przeszkodę, no i Justin wciąż jej
pożąda. To już coś. Nawet jeżeli jej nie pokocha, być może będzie w stanie wzbudzić w sobie
dla niej jakieś inne pozytywne uczucia. Nie może przecież obarczać ją całkowitą i wyłączną
winą za to, co zdarzyło się w przeszłości. A jeśli wciąż tak myśli? Przyszło jej raptem do
głowy, że Justin może w dalszym ciągu pragnąć zemsty za gorycz i poniżenie, których kiedyś
przez nią doświadczył. Była to wyjątkowo deprymująca myśl, która przez wiele długich
minut nie pozwalała jej zasnąć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Budząc się następnego ranka, Justin z trudem dawał wiarę własnym oczom. Tak przywykł do snów o Shelby, które kończyły się z nastaniem dnia, a oto znalazł ją obok siebie. Na swojej poduszce widział jej długie, ciemne włosy, obok siebie jej piękną postać zrelaksowaną we śnie, z pełnymi, kuszącymi wargami.

Leżał nieruchomo, wpatrzony w swoją żonę. Czuł się bez niej okrutnie samotny. Bardziej samotny, niż zdawał sobie z tego sprawę do chwili, gdy znów podjęli próbę dialogu. Kiedy się dawniej spotykali, marzył o tym, by mieć ją w łóżku. Właśnie taką, zatopioną w niezmaconym śnie, i żeby robić właśnie to, co robił - przyglądać się jej. Nie wiedziała, jak jest mu droga. Ani że minioną noc była odkryciem i kulminacją nieskończonego oczekiwania i tęsknoty, nawet jeśli nie mógł dokończyć tego, co zaczął. Już sam fakt, że okazała się dziewicą, był dla niego wystarczająco radosny.

Kiedy się sennie poruszyła, uśmiechnął się z lekka i przechylił głowę, żeby ją pocałować.

Jej długie czarne rzęsy zatrzepotały, podniosła powieki. Zobaczyła go i uśmiechnęła się do niego. W spojrzeniu jej jasnozielonych oczu pojawił się całkiem nowy wyraz.

- Dzień dobry - powitała go szeptem.

- Dzień dobry. - Powtórzył pocałunek. - Dobrze spałaś?

- Jeszcze nigdy tak dobrze nie spałam. A ty?

- Mógłbym powiedzieć to samo. - Przykrył ją kołdrą.

- Nie musisz jeszcze wstawać.

- Idziesz tak wcześnie do pracy? - zdziwiła się, zerkając zaspanym wzrokiem na zegar.

- Muszę lecieć do Dallas, kochanie - oznajmił, podnosząc się. - Nowy klient. Będę w domu o zmroku.

- A ja muszę być w kancelarii dopiero o dziewiątej - powiedziała z zadowoloną miną.

- Wolałbym, żebyś zrezygnowała z tej pracy - stwierdził, marszcząc czoło.

- Kiedy ja ją lubię - zaprotestowała, ale niezbyt ostro.

- A mnie się nie podoba, że jesteś na każde zawołanie Barry'ego Holmana.

- Może to kobieciarz, ale mnie traktuje przyzwoicie - broniła go. - To bardzo miły człowiek, jest wobec mnie w porządku.

Justin odwrócił się. Nie powinien jej okazywać, jak bardzo jest zazdrosny o przystojnego szefa.

- Muszę wziąć prysznic.

Obserwowała go, jak grzebał w szufladzie w poszukiwaniu czystej bielizny i jak szedł do łazienki. Wlepiała wzrok w jego nagą postać. Miniona noc i intymne chwile, które ich połączyły, zdawały jej się teraz nierealne. Czerwieniła się na samo wspomnienie, ale Justin szczęśliwie zniknął już w łazience i nie zobaczył jej zarumienionych policzków.

Zastanawiała się, czy w związku z jego zazdrością powinna mu powiedzieć o Tammy Lester i o tym, że Holman jest wyraźnie zainteresowany nową pracownicą. W końcu zdecydowała, że może zrobić to później.

Tymczasem zapadła w drzemkę. A kiedy się obudziła, Justin stał już ubrany w jasnoszary garnitur i właśnie wiązał przed lustrem krawat w szaro - czerwone paski.

- Czy Maria wstała już, żeby dać ci śniadanie?

- zainteresowała się Shelby.

- Zjem śniadanie w samolocie. - Wsadził ręce do kieszeni i wyciągnął z jednej z nich kluczyki od samochodu. Rzucił je na łóżko. - Pojedź moim fordem do pracy. Twój problem z transportem musi poczekać do jutra.

Shelby usiadła z kluczykami w dłoni.

- A jak się dostaniesz na lotnisko?

- Czy moje serce zniesie te wszystkie problemy?

- spytał żartobliwie, unosząc jedną brew.

Przyjrzała mu się i nagle miniona noc wróciła do niej z alarmującą wyrazistością. Zobaczyła go takiego, jaki był wtedy, poczuła jego bliskość...

- Mój Boże, co za rumieniec! - mruknął zadowolony. - Pewnie schowałabyś się pod łóżko, gdybym zaczął ci coś przypominać.

- Z całą pewnością - rzekła z resztką dumy. Potem zniszczyła to wszystko, uśmiechając się i chowając twarz w dłoniach. - Och, Justin - szepnęła, przypominając sobie sama.

Przysiadł obok niej, przyciągając jej czoło do piersi. Pachniał wodą kolońską i sama jego bliskość osłabiała ją i przyprawiała o zawroty głowy.

- Na pewno czujesz się dość dobrze, żeby iść do pracy? - spytał, unosząc jej brodę, żeby zajrzeć jej w oczy. - Nie musisz nigdzie iść.

- Wiem. - Westchnęła lekko. - Ale jestem tylko obolała. Nic mi się przecież nie stało, tylko się okropnie przestraszyłam.

- Nie tylko ty - mruknął. - Zawdzięczam ci pięć nowych siwych włosów, odkryłem je dziś rano w lustrze.

Wyciągnęła rękę ku jego gładko zaczesanym włosom, gdzie na skroni srebro prześwitywało gdzieniegdzie przez czern.

- Wybacz. Zdaje się, że jednak chciałam stąd uciec. Od czasu do czasu chyba mnie nienawidzisz, prawda?

- Czasami miałem takie wrażenie - wyznał bez uśmiechu. - Sześć lat do mnóstwo czasu do rozmyślań. Uwierzyłem w to, co mówiłaś o Wheelorze. - Wsunął dłoń pod jej kark i zacisnął raptem, nie tak mocno, by ją zabolalo, ale dość mocno, żeby przysunąć jej czoło do swojej marynarki. - Dlaczego? - spytał z pozoru łagodnie. - Dlaczego mnie okłamałaś? Czy mało ci było, że zerwałaś zaręczyny? Musiałaś porwać jeszcze moją dumę w strzępy?

No więc jednak, pomyślała z narastającym żalem. Justin nigdy jej nie przebaczy, a jej fizyczna niewinność nie robi mu żadnej różnicy. W każdym razie na pewno nie powstrzyma go przed nieustannym oskarżaniem jej o przeszłość, nawet jeśli niezależnie od tego pożąda jej do szaleństwa. Zawsze jej zresztą pożądał, ale to już nie wystarczało. Znów ogarnęło ją przygnębienie. Minionej nocy przyznał się, że żył sześć lat w celibacie. Już samo to pokazuje, ile tkwiło w nim gorczy.

Jej i tak kruchy świat zawalił się zniecka. Zamknęła oczy z melancholijnym westchnieniem.

- Powiedziałaś mi wczoraj, dlaczego - odezwała się. - To był pomysł ojca.

- A ja ci powiedziałem, że twój ojciec darzył mnie sympatią. Zrobił, co mógł, żeby mi pomóc. A tamtego wieczoru, gdy przyszedł do mnie z Wheelorem, to się nawet popłakał.

Shelby uniosła na niego wzrok, w którym nie było wiele nadziei.

- Wiesz, wszystko zależy od zaufania, jakim darzy się drugiego człowieka - rzekła. - Nie chcę zrzucać winy na ciebie, ale ty też nie możesz mi zarzucić świadomego kłamstwa. Lecz ty mi w ogóle nie wierzysz, dla zasady.

Justin zdenerwował się prawdą jej słów i zacisnął zęby.

- Nie potrafię - stwierdził, po czym puścił ją i wstał. - Kobieta, która raz zdradzi mężczyznę, niewątpliwie zrobi to po raz drugi.

- Jestem dziewczyną - przypomniała mu zmieszana.

- Nie o tym mówię. Okłamałaś mnie przecież. Sprzedałaś mnie. - Nabrał głęboko powietrza i wyjął papierosa. - Nie jestem nawet pewien, czy nie powtórzyłabyś tego z tym swoim szefem. - Spojrzał w jej ściągniętą twarz. - Od razu widać, że nie musiałabyś go specjalnie zachęcać, poza tym on jest przystojny, prawda, kochanie? Nie ma w nim nic pospolitego.

- Nie jesteś pospolity - broniła się półgłosem.

- Co za przenikliwość. Skąd wiesz, że myślałem o sobie? - warknął. - Trzymaj się z dala od kłopotów, jak mnie nie będzie, i nie przyciskaj gazu w moim samochodzie.

- Nie tknę twojego cennego samochodu, jeśli się tak boisz - odparowała z iskrzącym wzrokiem. - Wezwę taksówkę, żeby mnie całe Jacobsville widziało.

Obrzucił ją rozgniewanym spojrzeniem, a ona nie pozostała mu dłużna. I nagle jego twarz przeciął grymas, potem uśmiech, aż w końcu wybuchnął śmiechem, który rozjaśnił jego ciemne oczy.

- Jęzda.

- Dzikus.

Cisnął papierosa do dużej popielniczki na toaletce i ruszył w stronę Shelby, która odrzuciła kołdrę i wycofywała się naprędce na drugą stronę łóżka. On jednak był szybszy. Zanim dotarła do połowy drogi, rozłożył ją na łopatki i przyszpilił do prześcieradła ciężarem swojego ciała.

- I koniec walki. Mój Boże, czujesz, co się ze mną dzieje?

Owszem, czuła. Znieruchomiała, a jej twarz zapłonęła rumieńcem.

- Cóż, świat się nie kończy - rzekł z lekka rozbawiony. - Wiesz, co się ze mną dzieje, kiedy jestem podniecony, a wczoraj w nocy nie dzieliło nas kilka warstw ubrań.

- Przestań! - Przytuliła twarz do jego marynarki, trzęsąc się z zażenowania i podniecenia równocześnie.

- Ty dzieciaku! - Żartował sobie z niej, ale jego słowa brzmiały pieszczotliwie. Przetoczył się na plecy, wciągając ją na siebie. Jego oczy wpatrywały się w jej oczy, kiedy się nad nim uniosła. Zaglądał w głęboki dekolt jej bluzki od pizamy. - Tak lepiej? - mruknął.

- Jesteś potworem. Chyba nie chcę z tobą dłużej mieszkać.

- Chcesz, chcesz. - Przyciągnął jej twarz, pociągając ją za włosy. - Pocałuj mnie.

- Pognieciesz sobie garnitur - zauważyła roztropnie.

- Mam całą masę innych garniturów. Chcę, żebyś mnie pocałowała. No dalej, muszę zdążyć na samolot.

Uległa mu, i cała kłótnia poszła w zapomnienie w chwili, kiedy jej wargi dotknęły jego ust.

- Po zabiegu będziemy musieli odczekać kilka dni - szepnął jej do ucha. - Tylko nie zaczynaj się znowu tym zamartwiać i denerwować, dobrze? - Patrzył jej w oczy.

- Nie będę cię poganiał. Tym razem będzie dokładnie, jak zechcesz.

Ucałowała jego powieki, delikatnie zamykając mu oczy, z miłością bawiąc się jego rzęsami. Chciała wykrzyknąć, że kocha go nad życie, że wszystko, co zrobiła, co go zraniło, zrobiła tylko dlatego, by go ochronić. Ale on i tak by jej nie uwierzył...

- Wierzysz mi, że już się ciebie nie boję?

- Kochanie, trudno tego nie zauważyć, zważywszy na naszą obecną pozycję - odparł żartem.

- Jaką pozy... Justin!

Roześmiał się, przewrócił ją na plecy i pieścił jej wargi.

- Tę pozycję - szepnął. - Całus na pożegnanie i lecę.

- Już to zrobiłam... nawet... kilka razy - wyszeptła, wplatając między słowa czułe pocałunki.

- To jeszcze parę i będę musiał coś zrobić, żeby stanąć na nogi. Już mi kolana zmiękły.

- Moje też. - Zarzuciła mu ręce na szyję i leciutko przygryzła jego dolną wargę. - Jesteś teraz mój - oświadczyła, patrząc mu w oczy. - Nie flirtuj mi tam z innymi kobietami.

Wsunął ręce pod jej plecy i uniósł ją, pochylając się nad jej otwartymi ustami, aż jego własne ciało kazało mu niezwłocznie przestać albo dokończyć tę robotę.

Przeturlał się na bok niechętnie i wstał, z dumą patrząc na dzieło swoich rąk. Shelby leżała na pościeli z aureolą włosów wokół głowy. Jej czerwone wargi nabrzmiały od pocałunków Justina, jej rozmarzone oczy spalało pożądanie.

- Gdybym miał takie twoje zdjęcie - powiedział lekko ochrypłym głosem - chodziłbym w kółko i bił pokłony do ziemi za każdym razem, ilekroć bym na nie spojrzał, bo nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety.

- Nie jestem nawet ładna - zauważyła z uśmiechem.

- Ale cieszę się, że ci się podobam. Ty też mi się podobasz.

Justin wziął głęboki oddech.

- Lepiej już pójdę, dopóki jeszcze mogę się poruszać, Dobrze, że pamiętam o twoim stanie, to pomaga.

Odwróciła wzrok na poduszki.

- Naprawdę pozwoliłabyś mi posunąć się dalej?

- spytał pełnym emocji głosem. - Nawet wiedząc, jak bardzo będzie cię bolało?

- Chciałam cię przekonać...

- Do tego potrzeba odwagi. - Zmarszczył czoło.

- Czy zabolalo cię, że oskarżyłem cię o oziębłość?

- Trochę - przyznała, starając się go oszczędzić. Westchnął ze złości.

- Wyobrażam sobie, że bardzo. Spróbuj pamiętać, że nie znałem prawdy. I staraj się mnie za to nie nienawidzić. Ty też nie wiesz o mnie mnóstwa rzeczy, Shelby.

- Podniósł papierosa z popielniczki. - No, lepiej już pójdę - mruknął, zerkając na złoty zegarek na ręce.

- Żadnych wyścigów - ostrzegł ją jeszcze raz od drzwi.

Widziała, że Justin nie powie nic więcej poza tym, co chce powiedzieć.

- Dobra. Miłej wycieczki.

- Będę się starał.

Nie pożegnał się. Obejrzał się jeszcze i zamknął za sobą drzwi. Shelby odprowadzała go wzrokiem z mieszanymi uczuciami. Żałowała czasami, że nie potrafi czytać w jego myślach, bo był to jedyny sposób, żeby dowiedzieć się, co jej mąż naprawdę o niej sądzi. Zastanawiała się, swoją drogą, czy w ogóle sam to wie.

Wstała z łóżka, ubrała się i pojechała fordem Justina do biura. Po drodze zatrzymała się na moment, by umówić się na popołudniową wizytę u doktora Simsa. Kiedy wróciła do domu, była wykończona. Przede wszystkim niespodziewanie długim dniem w pracy, gdzie usiłowała zachować pokój między zirytowanym Holmesem a złośliwą Tammy, ale także późniejszym zabiegiem, który był równie niemiły co krępujący, ponieważ musiała powiedzieć doktorowi Simsowi, dlaczego się na niego zdecydowała.

Filizanka świeżo parzonej kawy i smaczna kolacja trochę ją podniosły na duchu. Poszła na górę do swojego pokoju, żałując, że nie może iść prosto do Justina. Ale nie wspomniał ani słowem, że będą spali razem, najwidoczniej uznając poprzednią noc za sytuację przejściową.

Wcześniej udała się na spoczynek. Nie słyszała podjeżdżającego pod dom samochodu ani szybkich kroków Justina w stronę jego sypialni. Nie słyszała stłumionego przekleństwa, gdy zobaczył swoją sypialnię pustą, ani pełnej osłupienia ciszy, kiedy znalazł Shelby śpiącą w swoim łóżku.

Zamknął drzwi i wrócił do siebie, z wzrokiem pociemniałym od marzeń. Spodziewał się, że Shelby będzie na niego czekała albo co najmniej spała w jego łóżku. Stało się inaczej, i nie wiedział, czy nie była pewna, co zrobić, czy z powodu porannej drobnej sprzeczki postanowiła wznieść między nimi kolejny mur.

Shelby zaś, kompletnie nieświadoma tego, co się działo w nocy, zeszła na śniadanie następnego ranka w pysznym humorze. I natknęła się przy stole na małomównego Justina, który patrzył na nią, jakby próbowała go zastrzelić.

Zatrzymała się jak wryta, jej długa dzinsowa spódnica zakręciła się wokół jej nóg. Wytarła nerwowo dłonie o niebieską bawełnianą bluzkę.

- Dzień dobry - powiedziała niepewnie.

- Nie, do diabła, nie jest dobry - mruknął. Shelby uniosła brwi.

- Nie?

Justin podniósł ze stołu filiżankę z kawą i wypił łyk czarnego aromatycznego napoju.

- Jeden z moim chłopaków zawiezie cię do pracy - powiedział. - Mogę prosić kluczyki od thunderbirda?

Sięgnęła do kieszeni spódnicy i położyła kluczyki na stole, obok Justina, a on złapał ją za rękę, zanim spróbowała się ruszyć.

Podniósł wzrok, zamyślony.

- Dlaczego wróciłaś do swojej sypialni?

Shelby westchnęła i uśmiechnęła się lekko, nieco uspokojona.

- Bo nie wiedziałam, czy chcesz, żebym spała u ciebie - wyznała ze smutkiem, po czym wzruszyła ramionami. - Nie chciałam się narzucać.

- Mój Boże, kochanie, jesteśmy małżeństwem - odparł natychmiast. - Kto tu mówi o narzucaniu się?

Patrzyła na jego duże, mocne dłonie. Ich ciepło wzbudzało w niej dreszcze.

- Od ślubu jesteś jakiś nieobecny.

- Chyba zaczynasz rozumieć dlaczego, prawda? Popatrzyła w jego ciemne oczy. Skinęła głową.

- Bo... mnie pragniesz.

- To nie wszystko - zgodził się, nie rozwijając tematu. - Byłaś u doktora Simsa?

Jej rumieniec odpowiedział mu lepiej niż słowa, zanim mu przytaknęła zmieszana. Posadził ją na sąsiednim krześle.

- Sam cię zawiozę do pracy - oznajmił i przysunął jej talerz z jajkami i grzankami.

Shelby uśmiechnęła się tak, żeby tego nie widział.

Kiedy dotarli do centrum Jacobsville, Justin był już spokojny, ale jedno spojrzenie na Barry'ego Holmana od razu wyprowadziło go na powrót z równowagi. Przystojny jasnowłosy prawnik stał na ulicy i rozglądał się nerwowo. Ktoś mógłby pomyśleć, że tak niecierpliwie oczekuje Shelby. Justin, niestety, doszedł do takiego właśnie wniosku.

Holman wyciągał szyję, a kiedy Justin zaparkował przy krawężniku, jego twarz rozjaśniła się. Uśmiechał się z przesadną radością i pośpieszył przywitać Shelby, tylko w

przelocie skinąwszy głową Justinowi, który z kolei zrobił taką minę, jakby snuł mordercze plany.

- Dzięki Bogu, że jesteś - cieszył się Barry Holman, otwierając drzwi samochodu. - Bałem się, że się spóźnisz. Jak ślicznie dziś wyglądasz!

Shelby była zaskoczona jego zainteresowaniem i głowiła się, co takiego się stało, kiedy pomagał jej wysiąść.

- Już ja dobrze się nią zaopiekuję - zapewnił Barry Justina, dolewając tylko oliwy do ognia.

Justin nie odpowiedział, nie odezwał się też do żony. Zatrzaskał drzwi, błyskając wzrokiem w kierunku Shelby, i odjechał, wciskając gaz.

- Co się dzieje? - spytała zdenerwowana niespodziewaną zmianą nastroju Justina. Jej szef najwidoczniej wprowadził go w błąd, dając mu nieprawdziwy obraz ich zawodowych relacji.

- Ta kobieta musi odejść - rzucił Barry bez zbędnych wstępów, wymachując rękami. - Zamknęła się w moim biurze i nie chce mnie wypuścić. Wezwałem już straż pożarną - dodał z błyskiem w oku. - Wyłamią drzwi i wywloką ją stamtąd, a potem musi odejść. Na dobre.

Shelby położyła rękę na czole.

- Panie Holman, dlaczego Tammy zamknęła się w pańskim pokoju?

Mężczyzna odchrząknął z powagą.

- Chodzi o książkę.

- Jaką znów książkę?

- Tę, którą w nią rzuciłem - zirytował się.

- Rzucił pan książką w Tammy? - Aż jęknęła.

- Cóż, to był słownik, ściśle mówiąc. - Przeszł się z nogi na nogę, trzymając ręce w kieszeniach. - Posprzeczaaliśmy się trochę na temat pisowni pewnego prawniczego terminu. Wiem, jak się to pisze! - dorzucił ze złością. - W końcu jestem prawnikiem, uczą nas tego na studiach.

Shelby, która poznała już doświadczenia Barry'ego w pisaniu prawniczych terminów, milczała. Barry znowu nerwowo się poruszył.

- No cóż, powiedziałem jej co nieco. Na to ona też mi co nieco powiedziała. Na to ja rzuciłem w nią tę jej książkę. I wtedy zamknęła się w moim pokoju.

- Z powodu tej książki? - upewniła się Shelby. Holman wbił wzrok w chodnik.

- No, tak. I stłuczonego szkła. Shelby wybałuszyła oczy.

- Stłuczonego szkła?!

- No, okna, ściśle mówiąc. - Przesunął się w stronę krawężnika, jakby coś zauważył. Z półuśmiechem podniósł z ziemi słownik. - No i jest! Wiedziałem, że musi tu gdzieś być.

Shelby miała ochotę to śmiać się, to płakać, kiedy wóz strażacki na sygnale zahamował przy nich z piskiem opon.

- Nie powiedział im pan, po co ich pan wzywa? - spytała Shelby, patrząc na strażaków, którzy zaczęli natychmiast rozwijać długi wąż.

- Nie, nie pomyślałem o tym. Cześć, Jake! - zawołał wesoło do szefa strażaków. - Miło cię widzieć. Bo wiesz, tu właściwie nic się nie pali, potrzebuję pomocy z innego powodu.

Jake, przysadzisty mężczyzna z czerwoną twarzą, zbliżył się do nich.

- Nie pali się? To właściwie czego od nas chcesz, Barry? - zapytał, każąc swoim chłopakom zwijać wąż z powrotem.

- Żebyście wyważyli drzwi mojego biura - przyznał Barry.

- Dlaczego?

- Zgubiłem klucz - improwizował.

- To nie lepszy byłby ślusarz? - ciągnął Jake, coraz to bardziej podejrzliwie przyglądając się szefowi Shelby.

Holman zmarszczył brwi.

- Och, nie sądzę. To nie zrobiłoby takiego wrażenia jak topór.

Jake kompletnie zgłupiał.

- Jedna z naszych... pracownic... zamknęła się w biurze i nie chce wyjść - wyjaśniła w końcu Shelby.

- Na Boga, Barry, topór rąbiący drzwi śmiertelnie przerazi tę kobietę - powiedział Jake.

- Tak. - Prawnik uśmiechnął się w zamyśleniu. - Jak diabli ją przestraszy.

Kiedy Jake zaczął znów coś mówić, Tammy Lester wyłoniła się z budynku z taką miną, jakby nosiła w sobie ładunek wybuchowy. Podeszła prosto do Holmana i zaatakowała go z całej siły pięściami.

- Odchodzę - warknęła wściekle, trzęsąc się z furii. - Wybacz, Shelby, ale będziesz sama prowadzić ten bajzel. Nie zniosę ani dnia dłużej z tym panem Bożym Darem dla wszystkich kobiet świata. A pan nie ma pojęcia o ortografii, Bardzo Ważny Prawniku.

- Znam ją lepiej od ciebie, ty uciekiniarce z kursu wyrównawczego! - krzyczał za nią. - I nie licz na to, że za tobą pobiegnę i będę cię błagał, żebyś wróciła. Są w tym mieście setki głupich kobiet, które nie znają ortografii, a potrzebują pracy.

Jake wytrzeszczał oczy na zrównoważonego zazwyczaj prawnika. Shelby także przypatrywała mu się z osłupieniem. Sporo ją kosztowało, by się nie roześmiać, bo wiedziała, że to by tylko skomplikowało sytuację. Minęła strażaków i szybkim krokiem uciekła do kancelarii, nie chcąc być świadkiem dalszego ciągu wydarzeń.

No i faktycznie, ledwie postawiła stopę na wyłożonej dywanową wykładziną podłodze biura, Jake wypalił do Holmana z grubej rury - na temat fałszywych alarmów i możliwej kary więzienia...

W tym momencie Shelby zamknęła za sobą drzwi i podeszła do komputera. Zdenerwowała ją reakcja Justina na widok Holmana, który czekał na nią na ulicy. To nie wygląda dobrze, Justin jest wściekle zazdrosny o jej szefa. Zupełnie bez sensu, ale cóż ona wie o mężczyznach? Założyła wcześniej, że to tylko powierzchowna zazdrość, ponieważ Barry Holman jest przystojny i lubi kobiety, a Justin jest zaborczy i ma silny instynkt absolutnego władcy. Nigdy nie pomyślała, że za tym może się kryć coś więcej.

Wciąż ją to jednak dręczyło, zadzwoniła zatem do domu, by wyjaśnić Justinowi, co się naprawdę wydarzyło. Maria poinformowała ją, że Justin jeszcze nie wrócił. Spróbowała znowu skontaktować się z nim podczas lunchu, ale akurat wybrał się gdzieś z klientem. Zajęła się więc pracą i zapomniała o tym. A Barry do końca dnia wyrzekał na Tammy, a w końcu zamknął biuro godzinę wcześniej, ponieważ nie mógł się skupić.

- Nie martw się, nie będziesz tego odrabiać - pocieszył Shelby. - W przyszłym miesiącu mamy sąd, wtedy pewnie będziesz musiała popracować po godzinach.

- Spojrzał ze złością na drzwi. - Chciałem, żeby panna Lester mi w tym pomogła, bo ona nadaje się do takiej czarnej roboty. Ale skoro odeszła z takiego głupiego powodu, spadnie to na ciebie.

- Większość sekretarek zdenerwowałaby się, gdyby ich szefowie rzucali w nie książkami - zauważyła Shelby.

- Nie uderzyłem jej przecież. Trafiłem w okno. A właśnie, przedzwoń do Jacka Harpera, żeby przyszedł jutro wstawić szybę. - Zmieszał się. - I, hm, nie musisz mu dokładnie tłumaczyć, jak do tego doszło, dobrze?

- Powiem, że wpadł do nas przez okno orzeł - zgodziła się potulnie.

Rzucił jej wzburzone spojrzenie i wymaszerował.

Shelby zaś ruszyła tam, gdzie zwykle parkowała swoje auto, i wtedy dotarło do niej, że przecież nie ma tego dnia samochodu.

- Och, panie Holman! - zawołała, niewiele myśląc.

- Mógłby mnie pan podwieźć do biura Justina? Nie udało mi się go złapać i pewnie nie będzie go jeszcze przez godzinę.

- Jasne, wsiadaj.

Otworzył przed nią drzwi swego czarnego mercedesa i wystrzelił drogą prosto do tuczarni Ballengerów.

- Co się stało z twoim nowym wozem? - spytał.

- Jakiś problem z silnikiem?

Nie powiedziała mu dotąd o losie sportowego samochodu, chociaż słyszał o wypadku i widział, że poprzedniego dnia jeździła thunderbirdem męża.

- Justin oddał go do Doylea.

- On ma złomowisko - zauważył słusznie Holman.

- Tak, i do tego nowiutki zgniatacz. - Westchnęła.

- Justin powiedział, że jeśli mam ochotę, możemy teraz wykorzystać mój śliczny sportowy samochód jako ścienną dekorację.

- Dlaczego to zrobił?

- Bo uważa, że jestem bezmyślna i nieostrożna - odparła. - Chyba chce mi kupić bezpieczniejszy pojazd. Na przykład czołg.

Barry Holman uśmiechnął się rozbawiony.

- Mam nadzieję, że dziś rano nie wpakowałem cię w jakieś kłopoty - zauważył poniewczasie, skręcając w długą drogę prowadzącą już prosto do tuczarni. - Tak się ucieszyłem na twój widok, bo wiedziałem, że tobie uda się przekonać ją, żeby wyszła z biura, jeśli strażacy nie wypalą.

- Tammy jest bardzo sympatyczna - stwierdziła Shelby.

Szef dosłownie spiorunował ją wzrokiem.

- Jest krnąbrna i nie do wytrzymania.

- Gdyby dał jej pan szansę, byłby pan miło zaskoczony. Ona jest bardzo bystra.

Holman kręcił się nerwowo.

- Tak, zauważyłem, że masz sporo na głowie. Nie chciałem cię pozbawiać pomocy.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Może pan jeszcze rozważy, czy nie poprosić Tammy, żeby do nas wróciła. Może ona też żałuje tego, co się stało.

Holman ściągnął wargi, jakby już się zastanawiał.

- Może. Wpadnę ewentualnie do domu jej ojca i wspomnę, że ma u nas wciąż otwarte drzwi.

- Lepiej byłoby przedtem zadzwonić - poradziła, mając na uwadze temperament Tammy.

- Uhm, tak zrobię. - Zaparkował przed biurem tuczami. - Dziękuję za wyrozumiałość.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Nie, proszę zostać, sama sobie poradzę. - Wysiadła, wciąż się do niego uśmiechając, i pomachała mu na pożegnanie.

Tymczasem za jej plecami stał już Justin z nieodłącznym niemal, zapalonym papierosem w dłoni. Był w dzinsach, koszuli z batystu i wysokich kowbojskich butach, które nosił w pracy. Nasunął kapelusz nisko na czoło i patrzył na nich wilkiem.

Shelby obróciła się energicznie i zobaczywszy przed sobą męża, zastygła w bezruchu.

- No... cześć.

Justin wsadził papierosa do ust.

- Jesteś godzinę wcześniej.

- Mieliśmy mały problem w biurze. - Zaczerwieniła się, co tylko pogorszyło sprawę. - Muszę się jakoś dostać do domu.

- Calhoun jedzie w tamtą stronę - odparł. - Podwiezie cię.

Wszedł do budynku, zostawiając ją na dworze, i tylko ryk bydła w kompleksie tuczami dzwonił jej w uszach.

Calhoun wyskoczył po chwili z biura, przeklinając siarczyście.

- Justin siedzi z nogami na biurku, palcem, cholera, nie ruszy, i jeszcze wyciągnął mnie ze spotkania, żebyś cię odwiózł do domu! - krzyczał. - Nie chcę być wścibski, Shelby, ale jestem ciekaw. Znowu ma coś do ciebie?

- A kiedy nie ma? - odparła. - Holman mnie tu przywiózł, więc Justin pewnie doszedł do przekonania, że szef mnie uwiódł po drodze.

- Cii. - Calhoun położył palec na ustach i pociągnął ją w stronę swojego białego jaguara. - Nie denerwuj go jeszcze bardziej. Jego sekretarka właśnie zagroziła, że odejdzie z pracy.

- No cóż, to tylko znaczy, że on działa tak na wiele osób - stwierdziła jadowitym tonem. - Jest apodyktyczny, niewrażliwy, nie do zniesienia...

- Już, już - uspokajał ją. - Wpadniesz w histerię, a to nie rozwiąże problemu. Braciszek jest po prostu zazdrosny. Jesteś kobietą. Powinnaś wiedzieć, co się robi w takim przypadku.

Zerknął na nią, spostrzegając jej purpurowe policzki. Zdumiało go, jak bardzo podobni są do siebie jego brat i Shelby. Oboje tacy staroświeccy i pełni różnych zahamowań.

Zapalił, silnik kaszlnął i obudził się.

- Pozwolisz mi na dosyć osobistą uwagę, Shelby? Skoro jesteśmy już rodziną?

Wciąż nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Zależy jaką.

- Tak, wiem. Reagujesz identycznie jak Justin - oznajmił. Wyjechał na drogę i dodał gazu. - No więc chodzi o to, że mój brat nie jest znów taki niewinny, ale przez ostatnie parę lat żył naprawdę jak pustelnik. Nie umawiał się z żadną kobietą. Dążę do tego, że trochę przez to zapomniął, jak to bywa z kobietami.

- Powiedziałabym ci, jaki on jest, gdybyś nie był jego bratem - mruknęła, ściskając torebkę.

- Shelby - mówił cierpliwie. - Najlepszy sposób na to, żeby zdobyć uwagę mężczyzny i ugasić jego wybuchowy temperament, to objąć go najmocniej jak potrafisz i pozwolić, żeby natura zajęła się resztą.

Shelby znowu się zaczerwieniła. Wiedziała, że Calhoun w pewnym względzie przypomina jej szefa - zna się na kobietach. Ale jeżeli ona nie potrafi rozmawiać o sprawach męsko - damskich z Justinem, rozmowa z Calhounem jest tym bardziej nierealna.

- Jemu by się to nie spodobało - mruknęła zachrypniętym głosem.

- Przeciwnie - odparł i po kumpelsku poklepał ją po ramieniu. - On tak za tobą szaleje, że nie widzi, że jest zaślepiiony. Paradoks, co? Możesz mi wierzyć, złoży się jak akordeon, jak odpowiednio go potraktujesz. I tyle. A jak tam twój wyścigowy samochód? Spojrzała na niego zdumiona.

- Justin ci nie mówił?

- Justin nie odzywa się wiele w biurze - oznajmił.

- Jest zajęty pracą, a kiedy nie pracuje, zamyśla się i milczy.

- O mało się nie zabiłam - przyznała. - Wpadłam w poślizg i omal nie uderzyłam w ciężarówkę. - Czują na sobie jego zaskoczony wzrok. - Justin zabrał mi mój piękny samochód i oddał go na złom.

- O, dobry pomysł - rzekł niespodzianie Calhoun. - To był niebezpieczny wózek. - Spojrzała na nią. - Sama wiesz.

Shelby odchrząknęła.

- Wiele lat minęło od wypadku w Szwajcarii.

- Wszystko jedno, Justin miał rację. Nie chciałby cię pochować tuż po ślubie, chyba to rozumiesz?

- Naprawdę? - spytała z goryczą. - Przecież on mnie nie znosi.

- Chciałbym cię przekonać, że bardzo się mylisz.

- Podjechał pod dom od frontu. - Dobrze ci radzę. Nadskakuj mu, przymilaj się, a przekonasz się, że to działa. Justin jest równie niedoświadczony w stosunkach z kobietami, co ty z mężczyznami - dodał pod nosem.

- I nie wspominaj, na Boga, że ja ci to mówiłem. Jeden jedyny raz, kiedy zaczęliśmy ten temat, obaj skończyliśmy ze szwami. Dobra?

- Dobra. - Otworzyła drzwi samochodu i obejrzała się. - Jesteś bardzo miły, dzięki.

- No pewnie - odparł. - Zapytaj Abby, jeśli mi nie wierzysz. - Uśmiechał się z samozadowoleniem mężczyzny, który wie, że jest kochany. - To na razie.

- Pozdrów ode mnie Abby.

Roześmiał się, po czym zawrócił na główną drogę. Shelby dumiała o tym, co Calhoun jej mówił, i zastanawiała się, czy starczyłoby jej odwagi, żeby pójść za jego radą.

Jeśli Calhoun się nie myli i Justin ma tyle zahamowań co ona, to mógłby to być naprawdę interesujący eksperyment. Zaraz potem przypomniała sobie jego gwałtowność i pomyślała, że Calhoun wcale nie zna swojego brata. Ten Justin, którego poznała na kanapie, nie należał do mężczyzn, którzy nie wiedzą, co się robi z kobietami. Justin jest skryty, a Calhoun może być po prostu źle poinformowany, jeśli chodzi o własnego brata.

Ale pomysł kuszenia Justina mimo wszystko przypadł jej do gustu. Zniknęły już powody jej strachu przed mężem, pozbyła się też bolesnej przeszkody, która ją blokowała. Uśmiechnęła się, idąc na górę po schodach i robiąc plany na zbliżający się wieczór.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Było już dawno po zmierzchu, kiedy Justin wrócił do domu, zmęczony i w złym humorze. Ledwie zajrzał do jadalni, gdzie Shelby siedziała sama przy kolacji, i poszedł na górę bez słowa powitania.

Shelby zasepiła się, zachodząc w głowę, czy czekają jeszcze coś gorszego. Skończyła deser i piła właśnie kawę, gdy Justin zszedł z powrotem na dół. W międzyczasie wziął prysznic, jego włosy wciąż były wilgotne. Miał na sobie szaroniebieską koszulę i dżinsy, lecz jego humor bynajmniej nie uległ zmianie.

Usiadł u szczytu stołu i zaczął nakładać sobie na talerz wystygłą wołowinę z sosem i młode ziemniaki.

- Maria ci to podgrzeje w mikrofalówce - zebrała się na odwagę Shelby.

- Jak będę chciał, żeby coś dla mnie zrobiła, sam ją poproszę.

A więc tak ma wyglądać ten wieczór. Shelby odłożyła na bok serwetkę i poprawiła spódnicę biało - czerwonej sukni, którą wybrała celowo, ponieważ Justin uważał, że jest seksowna.

Nie znajdowała do niego klucza, nie umiała do niego trafić. Był taki nieprzystępny, jak w pierwszych dniach ich związku. Obserwowała w milczeniu jego surową twarz.

- Justin, jeśli jesteś na mnie zły za dzisiejsze popołudnie, chcę, żebyś wiedział, że pan Holman zamknął biuro godzinę wcześniej i byłam już na ulicy, kiedy zorientowałam się, że nie mam samochodu - odezwała się w końcu. - A on był tak miry, że podrzucił mnie. Wiesz, że tędy przejeżdża.

Justin podniósł na nią wzrok.

- A ty wiesz, co myślę o twoim cholernym szefie. Tym razem zirytował ją jego zacięty upór.

- Ale do głowy mi nie przyszło, że będziesz miał coś przeciw temu, że mnie podwiezie. Zachowuje się wobec mnie zawsze jak dżentelmen - rzuciła szorstko. - Mówiłam ci to już.

- Mogłaś do mnie zadzwonić - rzekł, nie zmieniając tonu. - Przyjechałbym po ciebie.

- Nie wiedziałam nawet, gdzie jesteś. - Odłożyła spokojnie widelczyk do ciasta. - Nie wiedziałam też, czy byś przyjechał, bo rano odjechałeś bez słowa.

Justin odsunął talerz z ledwie tkniętym jedzeniem.

- On na ciebie czekał na ulicy, łąził wte i wewte - odparł urażony. - A potem mało co nie przeniósł cię na chodnik na rękach. Jeszcze chwila, a wysiadłbym i pokazał mu, co o tym myślę. Nie życzę sobie, żeby dotykali cię inni mężczyźni.

Jeśli spodziewał się, że ją zirytuje tym stwierdzeniem, bardzo się rozczarował. Bo owo stwierdzenie przyspieszyło tylko jej puls. Wlepiała w niego wzrok, ciekawa, czy on sobie w ogóle zdaje sprawę z tego, co powiedział. Westchnęła tęsknie.

- Cieszę się. Oczywiście nie zrozumiał.

- Co?

- Cieszę się, że nie życzysz sobie, żeby dotykali mnie inni mężczyźni. - Wypiła ryk kawy. - Ja też sobie nie życzę, żeby dotykały cię inne kobiety.

- Nie o tym mówimy.

Uśmiechnęła się, bo chyba zapomniał, o czym rozmawiali. Odrzuciła długie włosy do tyłu, mierząc się z nim wzrokiem.

- Podobno wyciągnąłeś Calhouna z jakiegoś spotkania i kazałeś mu odwiedzić mnie do domu.

Justin sięgnął po papierosa.

- Zdenerwowałem się.

Słowa Calhouna także ją zaciekały. Chciała wreszcie sprawdzić reakcję Justina na jej zaloty.

Ale myślenie to jedno, a co innego wprowadzenie swoich pomysłów w czyn. Siedząc tak, patrząc na poważnego, milczkowego mężczyznę po drugiej stronie stołu, nie umiała sobie wyobrazić, że tak po prostu do niego podejdzie i usiądzie mu na kolanach. Choć byłoby cudownie poczuć, że tego właśnie oczekiwał.

Zaróżowiła się z lekka pod wpływem własnych myśli i odstawiła filiżankę.

- Co z samochodem dla mnie? - spytała.

- Zapomniałem - mruknął. - Jutro pojedziemy.

- Dobrze.

Nie zwrócił nawet uwagi na świeżo upieczoną szarlotkę, która stała przed nim na talerzu, i dopił kawę.

- Dostałem pocztą nowy film - powiedział od niechcienia. - Czarno - biały film wojenny, z początku lat czterdziestych. Chyba go teraz obejrzę.

- Na pewno ci się spodoba. Spojrzał na nią uważnie.

- Możesz obejrzeć ze mną, jeśli chcesz - dodał niedbale, by sobie nie pomyślała, że bardzo tego pragnie.

Ale ona i tak to wyczuła.

- Jeśli ci to nie przeszkadza, chętnie obejrzę. Lubię stare wojenne filmy.

- Naprawdę? - Na jego twarz powoli wypłynął uśmiech. - A science - fiction?

Oczy jej się zaświeciły.

- O tak!

Roześmiał się od razu swobodniej.

- Mam niezłą kolekcję starych i sporo nowych filmów.

- A więc potrzebny nam jeszcze tylko popcorn! - zauważyła.

- Maria! - zawołał Justin.

Gospodyni niemal natychmiast pojawiła się w drzwiach.

- *Si, señor.*

Przekazał jej swoją prośbę, rzucając hiszpańskie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Maria wyszczerzyła zęby i odpowiedziała mu uprzejmie. Zrobiła jeszcze jakąś uwagę, po której policzki Justina nabrały koloru cegły, i ruszyła do kuchni, puszczać oko do Shelby.

- Co powiedziała? - spytała Shelby, bo jej znajomość hiszpańskiego była co najwyżej powierzchowna.

- Że przygotuje nam popcorn - odparł krótko. - No to wstawaj, jeśli ze mną idziesz.

Podniósł się z krzesła, a ona poszła w ślad za nim.

W salonie było bardzo przytulnie, panował tam ciepły półmrok, krąg światła dawała tylko stołowa lampa. Shelby skuliła się na sofie, z miską popcornu między sobą i Justinem. Maria przez uchylone drzwi poinformowała, że spędzi ten wieczór z Lopezem u swojej siostry.

Potem w domu zapadła cisza, przerywana jedynie wybuchami bomb i strzałami z karabinów maszynowych aliantów i sił Osi, którzy toczyli bój na ekranie.

Kiedy w końcu nieubłaganie pokazało się dno miski, Justin odsunął ją i zdjął buty, potem zapalił papierosa i oparł nogi na stoliku. Na ekranie wciąż trwała zaciepła walka. Shelby zdała sobie sprawę, że niemal bezwiednie przesuwa się bliżej Justina. Jej dłoń z wahaniem prześliznęła się w pobliże jego dłoni. Dotknęła jej i cofnęła rękę, zawstydzona i niezdecydowana.

Justin zauważył jej ruch i obrócił głowę.

- Czy potrzebne ci pozwolenie, żeby mnie dotknąć? - spytał łagodnym głosem.

- Nie wiem - odparła. - A potrzebne?

- Nie. - Przyglądał się jej z życzliwym rozbawieniem, aż przysunęła znowu dłoń, drżąc pod wpływem ciepła jego palców, kiedy splotły się z jej palcami.

Uśmiechnęła się speszona i wlepiła wzrok w ekran. Nic na nim nie widziała, nie słyszała ani słowa, ponieważ kciuk Justina głąaskał wilgotne wnętrze jej dłoni. Rozchyliła wargi, przypominając sobie ich poprzednie spotkanie na tej samej kanapie, i co wtedy robili. Przypomniała sobie chłodne skórzane obicie pod plecami, ciężar Justina na swoim ciele i bliskość, która z miejsca zabarwiła jej policzki na czerwono.

- A lubisz kryminały? - spytała, żeby przerwać nużącą scenę bitwy i własne wspomnienia.

- Jasne. Mam kilka filmów Hitchcocka, a także „Arszenik i stare koronki” z Cary Grantem.

- Uwielbiam ten film - rzekła rozmarzona. - Zaśmiewałam się do łez, kiedy go oglądałam po raz pierwszy.

- A westerny z Johnem Waynem? - spytał, zerkając na nią z ukosa.

- Widziałam „Hondo” tyle razy, że mogłabym chyba zaszczekać tak samo jak tamten pies. - Roześmiała się.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę.

- Zawsze mieliśmy wiele wspólnego, Shelby. A przede wszystkim łączy nas gitara. - Potarł opuszki jej palców. - Grasz jeszcze?

Pokręciła głową.

- Już nie. Straciłam do tego... serce.

- Ja też - wyznał, ponieważ po ich zerwaniu nie mógł znieść wspomnień przywoływanych przez dźwięk gitary.

- Może znowu spróbujemy razem poćwiczyć?

- Byłoby miło. - Posłała mu uśmiech, a on odpowiedział jej tym samym. A kiedy ich uśmiechy zbladły, a oczy rozjarzyły się pożądaniem, telewizor przestał być ważny.

Justin zacisnął palce na jej dłoni i nabrał głęboko powietrza.

- Chodź, kochanie - poprosił.

Powiedział to tak czule, że dreszcz przeszedł jej po plecach, bo rzadko zwracał się do niej takim tonem. Przysunęła się z hamowaną żarliwością, i całkiem naturalnie położyła mu głowę na ramieniu.

- Nie śpij.

- Nie jestem śpiąca - odparła z westchnieniem.

- Pachniesz korzennymi przyprawami.

- A ty pachniesz jak gardenia. To zapach, który zawsze kojarzy mi się tylko z tobą.

- To moje perfumy.

Zabrał rękę z jej dłoni i zgasił papierosa. Potem podniósł ją i obrócił. Shelby leżała teraz na jego kolanach, opierając mu głowę na piersi.

- Jeśli wolisz obejrzyć coś innego, proszę bardzo - powiedział, wiedząc doskonale, że oglądanie filmów jest ostatnią rzeczą, jaką oboje mają w głowie.

Nie obchodziło jej, co jest na ekranie, ponieważ i tak od początku filmu widziała tylko profil Justina. Ale nie zdradziła się z tym.

- Ten może być - zapewniła.

Gładził jej długie włosy, trzymał jej szczupłą rękę przy piersi i udawał, że jest zainteresowany filmem. Ale czuł zapach Shelby, jej piersi, jej ciepłą dłoń, która go dotyka.

W jego ciele odezwały się pierwsze sygnały pożądania, a kiedy spojrzał w dół i ujrzał to samo w jej oczach, przestał udawać. Niespiesznie rozpiął koszulę i powoli przyciągnął dłoń Shelby do swojej piersi, a jego wargi przesuwaly się po jej czole, jej zamkniętych powiekach, nosie, policzkach i szyi. Oddychała coraz szybciej, kiedy przytulał ją mocniej, kiedy szukał jej ust, a gdy je znalazł, odniosła wrażenie, że zaraz nastąpi wybuch.

Słyszała jego oddech, coraz bardziej namiętny, żądający wciąż więcej. Jego palce wśliznęły się w gęsty węzeł włosów na jej karku. Oboje nie mogli już złapać tchu. Shelby wbiła paznokcie w pierś Justina, a on jęknął głośno.

- Przepraszam - szepnęła. Justin położył się obok niej.

- Całuj mnie, Shelby.

Jej zahamowania rozplynęły się w jego pieszczocie. Wplatając palce w jego włosy, odpowiedziała z żarem na jego prośbę. Film zatrzymał się w międzyczasie, na ekranie zamarała jakaś bitewna scena, ale żadne z nich tego nie zauważyło. Pocałunki wydłużały się, ręce Justina pracowały przy zamkach i guzikach. Shelby czuła już na sobie jego nagą skórę. Zniknęły dawne lęki, bo wiedziała, że teraz Justin nie sprawi jej bólu, że potrafi być delikatny i cierpliwy.

Kiedy zsuwał z niej suknię, wstrzymała oddech i w półmroku małej lampki zobaczyła jego pogodny uśmiech.

- W porządku - szepnął. - Nie będę się śpieszył. Możesz mnie powstrzymać w każdej chwili.

Dał jej wybór, uspokoiła się zatem, głaszcząc jego atletyczne ciało. Uwielbiała poznawać go w ten sposób, dotykiem i smakiem. Podniosła na niego wzrok, zaglądając w jego oczy i pokazując mu swoją bezbronność.

- Och, Justin - szepnęła. - Jak cudownie! Pochylił głowę i złożył wargi na jej ustach. Jej skóra miała gładkość i blask satyny.

Justin zdał sobie w tym momencie sprawę, że nie ma takiej szansy, by się zatrzymał, ale Shelby nie wydawała się tym przejmować. Wciągnęła go na siebie, a jej wargi były równie niepohamowane co jego. Nie przerywając pocałunku, pozbył się ubrania, i oto miał ją pod sobą. Zwolnił więc i z niewysłowioną cierpliwością rozbudzał jej zmysły.

- Teraz - szepnął, kiedy się rozplakała. Obrócił ku sobie jej twarz. - Nie, nie odwracaj się, chcę cię widzieć.

Zaczerwieniła się mocno, ale patrzyła mu prosto w oczy w chwili, gdy ją posiadał.

Tyle lat niespełnionej miłości, niezrealizowanego pragnienia, i oto stało się, myślał Justin. Shelby należy do niego. Zniknęły wszelkie bariery i progi. Czuł, że zaakceptowała go i przyjęła bez zastrzeżeń. Był wzruszony.

Shelby na moment znieruchomiała, bo wrażenie było tak nowe, a bliskość tak porażająca.

- Wszystko w porządku - szepnął. - Tak, właśnie tak jak teraz. - Zaśmiał się, czując, że stali się doskonałą jednością.

Jej policzki pokryły się czerwienią, mimo to nie uciekła przed nim spojrzeniem. Czuła się zwycięzcą, i jej oczy lśniły tym zwycięstwem. Uniosła ręce do jego policzków, żeby mogła dosięgnąć wargami jego ust.

- Kochaj... mnie - szepnęła rwącym się głosem, kiedy Justin poruszył się w niej, a ona poczuła przeszywającą rozkosz. - Justin... kochaj mnie!

Te słowa przerwały tamę jego samokontroli. Nie mógł w nie uwierzyć, a jeszcze mniej prawdopodobne były jego własne uczucia. Popłynął na fali pożądania, bezsilny wobec jej siły dążył do spełnienia.

Gdzieś w głębi duszy Shelby czuła, że powinna się bać tego wyzwolenia. Ale jego ruchy budziły w niej napięcie, pod którym jej ciało śpiewało z rozkoszy. Prawdziwa ekstaza była w zasięgu ręki, sięgnęła po nią ostatkiem sił, gdy Justin właśnie uniół jej biodra. Świat wokół niej zaczął się nagle kręcić, wykrzyczała imię Justina raz i drugi, i jeszcze...

A on śmiał się. Jego wargi opadły na jej skronie, na jej policzki, jej wargi.

- Pierwszy raz - mówił bez tchu, śmiejąc się i znowu ją całując. - Mój Boże, pierwszy raz!

Otworzyła oczy i spojrzała na niego zafascynowana. Wydał jej się nagle całe lata młodszy. Miał wilgotne włosy, twarz pokrytą kropelkami potu, błyszczące oczy. Jego ciężkie, wilgotne ciało leżało na niej, wstrząsane dreszczami.

- Justin? - szepnęła zdezorientowana.

- Dobrze się czujesz, kochanie? Nie zrobiłem ci krzywdy?

- Nie. - Zaczerwieniła się i spojrzała na bok.

- Spójrz na mnie, tchórze.

To nie było wcale łatwe, jednak to zrobiła.

- Ja... nie wiedziałam... - Nie znajdowała słów. Schowała twarz w wilgotnym zagłębieniu jego szyi.

- Tyle samotnych nocy, Shelby - szeptał tęsknie. - Tyle marzeń. Ale nawet marzenia nie były aż tak fantastyczne. - Przytulił ją mocniej. - Pocałuj mnie, kochanie.

Uniosła ku niemu twarz, spełniając jego prośbę. Delikatnie przewrócił ją na plecy i zajrzał pytająco w jej twarz. Milczała, lecz odpowiedź dojrzał w jej oczach. Przesunął się w dół i znowu świat poszedł na pewien czas w zapomnienie.

Dużo później zaniósł ją na górę, tuląc w ramionach jak najdroższy klejnot. Ułożył w swoim łóżku i wyciągnął się obok niej, zgasiwszy światło. Przytulił ją, zasnęła kilka sekund przed nim.

Dużo później poczuła muśnięcie jego warg.

- Justin - szepnęła, podnosząc lekko powieki. Siedział na łóżku obok niej, ubrany w dżinsy i batystową koszulę, z twarzą rozjaśnioną uśmiechem.

- Muszę jechać do pracy - powiedział cicho.

- Nie! - jęknęła błagalnie, wyciągając do niego ręce. Odsunął kołdrę i przyciągnął ją do siebie.

- Kochaliśmy się w nocy.

- Kilka razy - dodała, i zepsuła swój nowy wizerunek intensywnym rumieńcem.

Justin pieścił jej wargi.

- Nie zabezpieczyłem się niczym - wyznał cicho, patrząc jej w oczy.

Rumieniec na jej policzkach się pogłębił.

- Ja też nie.

Dotknął jej warg palcem.

- Wiem. Czy zmartwisz się, jeśli zajdziesz w ciążę?

- Nie - odparła. - Chcę mieć z tobą dziecko.

Nie potrafił nawet wyrazić swojej radości ze sposobu, w jaki to powiedziała.

- Spałaś w ogóle?

- Dalej śpię. To wszystko mi się tylko śniło i nie chcę się jeszcze obudzić.

- To nie był sen. - Pocałował ją. - Nie bolało cię?

- Och, nie - odparła zaraz. - Wcale nie! Z podziwem przyglądał się jej twarzy.

- Od tej pory będziesz zawsze spała ze mną - oznajmił. - Żadnych murów, koniec z oglądaniem się za siebie. Zaczynamy wszystko od nowa, w tej chwili.

- Tak - szepnęła zgodnie. - Nie idź do pracy.

- Muszę. Ty też. - Spojrzał na nią. - Ale żadnych wycieczek samochodowych z szefem, zrozumiano?

- Zadzwonię do ciebie, obiecuję. - Uniosła się i pocałowała go w policzek. - Nie możesz chyba być dalej zazdrosny po ostatniej nocy.

- Nie oszukuj się - uprzedził ją. - Teraz, kiedy się z tobą kochałem, będę dziesięć razy bardziej zaborczy. Jesteś moja.

- Zawsze byłam twoja, Justin - odrzekła cicho, zdziwiona jego spojrzeniem, gorączką zazdrości w jego oczach. Przecież teraz chyba powinien już być jej pewny?

Justin patrzył badawczo w oczy Shelby, potem potoczył wzrokiem po jej szczupłym ciele.

- Doskonałe - powiedział. - Wszystko jest w tobie doskonałe. Nigdy w życiu się tak nie czułem jak z tobą... taki spełniony, taki kompletny.

Ona także czuła się teraz spełniona. Tyle że ona go kocha, on zaś jedynie jej pożąda. A może, pomimo wszystko, zaczął do niej czuć coś więcej?

- Ja też - powiedziała.

- Ale ty byłaś dziewczyną, kochanie - przypomniał, ocierając wargi o czubek jej nosa. - A ja miałem już pewne doświadczenia...

- Zauważyłam.

Skubnął jej wargi zębami, podniecając ją znowu.

- To było dawno temu, i nie ma z tobą nic wspólnego. Przez minione sześć lat nie całowałem się nawet z żadną kobietą, i to jest święta prawda. Nie masz żadnego powodu do zazdrości.

Objęła go, przytulając twarz do jego piersi.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. - Musnął jej czoło pocałunkiem.

- Muszę lecieć. Chętnie bym został, ale Calhouna nie będzie dziś w biurze cały dzień, więc ktoś musi go zastąpić.

- Wiem. Podrzućesz mnie do kancelarii?

- Jasne. Co byś zjadła na śniadanie? Odpowiedź widniała w jej oczach. Roześmiał się zadowolony, podniósł się, trzymając ją w ramionach, po czym rzucił ją na sam środek łóżka, patrząc z rozbawieniem, jak Shelby wygrzebuje się z pościeli.

- Nie teraz - mruknął w odpowiedzi na jej oczywiste zaproszenie, wyraźne mimo resztek wstydu. - Ubieraj się, dopóki jeszcze nad sobą panuję.

Westchnęła w odpowiedzi.

- Po prostu nie chcę przesadzić - stwierdził z nagłą powagą. - Dla ciebie to wciąż nowość.

Jej oczy zaszyły łzami.

- A ja się ciebie bałam. - Pokręciła głową.

- Rozumiem, dlaczego. Ale już nie musisz. - Odwrócił się i przeciągnął. - Bóg jeden wie, jak ja się skupię na robocie, ale w końcu nadejdzie znowu wieczór - dorzucił od drzwi z półuśmiechem. - To co chcesz na śniadanie? - powtórzył.

- Jajka na bekonie.

- Będą na ciebie czekać.

Wyszedł, a ona wstała szybko i ubrała się, ledwie dotykając stopami podłogi.

Kiedy zeszła do jadalni, Justin czekał już na nią przy stole. Włożyła do pracy prostą szarą spódnicę i bladoniebieską bluzkę, włosy spięła w skromny francuski kok. Wyglądała poważnie i szacownie. Znając zazdrość Justina, wołała nie burzyć ich nowego kruchego związku, sprawiając wrażenie, że stroi się do biura.

Justin podniósł wzrok znad talerza i uśmiechnął się z aprobatą.

- Wyglądasz bardzo oficjalnie - stwierdził z uznaniem.

Światło z okna padało na jego włosy i podkreślało ich głęboką czerń. Nie, nie był przystojny, ale Shelby pomyślała, że ma przed sobą najbardziej atrakcyjnego mężczyznę, jakiego spotkała w swoim życiu.

- To dobrze, że ci się podobam - rzekła z uśmiechem. Wstał i posadził ją obok siebie, po drodze całując ją w usta.

- Moja śliczna - szepnął. - Zjedz śniadanie, zanim ja zjem ciebie.

W głowie jej się nie mieściło, że w ciągu paru dni tak się wszystko między nimi zmieniło. Teraz Justin należał do niej. Mogła tak powiedzieć po raz pierwszy, odkąd się pobrali. Wreszcie znaleźli się na drodze do trwałego, szczęśliwego związku.

Kolejne dni jeszcze bardziej go umacniały. W kancelarii Shelby nie przestawała myśleć o Justinie, a kiedy wracali oboje do domu, nie było więcej kłótni ani żadnych murów.

Całował ją na powitanie i na pożegnanie, i kochał się z nią każdej nocy, a potem spała w jego ramionach.

Nigdy nie zbliżyła się bardziej do nieba, to było jak cudowny sen, który nie zmieniał się na gorsze ani się nie kończył. Wspólnie spędzali każdą wolną chwilę, jeżdżąc konno, grając na gitarze i oglądając filmy na wideo. To był nowy początek i Shelby niemal uwierzyła, że ich udziałem jest szczęście doskonałe.

Ale nawet jeśli zbliżyli się fizycznie, nawet jeśli spędzali ze sobą więcej czasu, Shelby wciąż czuła emocjonalny dystans męża. Justinowi nie zdarzało się mówić o miłości, nawet wtedy, gdy się kochali. Nie wspominał też o przeszłości ani o przyszłości. Miała wrażenie, że Justin robi, co w jego mocy, by żyć dniem dzisiejszym i nie przejmować się jutrem.

Jego powściągliwość przysparzała jej zmartwień. Wciąż kochała go tak samo jak na początku, ale Justin pokazywał jej twarz pokerzysty, z której nie potrafiła nic wyczytać. Pragnął jej fizycznie. To było oczywiste i wspaniałe. Jeśli jednak czuł dla niej coś więcej niż pożądanie, Shelby nigdy nie mogła się o tym przekonać.

Nie opuściła kancelarii, choć wiedziała, że Justin wolałby, by rzuciła pracę. Był tylko odrobinę mniej zazdrosny o jej szefa, ale przynajmniej nie robił już przykrych uwag na ten temat. W międzyczasie Barry Holman przekonał Tammy Lester do powrotu do biura, i w końcu między nimi zaczęło się coraz lepiej układać. Shelby spodziewała się rychłego przełomu, ponieważ zauważyła, jak wymieniali między sobą jednoznaczne spojrzenia.

W domu też nastąpiła zmiana. Od pierwszej wspólnej nocy Shelby i Justina minęły cztery tygodnie i pojawiły się istotne znaki, że ich zbliżenie może przynieść owoce. Shelby nie podzieliła się jeszcze z mężem swoimi podejrzeniami, ale była niemal pewna, że jest w ciąży. Ta myśl sprawiała jej bezgraniczną radość. Dziecko z Justinem byłoby dopełnieniem jej szczęścia, zwłaszcza że i on chciał mieć dzieci. Kiedy to małeństwo przyjdzie na świat, myślała, Justin może i ją pokocha przy okazji.

Któregoś dnia leżała zwinięta na kanapie, kiedy wszedł do pokoju, przeklinając głośno. Właśnie skończył rozmawiać z kimś przez telefon i wyglądał na bardzo poruszonego.

- Stało się coś? - spytała cicho, siadając.

Justin rzucił na nią ponurym wzrokiem i jeszcze bardziej się skrzywił.

- Muszę lecieć do Wyoming na kilka dni. Poproszono mnie do sądu w charakterze świadka na procesie mojego przyjaciela. - Westchnął. - Nie mam najmniejszej ochoty tam jechać, ale on by to dla mnie zrobił. Myślę, że jest niewinny.

Usiadł, przytulając ją, i nie przestając palić papierosa, wyjaśnił jej, że jego przyjaciel, właściciel rancza, został oskarżony o sprzedaż zatrutej wołowiny.

- Jesteś pewny, że tego nie zrobił?

- Jestem - odparł bez namysłu, myślami już gdzieś daleko. - Chciałbym cię ze sobą zabrać, ale zamieszkam z Quinnem Suttonem, a on nie przepada za damskim towarzystwem.

- Rozumiem, jest siwym starym pustelnikiem - zażartowała.

Justin mało się nie zakrztusił ze śmiechu.

- Prawdę mówiąc, jest mniej więcej moim rówieśnikiem. Jakies dziesięć lat temu jego żona odeszła z innym, i nigdy się z tego nie otrząsała. Mają dziecko, małego chłopca. Zostawiła go i Quinn go wychowuje. Nie wiem, co zrobi ten chłopak, jeśli jego ojciec wylądaje w więzieniu. - Potrząsała głową. - Diabelnie trudna historia.

- Mam nadzieję, że nie trafi do więzienia - powiedziała, patrząc na niego. - Będę za tobą tęsknić.

Objął ją z całej siły.

- Nie bardziej niż ja za tobą, kochanie - szepnął. - Będę dzwonił co wieczór. Może to nie potrwa długo.

- Oby nie. Jeśli zostawisz mnie samą na długo, ucieknę z jakimś seksownym facetem - zażartowała, wiedząc, że nie ma na świecie bardziej seksownego mężczyzny niż jej mąż.

Za to Justin, wciąż jej niepewny, nawet po paru tygodniach nieopisanej rozkoszy, zrozumiał ją opacznie. Oparł brodę na jej włosach i patrzył przed siebie nad jej głową, zastanawiając się, czy już się nim znudziła. Jest taka piękna! Owszem, spanie z nim sprawiało jej chyba przyjemność, ale on pragnął czegoś więcej niż jej szczupłego ciała. Chciał, żeby go kochała.

- Tylko nie szalej na drodze, jak mnie nie będzie - ostrzegł ją.

Zaśmiała się dyskretnie. Mały amerykański samochód, prezent od męża, nie należał do maszyn, którymi można się rozpędzić. Justin upewnił się co do tego przed zakupem, a mimo to wciąż jej w pełni nie ufał.

- Obiecuję. Maria i Lopez będą tu w nocy, więc nie musisz się o mnie martwić. Nic mi się nie stanie, poza tym, że będę się czuła samotna - dodała, siadając prosto.

- Justin, coś cię dręczy. O co chodzi?

Poruszył się nerwowo.

- To tylko interesy, kochanie - rzekł wymijająco. Patrzył na nią zmrużonymi oczami. - Nie znudził ci się jeszcze stan małżeński?

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Co?

- Słyszałaś dobrze. Nie mogę ci dać tego wszystkiego, co dawał ci twój ojciec. Ale mam nadzieję, że niczego ci nie brakuje.

Wyciągnęła rękę i przysunęła do siebie jego twarz.

- Och, Justin, przecież chcę tylko ciebie. Pocałowała go, czując, że jego ciałem wstrząsa dreszcz. Wciąż ją to zadziwiała, ta jego nieokiełznana reakcja, kiedy go dotykała. Nigdy tego nie komentował, ale wyglądało na to, że lubi, kiedy ona przejmuje inicjatywę, gdy pierwsza wyciąga rękę czy całuje. Nieczęsto tak robiła, ponieważ wciąż nie opuściło ją onieśmienie. Ale i tak szło jej coraz lepiej. Jego reakcja działała zachęcająco.

Podniósł ją i przycisnął wargi do jej ust. Ich napiętość zdawała się nigdy nie słabnąć. Przeciwnie, z czasem zyskiwała na sile, była większa niż na początku ich znajomości. Brak zahamowań Shelby sprzyjał z kolei śmiałości jej męża. W dalszym ciągu był czuły, ale od czasu do czasu jego płomienne pożądanie dopominało się o swoje i wówczas poznawała dzięki niemu rozkosz, która przechodziła jej najśmielsze wyobrażenia.

- Kiedy musisz wyjechać? - spytała, drżąc pod pieczątką jego dłoni, które zakradły się pod jej bluzkę.

- Jutro.

- Tak szybko?

Wstał z Shelby na rękach.

- Mamy przed sobą całą noc - powiedział jej do ucha. - Boże, jak ja cię pragnę. Pragnę cię bez przerwy...

Otworzył drzwi i ruszył po schodach na górę. Gdyby mogła powiedzieć mu, jak bardzo go kocha, podzielić się z nim cudownym sekretem, który w sobie nosi. Chciała to zrobić. Właściwie już zaczęła mówić, ale gdy otworzyła usta, jego wargi natychmiast na nich spoczęły. I tak jak zawsze, iskra pożądania wybiła jej z głowy wszystko poza Justinem i niepowtarzalną rozkoszą kochania się z nim w ciemnościach.

Kiedy się obudziła następnego ranka, Justina już nie było w domu. Pamiętała jak przez mgłę, że musnął ją wargami i szepnął coś na pożegnanie. Była jednak tak zmęczona, że się nie ocknęła. Rano żałowała, że nic mu nie powiedziała, miała bowiem niepokojące przeczucie, że ich harmonia zostanie zakłócona. Ale może wynikało to tylko z jej stanu i niepewności co do uczuć Justina? Z drugiej strony przecież stali się sobie tak bliscy, że nic nie mogłoby odbudować muru, który dzielił ich przez sześć lat.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sąd rozpoczął sesję i w małej kancelarii było dużo więcej niż zwykle pracy dla Shelby i Tammy. Holman prowadził dwie sprawy rozwodowe, spór o własność ziemską, pozwanie o zniszczenie mienia na skutek wypadku samochodowego, i dodatkowo bronił mieszkańca Jacobsville oskarżonego o zabójstwo. Tammy ledwo kończyła zbieranie dokumentów do jednej sprawy, kiedy już musiała zająć się następną.

Sprawa o ziemię wymagała zebrania informacji w biurze administracji okręgu, sprawdzenia dokumentów notarialnych i aktów własności. Jeden z rozwodów wymagał potwierdzenia zarzutów o znęcanie się nad dzieckiem, do czego z kolei potrzebne były zeznania pod przysięgą lekarza z pogotowia, który badał to dziecko. Tym zajął się Holman osobiście, oczywiście przy pomocy sądowego stenografa. Ale Tammy musiała zebrać wyniki obdukcji i ewentualnie zeznanie psychologa oraz sprawdzić przeszłość kryminalną ojca. Wypadek samochodowy oznaczał dla nich grzebanie w policyjnych archiwach i przesłuchanie ewentualnych świadków, a przy tym wszystkim sama sprawa o morderstwo mogłaby spokojnie zająć im cały czas.

Shelby nie zazdrościła młodszej koleżance jej przygotowania zawodowego. Tammy zapisała się na kursy wieczorowe z zakresu prawa do pobliskiego college'u i teraz okazało się to bardzo przydatne. Holman podniósł jej już pensję, i Tammy zajmowała się rzeczami, które przerastały umiejętności Shelby. Shelby była z tego zadowolona. Wiedziała, że ciąża nie pozwoli jej długo pracować w kancelarii. Justin z pewnością będzie się upierał, żeby została w domu co najmniej przez ostatni miesiąc. I sama po cichu tego pragnęła. Potrzebowała czasu, by wszystko sobie zaplanować, wybrać, kupić meble dla dziecka i przygotować dla niego pokój. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie minę męża, kiedy podzieli się z nim wiadomością o dziecku.

- Powiedziałem - Holman przerwał jej myśli - że obawiam się, iż będziesz musiała pracować po godzinach w tym tygodniu, ty i Tammy. Sąd cywilny pracuje pełną parą, w przyszłym tygodniu zbiera się sąd najwyższy. Nie mamy zbyt wiele czasu, żeby zdążyć w terminie.

- Nie szkodzi - zapewniła go. - Justin wyjechał, nie mam nic do roboty wieczorami.

- Jego strata, mój zysk - uśmiechnął się jasnowłosy prawnik. - Dziękuję, Shelby. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Muszę lecieć do sądu, a potem zjem lunch w Carson's Cafe. Wrócę koło pierwszej.

- Dobra, szefie.

Holman pośpieszył do drzwi i zderzył się z Tammy, która właśnie wbiegała do biura. Chwycił ją za ramię, żeby się nie przewróciła, a ona, w tym samym celu, oparła rękę na jego piersi. Spojrzeli po sobie i zamarli. Był to obraz, który dziwnie wzruszył Shelby.

- Nic ci się nie stało? - spytał Holman młodą kobietę. Tammy rozchyliła pełne usta.

- Nic - odparła, łapiąc oddech. Nie patrzyła na niego, zaczerwieniona po uszy.

Holman zabrał rękę, ale dopiero po chwili.

- Ostrożnie - powiedział miękko. - Nie chciałbym cię stracić.

- Tak, proszę pana - mruknęła Tammy zmieszana. Spuścił wzrok na jej usta, potem wyszedł, zabawnie marszcząc czoło.

Shelby musiała powstrzymać uśmiech. Najpierw walczyli ze sobą na śmierć i życie, potem stali się w swojej obecności zawstydzeni, powściągliwi i skonsternowani. Tammy dosłownie dostawała dreszczy, kiedy szef wchodził do ich pokoju, a jej twarz rozświeślała się natychmiast niczym neon.

- Ja, uff, mam dla ciebie notatki do przepisania - powiedziała Tammy, jękając się.

Shelby uśmiechnęła się do koleżanki.

- Wyjdę i kupię coś na lunch. Na co masz ochotę?

- Sałatkę z tuńczyka i krakersy, i mrożoną herbatę.

I wielkie dzięki. Ja pójdę jutro. - Wyszczерzyła zęby w przyjaznym grymasie.

- Umowa stoi. Zaraz wracam. Trzymaj straż. Shelby udała się do sklepu za rogiem i natknęła się tam na Abby pochyloną nad ozdobnymi kartkami.

- Czego szukasz? - spytała szwagierkę konspiracyjnym tonem.

Abby mało się nie zakrztusiła z zaskoczenia. Jej szaroniebieskie oczy błyszczały jak w gorączce.

- Kartki dla mojego cudownego męża. Za dwa tygodnie ma urodziny - przypomniała.

- Jak mogłabym zapomnieć, skoro to my urządzamy dla niego przyjęcie - odparła Shelby. - Aha, no właśnie, miałam zadzwonić do ciebie przedwczoraj, żebyśmy to obgadały. Jestem taka zajęta... - Zaczerwieniła się. Prawdę mówiąc, kiedy sięgnęła po słuchawkę, żeby zadzwonić do Abby, Justin przewrócił ją na dywan, i już nic nie zrobiła przez całą wieczór.

- Rozumiem, że dobrze się między wami układa - powiedziała Abby, patrząc na rumieniec Shelby.

- Calhoun mówi, że Justin tylko siedzi w pracy i дума. Zamiast pracować, postawił sobie na biurku twoje zdjęcie i bez przerwy się na nie gapi.

Shelby roześmiała się zadowolona.

- Naprawdę?

- Młoda para! - Abby westchnęła znacząco. - Cieszę się ze względu na ciebie. Wiedziałam, że wam się w końcu ułoży. Zawsze byliście idealnie pasującymi do siebie połówkami, nawet Tyler tak stwierdził, kiedy tańczyliście ze sobą.

Shelby zapłonęła intensywniejszym rumieńcem.

- Nigdy nie marzyłam nawet, że tak się ułoży - przyznała. - I nigdy nie byłam taka szczęśliwa.

- Justin na pewno czuje tak samo. - Abby przypatrywała się z zaciekawieniem twarzy Shelby. - Dlaczego nie rzuciłaś dotąd pracy? Nie wolisz zostać w domu?

- Uznałam, że to nie byłoby w porządku, gdybym tak sobie odeszła i zostawiła Holmana - wyznała. - Tammy Lester świetnie sobie radzi, więc prędzej czy później zostanę w domu. Chciałam po prostu się sprawdzić, nigdy przedtem nie byłam niezależna. To bardzo miłe uczucie.

- Podobnie jak małżeństwo. Świetnie się bawię, prowadząc dom, chociaż brzmi to jak obrazoburstwo w ustach współczesnej kobiety. Czy ta dziewczyna, którą dziś rano widziałam w oknie kancelarii, to właśnie Tammy? - spytała. - Widziałam tylko pochylony cień, ale bardzo cię przypomina - dodała. - Może nie z bliska, ale macie podobne sylwetki.

- Obie mamy długie włosy i jesteśmy wysokie i szczupłe. Ona zadurzyła się w szefie, i powiem ci w tajemnicy, że z wzajemnością. A na początku wręcz chorobliwie się nie znosili. Teraz są na etapie pochrząkiwania i przestępowania z nogi na nogę.

- Ciekawe, jak to się potoczy - powiedziała Abby z szelmowskim uśmiechem.

- Nie trzeba będzie na to długo czekać, jak sądzę.

Calhoun nie wie nic o przyjęciu niespodziance? - zmieniła raptem temat.

- Nie, coś ty, nie wyciągnąłby tego ode mnie nawet gdyby mi przystawił lufę do skroni. Justin dzwonił do nas wczoraj wieczorem i mówił, że zaprosił jakichś ludzi, których nie ma na mojej liście. Wspominał ci o tym?

Shelby ściągnęła brwi w namyśle.

- Cóż... nie. Domyślasz się, o kogo chodzi? Chyba nie zaprosił żadnej ze swoich dawnych flam? - powiedziała bardziej do siebie.

- O to bym się nie martwiła - mruknęła Abby, ponieważ szwagier wyznał jej kiedyś, że nie ma za sobą tak bujnej młodości jak Calhoun. Ale Shelby nie musi o tym wiedzieć od niej, Justin sam może jej to powiedzieć, jeśli i kiedy zechce.

- To kogo w takim razie? - zastanawiała się Shelby.

- Poczekamy, zobaczymy. Możesz go zapytać, jak wróci. Szkoda tego Suttona, prawda? - Abby westchnęła.

- Spotkałam go z synem na jednej z wystaw bydła, na którą pojechaliśmy z Calhounem w zeszłym miesiącu. Patrzył na mnie, jakby mnie nie widział, i była tam jakaś kobieta, która do niego dołączyła... - Abby zadrżała.

- Myślałam, że Justin jest wyniosły, kiedy zamieszkałam z Ballengerami, ale przy Suttonie Justin to radosny ekstrawertyk. Sutton nienawidzi kobiet.

- Jego strata - stwierdziła Shelby pół żartem, pół serio. - Oczywiście, pewnie nigdy nie spotkał kobiety swojego kalibru.

Abby wybuchnęła śmiechem.

- Wstydź się.

Shelby także się roześmiała.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała czas, to obgadamy to przyjęcie. Muszę lecieć, Tammy została sama w kancelarii.

- Dobra, przejrzę jeszcze raz kartki. Miłego lunchu.

- To na razie.

Przez całą drogę do biura Shelby rozmyślała nad słowami Abby. Nie wychodziło jej z głowy, kogo też Justin zaprosił bez jej wiedzy. Musi go o to spytać...

Justin poleciał do Wyoming w środę i choć miał nadzieję wrócić po dwu dniach, pojawiły się jakieś komplikacje i jego przesłuchanie zostało przeniesione na poniedziałek. A zatem nie zapowiadało się, by zjawił się w domu na weekend.

- Och, Justin! - westchnęła Shelby. - A ja muszę w przyszłym tygodniu pracować do wieczora przez ten sąd - jęknęła, kiedy do niej zatelefonował.

- Rzuć tę cholerną robotę. Kobieta powinna siedzieć w domu, bawić dzieci i pilnować porządku.

W tle głosu Justina rozległ się jakiś zimny, głęboki rechot i kilka słów, na które Justin odpowiedział.

- Co to było? - spytała zaciekawiona.

- Sutton uważa, że kobiety są najlepsze, kiedy się je obtoczy w mące, posoli i usmaży na smalcu - powtórzył.

- Możesz przekazać panu Suttonowi, że mężczyzn trzeba najpierw marynować - odparowała zirytowana.

W słuchawce odezwały się ciche pomruki i znowu ten głęboki rechot w tle.

- Wstydz się - mruknął Justin. - Muszę kończyć. Ten indor chodzi spać z kurami, więc zostawi mnie w ciemności, jeśli się nie rozłączę. Bądź grzeczna, kochanie. Do zobaczenia w poniedziałek wieczorem.

- Możesz przyjechać po mnie do biura, gdyby nie było mnie w domu, dobrze? - poprosiła.

- Dobrze. Dobranoc.

- Dobranoc, Justin. - Posłała całusa w słuchawkę, zanim odłożyła ją na widełki.

Kolejne dwa dni ciągnęły się nazbyt wolno, ale poniedziałek był w kancelarii nerwowy i zabiegany, i Shelby nie miała czasu tęsknić za mężem. Jedna sprawa gonila drugą, kompletny chaos. Telefon się urywał, Tammy musiała biec do sądu dwa razy, żeby przekazać jakieś pilne informacje Holmanowi.

Pod koniec dnia Shelby zwątpiła, czy w ogóle pójdzie do domu. Musiała jeszcze przepisać listy i przygotować streszczenie jednej ze spraw, długie na kilka stron, co nawet mimo pracy na komputerze zabrało jej mnóstwo czasu.

W międzyczasie Tammy fruwała po biurze, spełniając polecenia Holmana, który tracił cierpliwość. Patrząc na Tammy, która przygryzała wargi i piorunowała szefa wzrokiem, Shelby przeczuwała, że zbliża się awantura. O dziewiątej wieczorem Holman stanął w drzwiach i zrobił sarkastyczną uwagę na temat wymiarów działki, które Tammy zapisała błędnie, i dziewczyna wybuchnęła:

- Pan się spodziewa cudów! Haruję po godzinach, nie jadłam kolacji, musiałam się czołgać i błagać na kolanach, żeby zdobyć dla pana niektóre z tych danych, a pan się jeszcze na mnie wydziera! Nienawidzę pana!

- Ty niedojdo! - wrzasnął z kolei Holman. - Jeśli ci się zdaje, że to jest ciężka praca, spróbuj zostać prawnikiem.

Posłał jej triumfalny uśmiech i zniknął w gabinecie.

- O nie, ważniak się znalazł - zamruczała Tammy i weszła za nim, trzaskając drzwiami.

Z pokoju szefa dobiegały podniesione głosy, energiczne szuranie i skrzypienie krzesła, potem coś wylądowało na podłodze. Później zapadła długa, znacząca cisza, która się przeciągała. Siedząca przy komputerze Shelby uśmiechnęła się pod nosem. Wyglądało na to, że jej szef właśnie zrobił kolejny krok w swoich zalotach.

Ale dla mężczyzny, który siedział przed biurem w swoim czarnym thunderbirdzie, dwie postaci tworzące jedną sylwetkę w oknie nie przypominały Barry'ego Holmana i Tammy

Lester. Wyglądały za to na Holmana i Shelby. Biorąc pod uwagę wzrost kobiety i długość jej włosów, to jego żona znajdowała się w objęciach tego drania.

Serce Justina zatrzymało się. Prosto z lotniska pędził do miasta, by jak najszybciej zobaczyć Shelby. Nie jechał nawet do domu, postanowił od razu sprawdzić, czy jest jeszcze w kancelarii. No i sprawdził.

Pomyślał, że ta rana nigdy się nie zagoi. Widok Shelby w ramionach innego mężczyzny zabijał go. Żartowała, że znajdzie sobie innego, jeśli Justin zostanie długo poza domem. Nie była już dziewicą, lecz zmysłową kobietą. Może dopadło ją pożądanie, któremu nie mogła się oprzeć? To mało racjonalne, podobnie jak zazdrość, która go zżerała. Chciał wejść tam i zabić tego faceta. Chciał wyrzucić Shelby z domu, ze swojego życia. Zaufał jej, a ona znowu go zdradziła.

Nie chciał w to wierzyć, ale w co miał wierzyć? W oknie stała Shelby ze swoim szefem, i tyle. Za dobrze ją znał, żeby ją z kimś pomylić, a zresztą w biurze pracowała tylko jedna kobieta, więc to nie mógł być nikt inny.

Zapalił silnik i ruszył. Przed oczami pociemniało mu z bólu, bo ujrzał koniec swoich marzeń. Shelby była ogniem w jego ramionach, kochała się z nim, przytulała, dała mu wszystko, czego pragnął. Raz już się sparzył, i zapomniał o tym przez tę odrodzoną namiętność. Nie spała może z Wheelorem, ale i tak go zdradziła. A teraz historia się powtarza, a on jest bezradny. Jechał do domu, nie wiedząc, jak tam trafić, ze złamanym sercem, i już od nowa tęskniąc za Shelby. Jak mogła mu to zrobić? Jak mogła?!

Tymczasem w kancelarii Shelby skończyła swoją pracę i zastanawiała się, czy zapukać do pokoju Holmana. Postanowiła w końcu, że tego nie zrobi. Jeśli zakochani trwają w objęciach, okrucieństwem byłoby przerywać im czułości.

Zadzwoiła zatem do domu z pytaniem, czy Justin już wrócił. Maria poinformowała ją, że jeszcze go nie ma. Wyszła z kancelarii, zostawiając kartkę na biurku, wsiadła do swojego samochodu i ruszyła. I jak tu wierzyć Justinowi, przecież obiecał, że po nią przyjedzie. Może nie dotarł jeszcze do Jacobsville? Uśmiechnęła się, pocieszając się tą myślą.

Zaparkowała na podjeździe przed frontowym wejściem, wpadła do holu, potem do gabinetu Justina. Tam go zastała.

- Witaj! - zawołała z radosnym uśmiechem.

Ale mężczyzna siedzący za biurkiem był ponury, patrzył na nią zimno i w niczym nie przypominał czułego kochanka, który poleciał do Wyoming w minioną środę. Palił papierosa i miał tak obojętną minę, jak ktoś zupełnie obcy.

- Późno wracasz - zauważył.

- Ja... mieliśmy sprawę w sądzie. - Głos jej się załamał. - Uprzedzałam cię, że będę pracować do wieczora.

- No. - Zaciągnął się znowu. - Wyglądasz na zdenerwowaną. Coś się stało?

- Myślałam, że się ucieszysz, jak mnie zobaczysz - wykrztusiła niepewnym głosem.

Odpowiedział jej uśmiechem, od którego wiało chłodem. Umierał w środku, ale nie zamierzał jej tego pokazać.

- Naprawdę? - spytał niedbale. - Chyba zapomniałaś, co mi zrobiłaś sześć lat temu. Przykro mi, że cię zawiodłem, jeśli spodziewałaś się, że znowu ulegnę twojemu czarowi. Nie uległem. To, co się działo między nami przez ostatnie tygodnie, to była skromna rekompensata za cierpienie, jakie sprawiłaś mi w przeszłości. - Zaśmiał się cierpko. - Wybacz, kochanie, jeden raz to zupełnie dosyć. Ale nie myśl, że nie mogę bez ciebie żyć. Jesteś jak wino. Nie muszę się tobą upijać, mogę mieć przyjemność z okazjonalnego łyka.

Shelby stała i wytrzeszczała na niego oczy. Wiedziała, że śmiertelnie zbladła. Była już niemal pewna swojej ciąży, a Justin znów jej nie chce!

- Myślałam... przekonałeś się, że nie spałam z Tomem.

- Owszem - przyznał. - Ale zerwałaś nasze zaręczyny i powiedziałaś całemu cholernemu światu, że nie jestem ciebie wart. - Jego oczy błyszczały groźnie. - Teraz moja kolej. Jestem bogaty i już cię nie chcę, kochanie. I jak się czujesz?

Shelby zakręciła się i pobiegła przed siebie. Pędziła jak szalona po schodach, aż wpadła do swojego pokoju. Zamknęła się na klucz i rzuciła na łóżko, płacząc bezradnie. To było jak w najczarniejszym śnie.

Minęło kilkanaście minut. Łudziła się, że Justin nie mówił poważnie. Wsłuchiwała się w odgłosy za drzwiami i czekała, z nieuzasadnioną niczym nadzieją, że przybiegnie za nią, że przemyśli, co powiedział. Ale żadne kroki nie zabrzmiały na schodach i Shelby musiała przyjąć do wiadomości, że Justin do niej nie przyjdzie.

Najwyraźniej nie przeszkadzało mu również, że spędzi noc sam. Usłyszała jego kroki dużo później, kiedy szedł korytarzem do sypialni, którą przez jakiś czas dzielili. Zamknął drzwi i zapadła cisza.

Shelby nie miała pojęcia, o co chodzi. Kiedy Justin wyjeżdżał do Wyoming, wszystko układało się między nimi znakomicie. Wciąż niepokoił ją jego emocjonalny dystans, a jednak odnosiła wrażenie, że nie jest mu obojętna. Teraz stał się na powrót obcy. Nadeszła zemsta, której już nie oczekiwała.

W końcu zasnęła, z natrętnym pytaniem, co dalej. Wyczerpana, zalana łzami, stanęła w obliczu straty wszystkiego, co kochała. Justin zajmował pierwsze miejsce na tej liście.

Gdzieś w końcu korytarza mężczyzna, który właśnie wrócił z Wyoming, leżał, nie mogąc zasnąć, tęskniąc za oddechem śpiącej żony i za jej ciałem. Czuł się winny, że tak ją potraktował, winny jej łez i bólu. Ale i on cierpiał. Myślał już, że Shelby go kocha, a okazało się, że poślubiła go tylko z tego powodu, że straciła dom i potrzebowała poczucia bezpieczeństwa. Zrobiła z niego głupca, mając innego na boku. Fakt, że tym innym jest jej przystojny szef jeszcze bardziej go przygnębiał. Kochała się w tym playboyu i dlatego nie chciała rzucić pracy. Nie miał pojęcia, jak będzie z nią żył po tym, co zobaczył.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie skonfrontować jej z prawdą. Ale co by to dało? Pytał ją o Wheelora, a ona kłamała. Skłamała wówczas i okłamywała go od tamtej pory. Uspiała jego czujność. Naprawdę zaczynał jej znowu ufać. Jakie to szczęście, że wrócił do miasta bez uprzedzenia. Zobaczył jej prawdziwą twarz i był zdegustowany. Owszem, była dziewczicą, kiedy się pobierali, ale teraz, kiedy miała za sobą swój pierwszy raz, czerpała zapewne przyjemność z nowej relacji ze swoim szefem.

To przepełniło miarę. Z zaciekłym westchnieniem zacisnął powieki i zmusił się, by myśleć o czym innym.

Następnego ranka zszedł na dół z wystudiowaną miną, zdeterminowany, by nie pokazać Shelby, jak bardzo go zraniła. Raczej umrze, niż pokaże jej swoje prawdziwe uczucia.

Shelby także wstała wcześniej. Piła czarną kawę i bezmyślnie skubała grzankę. Kiedy wszedł do jadalni, podniosła wzrok. Jej oczy były spuchnięte od płaczu, a jej mina wyrażała pełną nadziei niepewność.

- Nie mówiłeś poważnie wczoraj wieczorem, prawda? - spytała, patrząc na niego. - Prawda, Justin?

Minął ją i usiadł u szczytu stołu, jak zawsze, nalewając sobie kawę z dzbanka.

- Mówiłem śmiertelnie poważnie, Shelby. - Wziął sobie bekon, jajka i grzanki, tak nonszalancko, jakby była jego współpracownicą. - Zjedz jajka.

Nie mogła nawet na nie patrzeć, a co dopiero mówić o jedzeniu. Straciła apetyt i niewiele brakowało, żeby straciła też okruchy grzanki, które zdołała przełknąć. Potrząsnęła głową.

Justin zmrużył oczy i przyjrzał się jej. Była udręczona. Włosy jej lśniły, ale twarz miała bladą i ściągniętą, bez śladu makijażu.

- Nie jestem specjalnie głodna - powiedziała.

- Jak chcesz. - Nie pokazał jej, że też nie może nic przełknąć. Milczał, aż zostawił pusty talerz, czując na sobie jej wzrok, który wprawiał go w konsternację.

- Jak sobie wyobrażasz nasze dalsze wspólne życie? - spytała.

Odsunął talerz i wypił kilka łyków kawy.

- Jesteś moją żoną - stwierdził. - Będziesz mieszkała w moim domu i niczego ci nie zabraknie, ale od teraz będziemy mieć osobne sypialnie i osobne życie.

Zamknęła oczy, zalana falą żalu i wstydu. A co z dzieckiem, które w sobie noszę? - miała na końcu języka. Co się stanie z naszym dzieckiem?

- Chyba nie będzie ci teraz przeszkadzało, że będziemy sypiać osobno? - spytał szyderczo. - Skoro już zaspokoiliś swoją ciekawość.

- Nie - rzuciła pospiesznie. Nie była w stanie dokończyć kawy. Od jej zapachu zrobiło jej się niedobrze. Wstała powoli z krzesła. - Muszę iść, bo spóźnię się do pracy.

Oczy mu się z miejsca zapaliły.

- Niech Bóg broni, żebyś się spóźniła... do pracy. Zbyt źle się czuła, by zarejestrować wahanie czy wstręt w jego głosie. Wyszła, dopóki jeszcze mogła, nie okazując mu słabości. Na to jedno nie mogła sobie teraz pozwolić. Pojechała do pracy i gdy tylko tam dotarła, chwyciły ją gwałtowne torsje. Wytarła potem twarz wilgotnymi papierowymi ręcznikami i siadła cicho za biurkiem. Potrzeba czasu, myślała, żeby pogodzić się z oschłością Justina.

Czuła się jak ktoś, komu pozwolono wpaść na minutę do nieba, a potem rzucono go z powrotem na ziemię. Nie wiedziała, co skłoniło Justina do takiego zachowania. Teraz pozostanie z nim zdawało jej się niemożliwe, ale nie miała dokąd pójść. Przynajmniej na razie. I na pewno nie ruszy się nigdzie, póki nie przejdzie jej faza porannych mdłości.

Kiedy szef i Tammy przyjechali do biura, w pełni już panowała nad swoim stanem. Ale z trudem dosiedziała do późnych godzin i do reszty straciła apetyt. Z każdym kolejnym dniem trudniej przychodziło jej stawiać nogę przed nogą.

Któregoś wieczoru wpadła do niej Abby, by uzgodnić szczegóły urodzinowego przyjęcia dla Calhouna. Abby zauważyła złą atmosferę w ich domu i o mało co tego nie skomentowała, ale Shelby wyglądała tak kiepsko, że ugryzła się w język.

- Nie zapomniałeś o urodzinach Calhouna? - spytała Shelby Justina, kiedy jedli wspólny posiłek, co zdarzało się teraz wyjątkowo rzadko.

Podniósł wzrok znad dania, którego nawet nie spróbował, i przez moment, zanim się odwrócił, miał w oczach spokój i ciszę. Zwrócił uwagę, że Shelby źle wygląda. Była strasznie blada, słaba i jakoś tak przygasła. Wiedział, że to z jego powodu, ale nie mógł nic z tym zrobić.

- Nie zapomniałem - odparł. Zmienił pozycję i przyglądał się jej. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Miałam męczący tydzień. I dość nieoczekiwany. Nie musisz się mną przejmować - powiedziała, wzdychając nieznacznie. - Nic mi nie jest. Mam dach nad głową i nie głoduję, mam pracę. Mam wszystko, co mi obiecałeś przed ślubem. Nie mogę narzekać.

Odłożyła widelec i podniosła się, lekko chwiejąc się na nogach. Chwyciła się oparcia krzesła, modląc się, żeby ciemność zniknęła sprzed jej oczu, zanim zrobi krok. Zniknęła. Shelby udało się nawet uniknąć pomocy Justina, który już do niej biegł.

- Nic ci nie jest? - wołał.

Nie mógł tego znieść. Czuł się chory z poczucia winy. Zdziwiał, bo to przecież ona go zdradziła, a nie odwrotnie.

- Już mówiłam, czuję się dobrze. - Opuściła jadalnię, trzymając wysoko głowę, i w milczeniu poszła na górę.

Nie spędzali już razem czasu, jeśli trafiało się, że jedli o tej samej porze, był to doprawdy przypadek. Potem on zawsze szedł do gabinetu, ona zaś do swojego pokoju na górze. Maria to widziała, ale ona i Lopez milczeli. Tak było bezpieczniej, jeśli znało się humory Justina.

W dzień przyjęcia Shelby odpoczywała po południu. Potem przebrała się. Wygrzebała z szafy ciemnozieloną aksamitną suknię, której nie wkładała od roku. Była trochę ciasna, gdy się pobierali, ale teraz Shelby straciła na wadze i suknia pasowała jak ulał. Siegała ziemi, była bez rękawów, z rozszerzaną spódnicą i okrągłym wycięciem pod szyją. Shelby spięła włosy i włożyła naszyjnik ze szmaragdem, odziedziczony po babce. Nawet makijaż nie przykrył jej bladości.

Była pewna, że Abby wspomniała Calhounowi o kolejnej zmianie atmosfery w ich domu. Kiedy Calhoun zjawi się wieczorem i zobaczy, jak się od siebie oddalili, na pewno napomknie o tym Justinowi. Czowała, że nie zniosłaby kolejnej konfrontacji.

Dotknęła swojego brzucha, zastanawiając się, kiedy powinna wybrać się do lekarza. Po sześciu tygodniach można już stwierdzić ciążę, a właśnie tyle minęło wedle jej obliczeń. Problem w tym, jak ukryć to przed Justinem w tak niewielkiej społeczności jak Jacobsville. Może lepiej pojechać do Houston i tam się przebadać?

Z dołu dochodziły już pierwsze dźwięki muzyki. Skropiwszy się delikatnie perfumami, zeszła na dół, trzymając się balustrady. Z półpiętra wypatrzyła Abby i Calhouna.

Trzymali się za ręce, tak szczęśliwi, że ich widok łamał jej serce. Jasnowłosa i wysoki Calhoun oraz szczupła i ciemnowłosa Abby tworzyli razem uroczy duet. Calhoun włożył ciemny wieczorowy garnitur, Abby wybrała bladoniebieski jedwab, współgrający z kolorem jej oczu.

Shelby nie widziała za to Justina, póki nie zeszła na dół. Stał tam ubrany w elegancką popołudniową marynarkę. Zzerała ją ciekawość, czy zamierza udawać przed gośćmi, czy też będzie sobą. Nie śmiała jednak spojrzeć mu w oczy z tym pytaniem. Mógłby jeszcze dojrzeć w nich jej żal i tęsknotę.

Skreśliła więc w stronę drzwi, gdzie Lopez w białej marynarce wpuszczał właśnie kolejnych gości. I raptem zamarła na widok mężczyzny, który przystanął nerwowo w holu i szukał wzrokiem jakiejś znajomej twarzy.

Wierzyć jej się nie chciało, że Justin miał czelność go zaprosić. Pewnie liczył na to, że na urodzinach Calhouna Shelby nie odważy się zrobić sceny.

Ruszyła przed siebie jak burza, mijając obojętnie Justina i chwytając po drodze bardzo kosztowną starą wazę.

- Witaj, Tom - rzekła z surową uprzejmością. - Miło cię znowu widzieć.

Po czym uniosła wazę i cisnęła nią prosto w łysiejącą głowę Toma.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Shelby patrzyła zafascynowana, jak stara waza frunie obok lewego ucha Toma i wpada na stojący w rogu stojak na kapelusze, zrzucając na podłogę sfatygowany kapelusz Justina.

- Shelby! - wykrztusił Tom, wycofując się migiem. Ona tymczasem sięgała już po wazon z kwiatami, ustawiony przez Marię na stoliku w holu.

- Shelby, nie! - Tom zakręcił się i z rękami nad głową wybiegł frontowymi drzwiami.

Shelby ruszyła za nim, ślepa na zszokowane spojrzenia gości oraz jej męża, który stał, wytrzeszczając oczy.

- Pasożyt! - krzyczała rozjuszona. - Drań i pasożyt! - Pozwoliła mu dobiec do połowy stopni i cisnęła kwiatami w fajansowym wazonie z Delft.

Tym razem trafiła. Tom omal nie stracił równowagi, łapiąc się w ostatniej chwili za balustradę, a wokół niego pikowały odłamki wazonu.

Z trudem pokonał resztę stopni i pognął do swojego samochodu. Shelby odprowadzała go rozwścieczonym wzrokiem. Jak miał czelność pojawić się u nich, i to na zaproszenie Justina? Czy naprawdę przypuszczał, że wymazała z pamięci jego udział w spisku? Przecież wiedział, co ona o nim myśli.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem, zachowując się, jakby Justina tam nie było.

- Dobry wieczór - pozdrawiała po drodze gości, jakby kompletnie nic się nie stało. - Wszystkiego najlepszego, Calhoun. Tak się cieszymy, że Abby zgodziła się, żebyśmy urządzili dla ciebie to przyjęcie. - Podeszła do niego i ucałowała jego opalony policzek.

- Dziękuję, Shelby - wydusił Calhoun, oniemiały jak cała reszta obecnych.

- Może wejdziemy i usiądziemy do stołu. - Shelby kiwnęła głową do gości, w znakomitej większości przyjaciół Justina i Calhouna, których ledwie знаła. Wzięła Justina pod rękę, lecz nie patrzyła na niego ani się do niego nie odzywała.

- Co to miało znaczyć, do diabła? - spytał, kiedy przez chwilę znaleźli się poza zasięgiem słuchu gości, idąc w stronę elegancko zaaranżowanej jadalni.

Zignorowała kompletnie jego pytanie.

- Jak śmiałeś zaprosić tego człowieka? - spytała zamiast tego. - Jak śmiałeś zaprosić go do naszego domu, po tym, jak pozwolił się wykorzystać mojemu ojcu, żeby nas rozdzielić?

- Chciałem się przekonać, czy został jakiś żar po tamtym ogniu - odrzekł z chłodnym uśmiechem.

- Żar? - Wzięła głęboki oddech. - Masz szczęście, że go nie zabiłam. Żałuję zresztą.

- Spokój, spokój.

- Idź do diabła, Justin - powiedziała z uśmiechem równie lodowatym jak jego uśmiech. - I schowaj sobie gdzieś te swoje nastroje, swoją chęć zemsty i swoje bezduszne serce.

Justin zmrużył oczy.

- Wciąż trwasz przy tej bajeczce, że to ojciec zmusił cię do zerwania zaręczyn?

- Dlaczego nie możesz mi uwierzyć?

- Z bardzo prostego powodu - odparł, kiedy goście weszli już do jadalni. - Bo to twój ojciec dał pieniądze, które wyciągnęły naszą tuczarnię z bankructwa. Zapłacił cały cholerny rachunek. - Dostrzegł jej zszokowaną minę. - Dziwi cię to? Tak raczej nie postępuje człowiek, który komuś źle życzy, chyba się z tym zgodzisz?

Shelby czuła, że za chwilę umrze, tak szybko biło jej serce. Przytrzymała się oparcia krzesła, by nie upaść.

- Usiądź, na Boga. - Justin przestraszył się. - Dobrze się czujesz?

- Nie, niedobrze.

Abby, spostrzegając nagłą słabość Shelby, usiadła szybko naprzeciwko niej.

- Podać ci coś może? - spytała szeptem, zerkając dokoła.

- Zaraz mi przejdzie, pod warunkiem, że Justin zostawi mnie w spokoju - powiedziała, podnosząc na niego wzrok.

Wyprostował się, patrząc przez moment w jej oczy.

- Z przyjemnością, pani Ballenger - burknął i ruszył żwawo zabawiać gości.

Shelby nie wiedziała, jakim cudem przetrwała tę kolację. Siedziała sztywno niczym posąg, odpowiadając na pytania i rozdając uśmiechy, jak przystało idealnej gospodyni. Ale kiedy wymknęła się wreszcie na górę, by poprawić makijaż, Abby podążyła za nią szybkim krokiem.

- Co się dzieje? - spytała wprost.

- Po pierwsze, jestem w ciąży - odparła szczerze Shelby.

Abby wstrzymała oddech. Jej wzrok, wzburzony przed chwilą, złagodniał.

- Och, Shelby, czy Justin już wie?

- Nie wie i nie wolno ci mu o tym mówić. - Usiadła w pleconym fotelu, opierając o niego głowę. - Znowu szaleje i wścieka się o to, co było. Przez krótki czas wszystko się tak dobrze układało. Potem nagle wrócił z Wyoming zupełnie obcy człowiek, i od tamtej pory jest zimny jak lód. Więc jak mam mu powiedzieć o dziecku w takiej sytuacji?

- To by mogło zmienić jego nastrój - zasugerowała Abby.

- Nie potrzebuję litości. - Shelby schowała twarz w dłoniach. - To się nigdy nie uda, Abby. On nie potrafi zapomnieć o przeszłości. Nie wiem, co robić. Nie mogę z nim dłużej żyć.

Łzy kapały na jej dłonie. Abby przytuliła ją, mówiąc to, co się mówi w takich sytuacjach, i miała nieodpartą ochotę natychmiast zbiec na dół i dowalić Justinowi pięścią.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała, kiedy łzy wyschły nieco i Shelby wycierała zaczerwienione oczy.

- Zamierzam policzyć moje straty, oczywiście - powiedziała zmęczonym głosem. - Jutro jadę do Houston. Mam tam kuzynkę, która, mam nadzieję, pozwoli mi u siebie zamieszkać, dopóki nie wymyślę, co dalej. Zadzwoń do niej później. Potrzebuję czasu, żeby to wszystko przetrwać.

- A co z pracą? - pytała dalej Abby, chwytając się ostatniej deski ratunku, by powstrzymać Shelby przed jakimś głupstwem.

- Holman i Tammy świetnie dają sobie radę. Szczerze mówiąc, najprawdopodobniej się pobiorą, i to całkiem niedługo. Tammy się wszystkim zajmie. Zadzwoń do niej dziś wieczorem, uprzedzę ją.

- Nie możesz tak po prostu odejść od Justina, nie próbując nawet z nim pogadać - ciągnęła Abby, dobierając starannie słowa. - Nie wiem, co się stało, ale znam Justina i wiem, co do ciebie czuje. Nie widziałas go tamtego wieczoru, kiedy Calhoun odwiózł cię do domu po tańcach. Był załamany, że przyprawił cię o łzy. Bardzo mu na tobie zależy.

- Tak, i potrafi to fantastycznie okazać - zauważyła cynicznie Shelby. - Najpierw informuje mnie, że będziemy żyć osobno, potem przyprowdza tego... tego człowieka tutaj!

- Pewnie mu się zdawało, że twoje uczucia do Toma nie wygasły.

- Tom i mój ojciec byli do siebie podobni, obu zależało wyłącznie na powiększeniu fortuny. - Shelby wlepiła wzrok w pogniecione, mokre chusteczki. - Ale najbardziej boli mnie, że mój ojciec spłacił tuczarnię Justina i Calhouna, a ja nic o tym nie wiedziałam aż do dziś. - Westchnęła. - Nic dziwnego, że nie uwierzył w moje zapewnienia, że to ojciec nas rozłączył. Ojciec wszystko sprytnie sobie obmyślił, Justin już nigdy mi nie zaufa.

- Wysłuchałby cię, gdyby wiedział o dziecku.

- Ale się nie dowie - rzuciła stanowczo Shelby. - To moje dziecko, nie jego. Niech idzie do diabła.

Abby zmartwiła się nie na żarty. Shelby wyglądała mizernie, a rozmowa prowadziła donikąd i niczego nie rozwiązywała.

- Nie mówmy o tym teraz. Musisz się wyspać i przemyśleć wszystko spokojnie, teraz jesteś zmęczona. Połóż się do łóżka, zastąpię cię w roli gospodyni. Powiem Justinowi, że rozboleł cię żołądek albo że masz migrenę. Coś wymyślę.

- Tylko przez niego boli mnie głowa - oznajmiła Shelby.

Abby wstała, gotowa do wyjścia, kiedy drzwi sypialni otworzyły się nieśmiało i stanął w nich Justin.

Miał jakąś dziwną minę. Był wyciszony i szczerze zakłopotany.

- Przyszła do ciebie jakaś kobieta. Panna Lester - dodał. - Twierdzi, że z tobą pracuje.

- Tak, to prawda. - Nie patrzyła na niego. - Czego chce?

- Idzie tutaj, sama ją spytaj. - Przesząpił z nogi na nogę. - Długo z wami pracuje?

- Kilka tygodni. - Shelby podniosła głowę. Tammy weszła do pokoju na palcach.

Miała błyszczący wzrok, cała była rozpromieniona.

- Cześć - odezwała się z wstydliwym uśmiechem.

- Co się stało?

- Wybacz, ale nie mogłam wytrzymać do jutra, żeby ci pokazać mój zaręczynowy pierścionek. Patrz! - Wyciągnęła dłoń, na której lśnił ogromny brylant. - Dał mi to dziś wieczorem.

Shelby roześmiała się i podniosła się chwiejnie, by uściskać młodszą koleżankę.

- Bardzo się cieszę. Czuję, że to się zbliża, kiedy zniknęliście w gabinecie i zrobiło się tak podejrzanie cicho.

Tammy szczerzyła radośnie zęby.

- No. Zdaje się, że już całe miasto trzęsie się od plotek, bo podobno było widać nasze cienie w oknie.

- Zaczerwieniła się po uszy. - Nie myśleliśmy, że ktoś nas widzi. Ale skoro jesteśmy zaręczeni, to chyba wszystko w porządku, prawda?

W tym momencie Justin pobladł jak ściana. Abby spostrzegła to i zmarszczyła czoło, ale Shelby nic nie zauważyła. Wciąż patrzyła na Tammy.

- A gdzie szef? - spytała.

- W samochodzie, czeka niecierpliwie. No to do jutra, przyjdź wcześniej.

Shelby chciała jej powiedzieć, że nie pojawi się w poniedziałek w biurze, ale przeszkodziła jej w tym obecność Justina. Musi zachować swoje plany w tajemnicy przed nim.

- Tak - odrzekła zatem. - Do jutra. Pogratuluj w moim imieniu szefowi - dodała z uśmiechem.

- Dobrze, i przepraszam za najście - rzuciła Tammy, zerkając na Justina i Abby. - Ale nie mogłam się powstrzymać. Dobranoc.

Wyszła pospiesznie, a Shelby natychmiast usiadła.

- Dzięki Bogu - zwróciła się do Abby. - Wreszcie biuro wróci do normalności. Przez ostatnie tygodnie atmosfera była po prostu nie do wytrzymania.

- Ta dziewczyna jest do ciebie podobna - zauważył mimochodem Justin.

- Owszem, to prawda - przyznała Abby. Spojrzała na szwagra i nagle zrozumiała, że Justin zobaczył w oknie kancelarii Barry'ego Holmana i Tammy, którą wziął za swoją żonę. Pomyślała, że jeśli teraz wyjdzie, Shelby i Justin porozmawiają o tym i wszystko sobie wyjaśnią.

- Zejdę lepiej na dół. Na pewno już dobrze się czujesz?

- Tak - zapewniła ją Shelby. - Dzięki.

- Wytłumaczę cię jakoś.

Justin odprowadził ją wzrokiem, szukając jednocześnie słów, które pomogłyby mu naprawić szkodę, jaką niechcący wyrządził. Shelby wyglądała na bardzo urażoną. Powinien się zastrzeżić. To on jest powodem jej cierpienia, bo jej nie wysłuchał i wyciągnął pochopne wnioski.

- Shelby... - zaczął powoli i niezdecydowanie.

- Nie czuję się dobrze - oświadczyła. - Chcę się położyć.

- Schudłaś ostatnio - zauważył.

- Naprawdę? - Zaśmiała się głucho. - Proszę cię, odejdz. Nie mam ci nic do powiedzenia, nie mam nawet ochoty na ciebie patrzeć, po tym, co zrobiłeś. Żeby zapraszać tego człowieka!

- Musiałem wiedzieć!

Podniosła na niego wzrok i wstała rozgniewana.

- Powiedziałam ci prawdę. Nie słuchałeś, nigdy mnie nie słuchałeś. Woląłeś swoją własną interpretację, więc idź i baw się dobrze. Już mnie nie obchodzi, co myślisz.

Justin zeszywniał. Jego duma została narażona na kilka dodatkowych ciosów, ale tym razem miał pełną świadomość, że sobie na nie zasłużył.

- Dlaczego twój ojciec nas rozłączył?

- Bo chciał, żebyśmy wyszła za Toma - oznajmiła, odwracając się od niego. - Nie życzył sobie ubogiego zięcia. Z drugiej strony, nie chciał sobie robić wrogów, zwłaszcza w takiej małej miejscinie, gdzie wszyscy znają się jak łyse konie, więc zrobił ze mnie kozła ofiarnego. A ty zatańczyłaś, jak ci zagrał. To dało mu możliwość nacisku, którą skrzętnie wykorzystał.

- To dlaczego pożyczył mi pieniądze? - pytał dalej Justin. - Na Boga, ta pożyczka ostatecznie go pograżyła. Przez całe lata go spłacałem, ale dla niego i tak było już za późno.

Shelby pokazała palcem na łóżko, stojąc plecami do męża.

- To zamierzchłe czasy. Może znajdujesz pocieszenie w przeszłości, ja nie. Miałam wielkie nadzieje na dzisiaj, dopóki nie postanowiłeś ożywić dawnych sporów. Teraz jestem zmęczona i chcę się położyć.

Otworzył usta, ale żadne słowo z nich nie wyszło. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Ja... widziałem cię. To znaczy, zdawało mi się, że to ty. W oknie w twoim biurze, kiedy przyjechałem po ciebie, wracając z Wyoming - przyznał w końcu z wahaniem.

Shelby zakręciła się, otworzyła szeroko oczy.

- Myślałeś, że to ja się całuję z szefem? Uniósł i opuścił ramiona jak dziecko.

- Ty i Tammy macie podobny profil, poza tym nigdy mi nie wspominałaś, że ktoś z wami pracuje.

Shelby uniosła głowę.

- Dziękuję - powiedziała z sarkazmem - za twoją doskonałą opinię o mojej moralności. Dziękuję za zaufanie i za to, że mi uwierzyłeś, że nigdy cię nie zdradzę.

Policzki mu poczerwieniały.

- Raz mnie zdradziłaś - bąknął. - Zostawiłaś mnie dla innego.

- Nigdy tego nie zrobiłam. Nigdy! Ile razy mam ci to powtarzać?! Mój ojciec zagroził, że cię zrujnuje, i kazał mi powiedzieć ci to, co powiedziałam. Obiecał, że wtedy cię uratuje, ale nie zdawałam sobie sprawy, że zrobił to przy pomocy własnych pieniędzy.

- Umawiałaś się z Tomem Wheelorem - dorzucił.

- Nie! Złamałam serce mojemu ojcu, bo nie zgodziłam się poślubić Toma. - Zaśmiała się gorzko. - Życie bez ciebie było piekłem. Próbowałam ci o tym powiedzieć, ale ty mnie nie słuchałeś. I wciąż nie chcesz słuchać. - Łzy zamgłyły jej wzrok. - Jesteś zbyt rozżalony i za bardzo zapatrzony w przeszłość, żeby zapomnieć o urazach. Nie mogę tak dalej żyć. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo mnie skrzywdziłeś, choć muszę przyznać, że moje tchórzostwo ci w tym pomogło. Ale wszystko, co zrobiłam, zrobiłam tylko po to, żeby cię chronić, bo kochałam cię za bardzo i nie chciałam, żebyś stracił wszystko, co posiadasz. Tylko ciebie zawsze pragnęłam. Ale ty pragnąłeś mnie zawsze tylko w jeden sposób, a teraz - jak to powiedziałaś? - kiedy zaspokoiliś pożądanie, nawet ono zniknęło. Mam rację?

Justin zaciskał zęby, jej słowa bolały.

- O Boże, Shelby - szepnął.

- Cóż, możesz spać spokojnie, może od początku byliśmy na to skazani. Bez zaufania nie ma nic. - Odgarnęła z twarzy włosy. - Myślałam, że rodzi się jakaś szansa, zanim wyjechałeś do Wyoming. Ale jeśli w dalszym ciągu mi nie ufasz, nie mamy żadnych wspólnych fundamentów, na których można by coś budować. Jestem już bardzo zmęczona - powiedziała, przysiadając na skraju łóżka. - Jestem zmęczona tą ciągłą walką. Chcę już tylko spać.

Justin przejechał ręką po swoich gęstych włosach, patrząc na nią zdezorientowany.

- Oczywiście - rzekł cicho. - Porozmawiamy jutro. Jutro już mnie tu nie będzie, pomyślała, ale zachowała tę wiadomość dla siebie.

- Tak, jutro.

Chciał ją objąć, rozmawiać z nią dalej. Wyznać, że jego chłód spowodowany był wyłącznie zazdrością, ponieważ nie przypuszczał, że taka piękna kobieta może go pokochać. Nigdy w to nie wierzył, a jego niepewność, brak wiary, że jest atrakcyjnym mężczyzną dla takich kobiet jak Shelby, stanowił największą część jego problemu. Ale Shelby rzeczywiście wyglądała na wykończoną i byłoby okrucieństwem z jego strony, gdyby zawracał jej głowę jeszcze tego wieczoru.

- Odpocznij, a jeśli będziesz mnie potrzebowała, zawołaj.

- Jesteś ostatnią osobą na ziemi, której potrzebuję. Wciągnął powoli powietrze.

- Mój Boże, wiedziałem, zawsze to wiedziałem. - Prześliznął się po niej wygłodniałym wzrokiem. - Ale nigdy nie robiło mi to różnicy, i tak cię pragnąłem. Nigdy nie przestanę cię pragnąć...

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. A Shelby przewróciła się na zasłane łóżko i opłakiwała wszystkie szczęśliwe lata, których z nim nie przeżyje, dziecko, które w sobie nosi, i o którym on się nie dowie. Opłakiwała to wszystko, a potem zasnęła w wieczorowej sukni, leżąc na ozdobnej narzucie.

Justin znalazł ją śpiącą w ten sposób następnego ranka. Nie budził jej. Wyglądała tak krucho, z czarnymi włosami rozrzuconymi wokół śpiącej twarzy. Była bardzo blada, poczuł się winny do bólu. Zranił najdroższą mu w świecie istotę.

Zdjął jej pantofle i przykrył ją lekko narzutą, patrząc na nią z podziwem i miłością.

- Walczyłbym dla ciebie z całym światem, maleńka - szepnął. - Co za ironia, że wciąż cię tylko krzywdzę.

Nie słyszała go. Dotknął ostrożnie jej policzka, pogładził brwi. Jego oczy wypełniła czułość.

- Kocham cię - szeptał. - O Boże. Tak bardzo cię kocham. Dlaczego nie potrafisz ci tego powiedzieć?

- Pochylił się i musnął wargami jej usta. - Powiedziałaś, że ci nie ufam. Może tak naprawdę nie ufam sobie. Potrzeba ci kogoś delikatniejszego niż ja. Kogoś bardziej zrównoważonego. Zawsze to wiedziałem, ale nie miałem siły odejść. - Uniósł jej szczupłą dłoń i uśmiechnął się smutno. - Dobrze by mi zrobiło, gdybym cię stracił, ale chyba nie mógłbym wtedy żyć.

Położył jej dłoń na narzucie i zerkając po raz ostatni na jej śpiącą twarz, odwrócił się i wyszedł. Może później porozmawiają, i powie jej raz jeszcze to wszystko, co mówił teraz. Jeśli w dalszym ciągu będzie to w sobie dusił, sam zwiększy prawdopodobieństwo utraty ukochanej kobiety.

Shelby obudziła się godzinę po jego wyjściu. Zauważyła od razu, że leży w sukni i jest przykryta narzutą. Nie pamiętała, czy przykryła się sama, czy może zrobiła to Maria. Cóż, to bez znaczenia. Czekają ją mnóstwo zadań do wykonania w krótkim czasie.

Zaczęła od telefonu do Tammy, ale ta akurat wyszła z kancelarii. Dodzwoniła się za to do kuzynki Carey i spytała, czy może ją odwiedzić w Houston na dzień lub dwa, i natychmiast została serdecznie zaproszona. Znały się z Carey od szkoły podstawowej i prócz więzów krwi łączyła je także przyjaźń. Obiecała kuzynce, że zjawi się jeszcze tego samego dnia, rozłączyła się i zrobiła rezerwację na południowy lot do Houston z lotniska w Jacobsville.

Następnie spakowała walizkę. Wzięła tylko najpotrzebniejsze rzeczy, modląc się w duchu, by poranne nudności nie zatrzymały jej w domu.

Wezwała taksówkę, ukradkiem zeszła na dół, i już prawie była za drzwiami, kiedy do holu weszła Maria, by oznajmić, że śniadanie gotowe, i znalazła Shelby z walizką, wymykającą się do czekającego przed domem samochodu.

- *señora!* - zawołała bezradnie.

- Wyjeżdżam tylko na dwa dni - powiedziała Shelby drżącym głosem. - Abby wie, gdzie mnie szukać. Tylko nie mów nic Justinowi! Obiecuj mi!

Maria skrzywiła się, ale w końcu potaknęła. Patrzyła, jak Shelby wsiada do taksówki i odjeżdża. Przynęła nie mówić nic Justinowi, ale nie obiecała przecież, że nie zadzwoni do Abby. Podniosła słuchawkę i natychmiast wykręciła numer żony Calhouna.

Justin wisiał akurat na telefonie, kiedy jego szwagierka wparowała do jego biura, w dżinsach i rozchełstanej koszuli, z nieuczesanymi włosami i bez śladu makijażu. Zamknęła

drzwi i siadła po drugiej stronie biurka, patrząc na twarz swojego byłego opiekuna, który natychmiast zakończył rozmowę.

- Co się stało? - spytał, wyczuwając od razu złe wieści.

- Wszystko - mruknęła Abby, ściągając brwi. - Jeszcze spałam, kiedy zadzwoniła Maria. Shelby kazała jej przyrzec, że nie zadzwoni do ciebie, więc zadzwoniła do mnie. Złamałam wszystkie możliwe przepisy, jadąc tutaj. A teraz - westchnęła - nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Justin zamarł, słysząc imię swojej żony. Miał jakieś złe przeczucia. Wiedział, że zranił ją do głębi. A minionej nocy wspomniła, że dłużej nie chce tego znosić.

- Zostawiła mnie, tak? - spytał cicho.

- Tak. Pytanie, co ty z tym zrobisz.

Zapalił papierosa. Jego świat się raptownie zawalił, ale jeszcze panował nad swoim ciałem. Wbił wzrok w biurko.

- Pal licho, pozwolę jej odejść - rzekł po chwili. - Dość ją skrzywdziłem.

Abby zabrakło tchu z oburzenia.

- Justin!

Podniósł na nią pociemniałe z bólu oczy.

- Nie masz pojęcia, jak ja ją traktowałem - oznajmił.

- Byłem zazdrosny i śmiertelnie bałem się ją stracić...

- Urwał, żeby nerwowo przeczesać ręką włosy. - Co ja mogę jej zaoferować? Jak mam ją zatrzymać?

- Możesz spróbować powiedzieć jej, że ją kochasz - rzekła po prostu Abby. - Ona nic więcej nie chce.

- Nie wysłucha mnie po wczorajszej nocy.

- Widziałeś Barry'ego Holmana i Tammy w oknie kancelarii, tak? - spytała.

Spojrzał na nią zmieszany.

- Tak.

- I zamiast powiedzieć to Shelby, i pozwolić jej to wyjaśnić, zacząłeś od końca.

- Bingo.

- Och, Justin. - Pokręciła bezradnie głową. - Ona jest w drodze do Houston.

- Może znajdzie tam kogoś, kto da jej to, czego potrzebuje - powiedział rozgoryczony, że sam pozbawił się szansy.

Abby nic nie osiągnęła. Miała świadomość, że jeśli Justin nie pojedzie za Shelby, ich związek się rozleci. Nie chciała odbierać Shelby tajemnicy, ale skoro ten facet tak się zaparł...

- Justin, co myślisz o dzieciach? - spytała pozornie od niechcienia.

Słuchał jej jednym uchem, serce ciążyło mu jak ołów.

- Lubię dzieci - mruknął zamyślony.

- To dobrze. To czemu nie pojedziesz za Shelby i nie sprowadzisz swojego dziecka z powrotem do domu?

Początkowo sądziła, że jej nie usłyszał. Zamrugął oczami, zamuroowało go.

- Co? - wydusił.

- Powiedziałam, że Shelby jest w ciąży. Jeśli naprawdę chcesz mieć dziecko, leć prędko na lotnisko, zanim wywiezie to twoje dziecko do Houston.

- O czym ty mówisz, do diabła? - wybuchnął.

- Justin, no wiesz...

Ale on już zerwał się na nogi, a jego krzesło wylądowało na podłodze. Chwycił się biurka, żeby samemu nie znaleźć się obok. Patrzył na Abby jakoś dziko, jego ręka z papierosem drżała jak w gorączce.

- Dziecko? Shelby jest w ciąży i nic mi nie powiedziała?

Abby nie była pewna, co dalej zrobić. Wybiegła prędko z biura i odszukała Calhouna.

- Chodź! - Pociągnęła go za rękę. - Potrzebuję cię. Calhoun uśmiechnął się szeroko.

- Kochanie, to nie jest dobre miejsce...

- Justin jest w szoku.

W jednej chwili uśmiech zniknął z jego twarzy. Pośpieszył za nią do biura. Starszy z braci stał dalej tak, jak Abby go zostawiła. Wciąż poblady, z miną, jakby ktoś wbił mu sztylet w plecy.

- Musisz go zawieźć na lotnisko - poinstruowała Abby.

- Na lotnisko? Do diabła, on potrzebuje lekarza! Coś ty mu zrobiła? - spytał szeptem.

- Powiedziałam mu, że Shelby jest w ciąży. Calhoun gwizdnął przez zęby.

- I że jedzie do Houston.

- Mogę sam prowadzić - odezwał się niepewnie Justin.

Ruszył do drzwi, ale ręce wciąż mu się trzęsły, kiedy usiłował zgasić papierosa, stukając palącym się końcem w biurko. Calhoun zgasił papierosa i stanowczo wziął brata za ramię.

- Nie martw się, duży bracie, zawiozę cię tak szybko, żebyś zdążył. - Zerknął na żonę.

- Które lotnisko?

- W Jacobsville jest tylko jedno.

- Jesteś bardzo pomocna - mruknął. - Tak czy owak, są chyba tylko dwa loty do Houston poza godzinami szczytu.

- Ona jest w ciąży - zachrypiał Justin. - Nic mi nie mówiła. Wiedziała i nie powiedziała. To moja wina. Zawiodłem ją.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go Abby.

- Boże, mam nadzieję. - Obejrzał się na nią. - Dziękuję ci, kochana jesteś.

- Nie mów Shelby, że wiesz to ode mnie - poprosiła. - Ale bałam się, że pozwolisz jej odejść.

Skinął tylko głową, odsunął się od brata i popędził na dwór. Nie dyskutował jednak, kiedy Calhoun zaprosił go do swojego jaguara i sam usiadł za kierownicą.

- A jeśli samolot już odleciał? - denerwował się, paląc następnego papierosa.

- To kupimy ci bilet od Houston. - Calhoun rozciągnął twarz w uśmiechu. - Zostanę wujkiem. Wyobrażasz sobie? - Zerknął na małomównego brata. - A myślałem już, że wy z Shelby żyjecie w czystości.

- Zamknij się - burknął Justin, kryjąc zażenowanie.

- Jak sobie życzysz, duży bracie. - Zagwizdał i skręcił na autostradę, wciskając gaz do dechy.

Dojechali na lotnisko w rekordowym tempie. Justin wyskoczył z samochodu, zanim Calhoun dobrze się zatrzymał, i pognął do terminalu. Znaleźli lot do Houston. Justin poszedł do kasy biletowej, gdzie usłyszał, że samolot w tamtym kierunku odleci za niecałe pięć minut.

Puścił się pędem, wyprzedzając Calhouna, ze wzrokiem wbitym w odległą bramkę i sercem pękającym ze strachu, że Shelby odleci, zanim on ją dogoni. Kiedy oświetlone cyfry nad bramką rosły, przyśpieszył.

Jeszcze minuta, mówił sobie, minuta i zobaczy ją. Potem z nią porozmawia, powie jej, jak bardzo ją kocha.

Minął grupę odlatujących właśnie pasażerów i dobiegł do pustej lady w chwili, gdy pracownik lotniska zdejmował tabliczkę z napisem Houston, zastępując ją nową, z nazwą innego miasta.

- Lot do Houston? - spytał bez tchu. - Gdzie to jest?

- Zamknęli drzwi jakieś dwie minuty temu - poinformował uprzejmie mężczyzna. - Kołuje teraz na pasie startowym.

Justin poczuł, że jego serce przestało bić. Obszedł ladę i zbliżył się do okna. Jakieś samoloty szykowały się do startu, jeden z nich unosił w swoim wnętrzu Shelby. Shelby i jego dziecko.

Stał nieruchomo, ze złamanym sercem. To wszystko jego wina. Sam ją do tego doprowadził. Nie wiedział, jak, do diabła, ma teraz bez niej żyć.

Calhoun dotknął ostrożnie jego ramienia.

- Może coś przekazamy? Potem kupimy ci bilet na następny samolot.

- Nawet nie wiem, gdzie jej szukać, nie rozumiesz?

- zachrypiał Justin. - Mój Boże, Cal. Nie wiem, gdzie jej szukać.

- Wszystko się ułoży - stwierdził młodszy z braci.

- Znajdziemy ją. Przysięgam.

Justin odwrócił się gwałtownie od okna.

- Do diabła z jedzeniem, chcę się napić. Skierował się w stronę neonu z napisem „Restauracja” w drugim końcu hali.

Calhoun poszedł za nim, zastanawiając się poważnie, jak utrzyma starszego brata w trzeźwości po tak pustoszącym człowieka przeżyciu. Obiecał, że znajdą Shelby, ale przecież nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Niełatwo będzie znaleźć kobietę w tak wielkim mieście jak Houston. Zwłaszcza gdy nie chce być znaleziona.

Stał w hali, patrząc, jak brat wchodzi do restauracji i siada przy oknie. Justin zamawiał coś, a Calhoun westchnął ciężko. Cóż, może powinien podejść do kasy, dowiedzieć się o następny samolot do Houston i kupić Justinowi bilet.

Właśnie kierował się w tamtą stronę, kiedy jego wzrok padł na znajomą twarz. Zatrzymał się w połowie drogi i otworzył szeroko oczy. Nie, to nie sen. Ubrana w popielatą suknię kobieta z niedużą walizką to była Shelby. Szła prosto na niego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Shelby poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Była pewna, że Maria będzie milczała, ale teraz straciła tę pewność. Chyba że, oczywiście, Calhoun przyjechał na lotnisko odebrać jakiegoś klienta.

- Cześć, Calhoun - powitała go z niepewnym uśmiechem.

- Cześć, Shelby. - Przeniósł wzrok na jej małą walizkę. - Wybierasz się gdzieś?

Poruszyła się niespokojnie.

- Rozstaję się z twoim bratem.

- Wiem, Maria dzwoniła do Abby. Justin też już o tym wie.

Shelby zbladła, ale szybkie spojrzenie dokoła utwierdziło ją, że Justina tam nie ma, westchnęła zatem z ulgą.

- Nie ma go z tobą, prawda? Calhoun wziął ją delikatnie za rękę.

- Chyba dobrze by było, żebyś go teraz zobaczyła. No chodź, on nie gryzie.

- Tak ci się tylko wydaje - mruknęła. - To gdzie on jest?

- Tam. - Pociągnął ją w stronę baru i wskazał na kąt, gdzie Justin siedział nad butelką whisky i szklanką. Gapił się na tę butelkę, a zapomniany papieros słał w górę szarobure spirale dymu.

Shelby ściągnęła brwi. Justin nie miał zwyczaju pić. Wprawdzie Abby wspomniała, że upił się tamtego wieczoru po tańcach, ale wiedziała, że to był wyjątek. Justin lubił panować nad sobą i sytuacją, nie znosił, gdy jego umysł był zaćmiony alkoholem.

- Co on tam robi?

- Przypuszczam, że się upija. - Calhoun odebrał od niej walizkę i spojrzał na jej woskową twarz. - Shelby, czy on wygląda na szczęśliwego faceta?

- Niespecjalnie.

- Czy wygląda na faceta, który wariuje z radości, bo żonka go zostawiła?

Potrząsnęła głową. Prawdę mówiąc, Justin wyglądał dokładnie odwrotnie. Czyli na kogoś, kto przechodzi załamanie nerwowe. Popatrzyła na niego z miłością i smutkiem.

- Musiałem go tu przywieźć, bo tak się rozdygotał, że nie mógł utrzymać kierownicy - mówił dalej Calhoun, kiwając głową w odpowiedzi na jej zszokowaną minę. - Na pewno niechętnie się do tego przyzna, ale kiedy do siebie dojdzie, to mu jeszcze nagadam. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, jaki jest nieszczęśliwy. Ten facet cię kocha, kobieto. Przez wiele lat byłaś jedyną gwiazdą na jego niebie. I wiem, mimo że cię strasznie wkurzał, że oddałby za

ciebie życie. Jeśli go nie kochasz, najlepiej będzie, jeśli teraz odejdziesz. Ale jeśli ci na nim zależy, nie uciekaj. Wejdź tam i pogadaj z nim.

- Kocham go - oznajmiła po prostu. - Ale on mnie nie wysłucha, nabił sobie głowę tymi wszystkimi okropnymi rzeczami...

- Jeśli mu powiesz, co czujesz, wysłucha cię. Słowo. Podniosła na niego wzrok, łamiąc się.

- To bardzo trudne...

- Życie jest trudne. - Nachylił się i pocałował ją delikatnie w policzek. - No idź. Miej to za sobą. Posiedzę tu, będę udawał pasażera i wypiję kawę. Popilnuję ci walizki.

Uśmiechnęła się do niego serdecznie.

- Dzięki, Calhoun.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz idź. Wahała się, ale tylko przez sekundę. Calhoun ma rację. Musi stanąć twarzą w twarz z Justinem.

Nerwowym krokiem szła w stronę stolika, przy którym siedział. Kiedy się do niego zbliżyła, zobaczyła bladość jego twarzy i nowe zmarszczki, których na niej przybyło.

- Justin? - odezwała się cicho.

Podniósł wzrok. W jego oczach coś zaiskrzyło, jakiś błysk rozjaśnił je, kiedy z nabożeństwem niemal patrzył na nią.

- Ciebie tu nie ma - powiedział. - Wyjechałaś. Shelby przygryzła wargę. Jej mąż zachowuje się, jakby mówił do ducha.

- Jeszcze nie wyjechałam. - Usiadła na krześle i patrzyła na jego mocne dłonie. - Wybacz, że tak uciekłam. Ale naprawdę miałam już dosyć.

- Wiem i nie mam do ciebie żalu. Nigdy nie dałem ci szansy. - Podniósł szklankę do ust, ale jej palce dotknęły jego dłoni, każąc mu odstawić alkohol. Zaśmiał się. - Mówiłem ci, że nienawidzę alkoholu? Ale nie co dzień człowiek traci wszystko, co kocha.

Łzy zalały jej oczy. Złapała go za rękę.

- Nigdy mi nie powiedziałeś, że mnie kochasz - szepnęła. - A ja nigdy nie przestałam cię kochać. I nigdy nie przestanę. Nie pragnę niczego prócz ciebie.

Zacisnął palce wokół jej dłoni, jego ciemne oczy rozświetliły nagle całą jego twarz.

- Nie wiedziałaś tego bez słów? Mój Boże, wszedłbym w ogień, gdybyś mnie o to poprosiła. Jesteś moim całym światem. Kocham cię.

Shelby położyła mu głowę na ramieniu, żałując tylko, że są w zatłoczonym barze, bo najchętniej zarzuciłaby mu ręce na szyję, całowała go i mówiła mu to wszystko, czego mu dotąd nie powiedziała.

Justin objął ją i przytulił.

- Mój Boże - szeptał z ustami przy jej czole. - Myślałem, że za mnie wyszłaś ze strachu, dlatego, że zostałam sama.

- A ja uważałam, że się ze mną ożeniłeś z litości - odparła, pozwalając łzom potoczyć się po policzkach.

- Ale i tak cię kocham.

Wycierał palcami jej twarz. Wpatrywał się w jej zamglone wzruszeniem oczy.

- Chodźmy stąd. Chcę ci pokazać, co czuję, nie mogę cię teraz stracić. O Boże, Shelby, zginąłbym bez ciebie - rzucił ochryplym głosem, i słowa te były też w jego oczach.

Shelby znowu się rozplakała. Wstała, biorąc go za rękę. Szli razem, a Justin nie puszczał jej dłoni, jakby nie mógł się od niej oderwać.

Calhoun zobaczył ich, kiedy wychodzili z baru. Uśmiechnął się i podniósł walizkę Shelby.

- To co, podrzucę was do domu - zaproponował.

- Potem muszę lecieć na spotkanie.

Ledwie go słyszeli. Justin wyglądał, jakby przebywał w innym świecie, Shelby stała tak blisko niego, jakby była jego integralną częścią.

Posadził ich na tylnym siedzeniu swojego samochodu i ruszył, zadowolony z siebie. Brat i szwagierka niemal go nie zauważali. Byli zbyt zaabsorbowani wpatrywaniem się w siebie.

Calhoun wysadził ich pod domem Ballengerów, stawiając walizkę Shelby na stopniach ganku.

- Dzwoniłem do Abby, kiedy siedzieliście w barze. Zaprosiła was na kolację, co wy na to? Maria wybiera się wieczorem do siostry, a Shelby na pewno nie ma ochoty gotować.

- Bardzo chętnie - powiedział Justin i klepnął brata po ramieniu. - Dzięki.

- Zrobiłbyś dla mnie to samo - odparł Calhoun z uśmiechem. - Prawdę mówiąc, już to zrobiłeś, a może nie pamiętasz? No to widzimy się o szóstej. Na razie, Shelby.

- Dzięki, Calhoun! - zawołała jeszcze za nim.

Justin wziął walizkę i weszli do domu. Maria przybiegła na ich widok, wyrzucając z siebie burzliwy strumień hiszpańskich słów. Justin niespodzianie chwycił ją w pasie i wycisnął na jej policzku siarczystego całusa. Postawił ją z powrotem na ziemię, a ona się zaśmiała.

- *señor* - oburzyła się na żarty. Była ubrana do wyjścia. - Wychodzimy teraz z Lopezem, ale musiałam poczekać i przekonać się, czy wszystko w porządku. A co z kolacją?

- Calhoun nas zaprosił, zjemy z nim i Abby - oznajmiła Shelby i też uściskała gospodynię. - Dziękuję, że zadzwoniłaś do Abby. Nigdy nie zapomnę, co dla nas zrobiłaś.

Maria była cała w skowronkach.

- Już sama by pani coś wymyśliła, *señora* - śmiała się. - Ja tylko trochę pomogłam. Musimy się już śpieszyć. Wrócimy jutro, *señor*, przygotuję wspaniałe śniadanie.

- Już się nie mogę doczekać. Z Bogiem!

Maria uśmiechnęła się i pośpieszyła do kuchni, gdzie czekał na nią Lopez.

Justin tymczasem zaprowadził Shelby do salonu, gdzie Maria postawiła tacę z kawą i ciasteczkami. Shelby usiadła, Justin zajął się kawą. Ale zanim podał jej filiżankę, pochylił się i pocałował ją z wielką czułością.

- Kocham cię - powiedział, patrząc jej w oczy.

- Zawsze cię kochałem, nawet jeśli nie potrafiłem ci tego wyznać.

Odpowiedziała mu pocałunkiem.

- Tylko na to czekałam - odparła. - Ja też cię kocham. Ale ty nigdy w to nie wierzyłeś, tak mi się zdawało.

Podał jej kawę i przysiadł się ze swoją filiżanką.

- Byłem wtedy biedny, no i nigdy nie uchodziłem za wzór męskiej urody. Ty pochodzisz z zamożnej rodziny, jesteś piękna i miałaś powodzenie. - Zaśmiał się. - Nigdy nie czułem, że stanowią poważną konkurencję dla ludzi pokroju Wheelora.

- Pieniądze i uroda nie miary i nie mają dla mnie żadnego znaczenia - oświadczyła. - Posiadasz o wiele ważniejsze zalety. - Patrzyła mu przez chwilę w oczy. - Ale ponad wszystko liczy się, że cię kocham. Miłość nie zależy od jakichś powierzchownych spraw ani majątku.

Spojrzał na nią z nieskrywanym pożądaniem.

- Nie. Zapewne nie. Ale nie byłem ciebie pewny.

- A teraz?

- A teraz... - Dotknął wolną ręką jej policzka.

- Unieszczęśliwiłem cię, ale gdybym wiedział, co czujesz, nie miałbym żadnych wątpliwości. Żadnych. Wierzysz w to, możesz mi wybaczyć, że tak cię potraktowałem?

- Kocham cię - powtórzyła po prostu. - Nic więcej się nie liczy. - Uniosła się lekko i pocałowała go namiętnie. - Rozumiem, skąd wzięły się twoje przypuszczenia. Ale to knowania mojego ojca spowodowały tyle bólu, żadne z nas nie jest temu winne. Teraz wystarczy, że mnie kochasz.

Justin odstawił swoją filiżankę i odebrał filiżankę z rąk Shelby, po czym przyciągnął ją do siebie.

- Cofnąłbym czas, te sześć lat, gdyby to było możliwe - szepnął. - Zrobiłbym wszystko, żeby ci wynagrodzić...

- Justin... już to zrobiłeś - powiedziała z lekkim wahaniem. Wzięła jego rękę i przycisnęła powoli do swojego wciąż płaskiego brzucha. Trzymała tam jego dłoń, zagładając mu w oczy. - Noszę twoje dziecko.

Wiedział o tym. Ale kiedy usłyszał to od niej, wzruszył się niepomierne.

- Shelby... - Pocałował ją jeszcze raz. - Shelby. Ty i dziecko...

- Nie żałujesz? - spytała cicho, trochę się z nim drażniąc.

Miałby żałować? Był dumny.

- Niczego nie żałuję. Będziemy mieć syna czy córkę?

- Dla mnie to bez znaczenia, byle dziecko było zdrowe. - Przytuliła się do niego mocno. - Aha, postanowiłam rzucić pracę w kancelarii, jeśli ci jeszcze o tym nie mówiłam. Tammy i szef będą beze mnie bardzo szczęśliwi.

- A ja będę bardzo szczęśliwy z tobą, jeśli tego naprawdę chcesz. - Przesunął palcem po jej wargach. - Nie zamknę cię w domu, jeżeli nie będziesz chciała. Nie będę nalegał, żebyś ograniczyła się do roli żony i matki.

- Nie ograniczę się - zapewniła go. - Chociaż to będzie przez pewien czas moja najważniejsza rola. Potem może pójde na jakiś kurs albo zostanę wolontariuszką. Na razie ważne jest dziecko.

- Jak długo to już trwa?

- Przypuszczalnie jestem w szóstym tygodniu. W przyszłym tygodniu wybiorę się do lekarza, żeby się upewnić.

- To musiało być wtedy, kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy - stwierdził poruszony, patrząc jej w oczy. - Tak?

Ukryła przed nim twarz, śmiejąc się z zażenowaniem.

- Tak.

- Dobry jestem - mruknął.

- Bardzo dobry.

Justin nachylił się, zbliżając wargi do jej ust. Kochała ten jego dotyk, kochała jego ciało tak blisko siebie. Westchnęła głośno, co dodatkowo go rozpałiło.

Jej ręce powędrowały na tył jego głowy, on zaś przyciągnął do siebie jej biodra, coraz żarliwiej ją całując.

Pragnął jej. Ona zaś już to rozpoznawała, te oczywiste znaki. Wiedziała też, że tym razem będzie od początku do końca inaczej. Tym razem to będzie najważniejsze zdarzenie w ich życiu.

- Chcesz mnie? - szepnął jej do ucha. - Bo ja już wariuję. Chcę cię natychmiast.

- Po raz pierwszy... to było tutaj... - wydusiła, kiedy wsunął pomiędzy nich rękę, by rozpiąć jej popielatą suknię.

- Bo tu jest wygodnie - zaśmiał się. - W razie czego zawsze mamy jeszcze dywan.

Shelby popatrzyła mu w oczy.

- Co za perwersja.

- Wcale nie, dywan jest gruby i miękki... i nikt nas nie zobaczy. Ale żeby mieć pewność...

Poderwał się z uśmiechem i zamknął drzwi na klucz. Zdjął koszulę, obserwując Shelby, która mu się przyglądała, patrząc, jak jej wzrok przesuwają się ku klamrze paska u jego dżinsów. Lubił, kiedy tak na niego patrzyła. Jej oczy ciemniały wtedy i patrzyły jeszcze bardziej zmysłowo.

Wreszcie ściągnął ją z kanapy.

- Czy to nie jest niebezpieczne dla dziecka? - upewnił się na wszelki wypadek.

- Nie, jeśli będziesz uważać. Ale czy ty mnie kiedyś skrzywdziłeś?

- Nie masz do mnie żalu, Shelby? - spytał z wahaniem.

- Nie, Justin.

Chwycił ją za biodra i przywarł do nich, żeby poczuła siłę jego pożądania. Jej ciało zareagowało w znany mu już sposób. Przysunęła się, sygnalizując mu subtelnie własne pragnienia.

Całowała go, aż jej wargi nabrzmiały. Justin rozpiął do końca jej suknię, zdjął powoli bieliznę, a wszystkie jej hamulce uleciały. Po ich pierwszym razie pozbyła się lęku przed bliskością. Jej ciało znało już przyjemność, która miała nadejść, i oczekiwało jej z rozkoszą, nie ze strachem.

Podniecał ją długie, leniwe minuty. Zadowolony czuł się dopiero wówczas, gdy drżała na całym ciele, kompletnie mu uległa. Wtedy dopiero rozebrał się do końca, pochłaniając wzrokiem łagodne linie jej ciała. Ona zaś patrzyła na niego zamglonymi oczami, jak zawisł nad nią, wsparty na rękach, a potem położył się na niej. Zadrżała gwałtownie.

- To nie powinno cię już szokować - szepnął. - Jesteś doświadczoną mężatką.

- To nie szok, to... rozkosz. - Przytuliła policzek do jego piersi. - Justin!

- Kocham cię - szepnął. - Nigdy ci nie okazałem, jak bardzo cię kocham, ale teraz właśnie to zrobię. Leż spokojnie, maleńka. - Zbliżył do niej wargi i mruczał coś pośpiesznie i ochryple po hiszpańsku. Były to słowa miłości. Słowa, które podkreślał gorącą pieśczęcią, przyprawiającą Shelby o łzy rozkoszy. Nic ich nie dzieliło, nie istniały żadne mury, bariery ani skrywane żale. Nie śpieszył się.

I gdzieś w tym stopniowo rozpalającym się ogniu Shelby usłyszała swój własny krzyk.

Długo nie mogła się potem uspokoić. Wtuliła się w ramiona Justina, usiłując wyrównać oddech i zwolnić puls. Ale Justin znajdował się w podobnym stanie.

- Wszystko w porządku. - Całował ją, głaskał, uspokajał. - Wszystko w najlepszym porządku. To tylko szok spadania z wysokości, kochanie. Ja też to czuję.

- Nigdy jeszcze tak nie było. - Głos jej się załamał.

- Nigdy się tak nie kochaliśmy. - Uniósł głowę, żeby spojrzeć w jej oczy. - Nie tak do końca.

Dotknęła jego warg drżącymi palcami, cała i na zawsze jego.

- Nie kończmy jeszcze.

- Ja też tego nie chcę - szepnął. - Nie musimy niczego kończyć. Jesteśmy sami, nie mamy nic innego do roboty. Pójdziemy na górę i spróbujemy, czy uda nam się jeszcze lepiej.

Podniósł się powoli na nogi, wziął Shelby na rękę i ruszył do drzwi.

- Justin, nasze ubrania! - zawołała, zerkając za siebie na rozrzuconą bezładnie garderobę, tworzącą ścieżkę na podłodze.

Otworzył drzwi i ruszył na schody z Shelby w ramionach, przytuloną do jego wilgotnej piersi.

- Na pewno tam będą, gdy po nie wrócimy.

- Ale jesteśmy goli - protestowała.

Spojrzał na jej zaróżowione ciało z czystą dumą właściciela.

- Zauważyłem.

- Ale Maria i Lopez...

- Nie będzie ich do jutra.

Po raz drugi trwało to jeszcze dłużej. Justin celowo przeciągał, mówiąc do Shelby częściowo po hiszpańsku, uczył ją nowych słów i nowych światów. Cały ten czas dotykał ją, pieścił. Powtarzał słowa, na które czekała. Mówił, jak bardzo się cieszy z powodu dziecka. Zdobyli szczyty, do jakich się wcześniej nie przymierzali, a gdy się obudzili spleceni w uścisku, za oknami zapadła już ciemność.

- Zasnęliśmy - mruknęła Shelby.

- Nic dziwnego. - Justin uśmiechnął się do niej, rozbawiony jej rumieńcami.

- Pić mi się chce - szepnęła.

- Mnie też. - Wstał i przeciągnął się leniwie, wciąż patrząc z podziwem na jej nagość. -
Może być coś zimnego z lodem? I jakaś przekąska?

- Bardzo chętnie. - Poruszyła się zmysłowo. - Tylko się pośpiesz, kochany.

- Wróć tak szybko, że nie zdążysz za mną zateśknąć. Rozejrzał się, co by tu na siebie
zarzucić. Jego ubrania zostały na dywanie na dole. W końcu zajrzał do łazienki i wyszedł
stamtąd z ogromnym plażowym ręcznikiem z wielką żabą na środku. No tak, zaniósł Shelby
do jej sypialni, gdzie zdecydowanie brakuje męskich ciuchów.

- Aż bije po oczach - burknął, spoglądając na nią żartobliwie, kiedy owijał się
ręcznikiem wokół bioder. - Rozumiem, że nie mogłaś sobie kupić gładkiego ręcznika.

- Lubię żaby.

Uniósł brwi i ignorując chichot Shelby, zszedł na dół.

Napełnił dwie szklanki lodem i słodką herbatą z lodówki, zrobił kanapki z szynką i
wszystko to położył na tacy. Wyszedł z kuchni do holu i przystanął u stóp schodów, by
poprawić zjeżdżający w dół ręcznik, i wtedy drzwi frontowe otworzyły się zniemacka i do
domu wszedł Calhoun.

Stanął jak wryty, wlepiając wzrok w swojego bardzo poważnego brata, który stał
przed nim omotany ręcznikiem z wielką żabą. Na dodatek trzymał tacę z napojami i
kanapkami i wyglądał z tym wszystkim jakoś... dziwnie.

- Zdaje się, że mieliście przyjść z Shelby do nas na kolację - zaczął Calhoun.

- Kolację - powtórzył jak echo Justin.

- Kolację. Dochodzi siódma. Nie zadzwoniliście, u was z kolei nikt nie odpowiada.
Baliśmy się, że coś się stało, no i przyjechałem sprawdzić.

Justin zamrugał powiekami. Fakt, wyłączył telefon, kiedy niósł Shelby na górę.
Spuścił wzrok na swój ręcznik.

- Nic się nie stało, a co się miało stać? Właśnie... brałem kąpiel - improwizował,
trochę skrępowany, że przyłapano go w intymnej sytuacji, nawet jeśli działo się to w jego
własnym domu.

Calhoun zobaczył otwarte drzwi salonu i ścieżkę ubrań.

- W salonie? - spytał. - A od kiedy nosisz damskie ciuchy?

Justin spiorunował go wzrokiem, zaciskając wargi.

- Robiłem porządki. Potem zgłodniałem.

- Zaprosiliśmy was na kolację.

- Ale byłem głodny wcześniej. Chciałem coś przekąsić, zanim zacząłem się szykować do wyjścia. - Był już czerwony po linię włosów.

Calhoun uśmiechał się od ucha do ucha.

- Pod prysznicem?

- Najpierw chciałem zjeść - oznajmił Justin stanowczo.

- A gdzie Shelby? - zainteresował się Calhoun. Justin odchrząknął.

- Na górze, była zmęczona.

I wtedy z góry dobiegł ich błagalny wręcz głos:

- Justin, wracasz czy nie? Jestem taka samotna. Twarz Justina zrobiła się purpurowa.

- Już idę! - zawołał, po czym spojrzał groźnie na brata.

- Ona też bierze prysznic.

Calhoun zdusił śmiech. Posłał bratu znaczący uśmiech i zakręcił się na pięcie.

- Kiedy już skończysz swoją przekąskę pod prysznicem i poukładasz ubrania, wpadnijcie, to was nakarmimy. - Zerknął na ręcznik. - Ale włóż najpierw jakieś spodnie, żeby nie wystraszyć Abby. Na Boga, Justin, żaba?!

- To była jedyna cholerna rzecz, jaką znalazłem, i co cię to w ogóle obchodzi?

- Nic, pasuje ci nawet - odparł Calhoun. - Lubię żaby.

- Zapomnieliśmy, o której mamy u was być - dodał sztywno Justin. - Przyjedziemy za pół godziny, jeśli można.

- Nie ma pośpiechu. - Calhoun uśmiechnął się szelmowsko. - Jeśli podoba wam się na dywanie w salonie, powinniście spróbować w wannie z masażem - mruknął jeszcze pod nosem i czym prędzej ulotnił się, bo Justin wyglądał na człowieka, który ma ochotę na rękoczynny.

Justin zaniósł tacę na górę i postawił ją na stoliku przy łóżku.

- Mrożona herbata! Zaszło mi w gardle. - Shelby piła chciwie. - Słyszałam czyjś głos z dołu.

- Calhoun przyjechał sprawdzić, czy żyjemy. Mieliśmy być u nich na kolacji, pamiętasz?

- Zapomniałam - przyznała.

- Ja też. Możemy pojechać za pół godziny. Chcesz coś przekąsić?

- Może lepiej poczekajmy z tym. Przekąsimy jeszcze przed snem. Zawinę kanapki i włożę do lodówki, jak się ubiorę. - Spojrzała z miłością na męża. - Calhoun i Abby też są małżeństwem - przypomniała mu. - To nic strasznego, że przyłapał cię, jak spędzasz popołudnie w łóżku z własną żoną.

- Nie, ale jakoś krępujące - wyznał. - Sześć lat celibatu sprawia, że człowiek staje się tajemniczy.

- Sześć lat - podjęła i pocałowała go czule. - Myślałam, że to przeze mnie, że tak cię skrzywdziłam, że bałeś potem ryzykować, ale to nieprawda? - spytała cicho.

Przytknął jej palec do ust.

- Za bardzo cię kochałem. Ty albo nikt, tak było.

Shelby musiała zagryźć wargi, żeby się nie rozpląkać.

- Ja też tak czułam. Tak bardzo chciałam cię ochronić.

- A ja robiłem to samo dla ciebie, kiedy się pobraliśmy. Chyba oboje wpadliśmy w grubą przesadę.

- Ale z tym już koniec - oświadczyła uśmiechnięta.

- Teraz będziemy chronić tylko nasze dziecko.

- To dobry pomysł. - Pocałował ją. - Ubierajmy się lepiej i chodźmy do tego twojego szwagra, mamusiu - powiedział czule. - Zanim znów po nas przyjadą. Mam nadzieję, że starczy ci siły, żeby przeżyć ten wieczór - dodał. - Znajac Calhouna, to na pewno będzie kolacja połączona ze śledztwem.

Shelby roześmiała się, kryjąc przed nim twarz.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też. - Wstał, wciąż owinięty w ręcznik z żabą. - Shelby, powiedziałaś mi o dziecku, gdyby Calhoun spóźnił się na lotnisko?

Skinęła głową bez wahania.

- Masz do tego prawo. Tak naprawdę nie zamierzałam cię opuścić, chciałam tylko pobyc sama przez jakiś czas i przemyśleć sobie różne rzeczy. Wróciłabym do ciebie. Już nie potrafiłabym bez ciebie żyć. - Patrzyła na niego z żarem w oczach. - A ty pojechałbyś mnie szukać?

- Jasne. Przypuszczałem, że zajmie mi to parę miesięcy, ale i tak bym nie zrezygnował. Fatalnie się czułem po tym, co ci nagadałem. Ale pojechałbym za tobą z miłości, kochanie, nie z poczucia winy.

- Tak, teraz to wiem. - Westchnęła, tak przepelniona miłością do męża, że miała ochotę krzyknąć. - Zjadłabym konia z kopytami.

- Zadzwoń do Abby, żeby ci jednego ugotowała. Wstawaj i ubieraj się, kobieto. Umieram z głodu.

- Nie patrz tak na mnie, to ty nie chciałaś wcześniej jeść.

Wygramoliła się z łóżka, a on porwał ją w ramiona.

- To prawda. Zdarza mi się to od czasu do czasu. - Pocałował ją. - Masz coś przeciwko temu?

Objęła go za szyję i przytuliła się mocno.

- Absolutnie nic.

Za oknami dzień już dawno zgasł. Kilka kilometrów dalej Abby po raz ostatni tego wieczoru odgrzewała mięso z jarzynami po irlandzku. Starła się przekonać Calhouna, że żaden szlachetny trunek nie pasuje do tak prostego dania, ale on był zbyt zajęty chłodzeniem szampana, by ją w ogóle słyszeć. Roześmiała się w końcu i wyjęła swoje najlepsze kieliszki. Może jednak Calhoun ma rację.

W końcu jest co świętować.